

seria: „Ocalić od zapomnienia” - 2

S. ZOFIA KUCZYŃSKA

Przez wojenną zamieć

Zgromadzenie Sióstr Urszulanek SJK • 1998

*Te wspomnienia poświęcam
Matce Andrzej Górskiej*

Wspomnienia zostały spisane w 1970 r.

Spis treści

Część pierwsza.....	3
1. PRZEZ GRANICĘ.....	3
MORDWIA	15
BUZUŁUK	25
Część druga.....	29
POD BŁĘKITNYM NIEBEM UZBEKISTANU	29
INKŁAP	44
NOWA POLSKA SZKOŁA.....	50
W STRONĘ, GDZIE ZACHODZI SŁOŃCE	53
Część trzecia	57
Z ZIELONEJ UKRAINY DO POLSKI.....	58
S. Zofia Kuczyńska - biogram	71

S. ZOFIA KUCZYŃSKA

Przez wojenną zamieć

Chronologia wydarzeń w życiu Autorki w okresie 1 X 1939 – 23 XII 1945

1. JUWENAT koło Łodzi (w domu zakonnym) – wyjazd 1 X 1939
2. SŁONIM (u rodzonej siostry)

Niewola

3. STARA WILEJKA (pierwsze więzienie)
4. POŁOCK (drugie więzienie; wyrok skazujący na 5 lat obozu pracy – wrzesień 1940)
5. JAWAS w Mordwińskiej ASRR (obóz pracy)

Wymarsz ku wolności

6. BUZUŁUK koło Kujbyszewa (obóz wojskowy armii gen. Andersa)

Podróż w głąb Rosji:

7. ORENBURG
8. TASZKIENT
9. NUKUS

W Uzbekistanie:

10. KUSZ-KUPYR
11. GURLEN

Powrót do Polski – od sierpnia 1944

12. ARALSK
13. STALINGRAD (dz. Wołgograd)
14. RAZOWKA na Ukrainie
15. AZOW
16. CHARKÓW
17. MIŃSK na Białorusi
18. WILNO
19. PNIEWY – 23 XII 1945

Część pierwsza

1. PRZEZ GRANICĘ

Pisać wspomnienia po trzydziestu latach – to niełatwo, ale Pan Bóg obdarzył mnie dobrą pamięcią, a będąc wówczas młodą i wrażliwą osobą bardzo mocno wszystko odczuwałam, więc i w pamięci pozostały trwale ślady.

Wojna w 1939 r. zastała mnie pod Łodzią. Byłam wówczas po nowicjacie, po pierwszych ślubach zakonnych. Nasz dom pod Łodzią, o nazwie „Juwenat”, był to zakład dla małych dzieci, w wieku od roku do siedmiu lat. Były tam sieroty i półsieroty – wszystkich około stu. Pracowałam w zakładzie jako pomoc siostry wychowawczynie. Kiedy pierwszego września zaczęła się wojna, przysłano nam z państwowego zakładu dwadzieścioro malutkich dzieci, które jeszcze ani jeść, ani mówić nie umiały.

Siostry zabierały śpiące dzieci i w nocy uciekały do Łodzi, do naszego domu przy ul. Obywatelskiej, bo bały się zostać w „Juwenacie”, który znajdował się zupełnie na pustkowiu, otoczony jedynie lasem. Kilka z nas zostało do południa. Ja z rana wyszłam z „Juwenatu” i dostałam się na Obywatelską. Byłam wówczas wychudzona i bardzo słabego zdrowia – każdy wysiłek fizyczny ogromnie mnie męczył, bałam się każdego dłuższego chodzenia. Do Łodzi jacyś dobrzy ludzie dowieźli mnie furmanką. Gościnny dom na Obywatelskiej przyjął nas otwartym sercem. W dużym domu zrobiło się trochę ciasno – sióstr było bardzo dużo i dzieci też.

Ze względu na dzieci dostawaliśmy przydziały żywnościowe, a zaradność siostry przełożonej Łozińskiej była tak skuteczna, że niczego nam nie brakowało. Tak minął okres od września do grudnia.

Tymczasem moja siostra Jadzia, starsza ode mnie o sześć lat, nie mając długo ode mnie wiadomości, bardzo się martwiła. Mama moja wówczas już nie żyła, zaś ojciec mieszkał w Wilnie razem z moim żonatym bratem i bratową. Jadzia mieszkała wówczas w Słonimie, bo tam dostała posadę nauczycielki w liceum ogólnokształcącym. Nie mając z nimi od początku wojny kontaktu też się martwiłam, jednocześnie gorąco się za nich modląc. Jadzia czuła się w obowiązku opieki nad mną nawet jeszcze za życia mamy, która często chorowała, a że była bardzo energiczna i zaradna życiowo, postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się, co się ze mną dzieje.

Polska została podzielona na kilka części. Do Rzeszy zostało włączone Poznańskie, Warszawa i Kraków należały do Generalnej Guberni, a Łódź do tzw. Kraju Warty. Związek Radziecki zabrał część północno-wschodnią, a Wilno zostało oddane Litwie. Mój ojciec i brat zostali po stronie litewskiej. Jadzia w Słonimie znalazła się na terytorium Związku Radzieckiego, a ja w Łodzi – pod zwierzchnictwem niemieckim.

Ósmego grudnia 1939 r., w święto Niepokalanego Poczęcia, gdy byłam zajęta dziećmi, przyszła jedna z sióstr i powiedziała, że siostra przełożona prosi mnie do siebie. Trochę się zdziwiłam, bo my z „Juwenatu” miałyśmy swoją dawniejszą siostrę kierowniczkę i wszystko z nią załatwiałymy. Gdy weszłam do s. przełożonej, uściskała mnie i powiedziała:

– Czy siostra wie, że siostry rodzona siostra, Jadzia, przysłała jakąś zaufaną kobietę z listem, w którym prosi mnie o wysłanie do niej siostry razem z tą kobietą. Słyszała, że Niemcy mają rozpedzać siostry z klasztorów i bojąc się o siostry los, chce zabrać siostrę do siebie – przynajmniej na pewien czas.

Odpowiedziałam, że nie chcę z klasztoru wychodzić, ale co radzi siostra przełożona?

– Dziecko kochane – powiedziała – przecież ja ciebie nie wyrzucam, ale radzę skorzystać z zaproszenia Jadzi dlatego, że jesteś słabego zdrowia, a z nami nie wiadomo co będzie. Zresztą myślę wszystkie postulantki, a nawet młode juniorystki odesłać choć na pewien czas do rodzin. A poza tym, jeśli masz prawdziwe powołanie, to wrócisz do nas. Ta wojna na pewno długo trwać nie będzie. Przyjmiemy cię znowu – rozstaniemy się tylko na pewien czas. Znam Jadzię, jest bardzo rozsądna i kocha cię jak rodzona matka, no i jest niezamężna. Poradzicie sobie we dwie.

Wyczułam, że s. przełożona chce, abym wyjechała – martwiła się o los młodych sióstr. A ponadto z wyżywieniem takiej gromady było coraz trudniej; dzieci natomiast miały być zabrane do Niemiec.

Zgodziłam się więc jechać do Jadzi. Myślałam, że za parę tygodni wojna się skończy i wrócę. Siostra przełożona powiedziała mi jeszcze:

– Gdyby się wojna przedłużała, w co bardzo wątpię, albo coś się stało z twoją siostrą, udaj się do Wilna do naszych sióstr, bo ze Słonima bliżej do Wilna niż do Łodzi.

Kobieta przysłana przez Jadzię była matką jednego z jej uczniów (nazywała się Ratis) i miała rodzinę gdzieś koło Piotrkowa, którą chciała koniecznie odwiedzić. Siostra kierowniczką „Juwenatu” przyniosła mi jakąś sukienkę, palto z dużym futrzanym kołnierzem i wełnianą czapeczkę. Płakałam cicho zdejmując nasz szary habit, ale nie oddałam go, tylko schowałam do walizki. (Nie wiedziałam jeszcze wówczas, jakie usługi odda mi on za parę lat.) Ostatni raz zaszłam do naszej kaplicy, a właściwie kościoła, odprowadzona i pobłogosławiona przez siostrę kierowniczkę.

Razem z panią Ratis udałam się na dworzec kolejowy w Łodzi, aby kupić bilety do Piotrkowa; potem miałyśmy szukać sposobu przejścia przez „zieloną granicę” i dostania się do Słonima. Było to dziewiątego grudnia. Śnieg skrzypiał pod nogami i wiał zimny wiatr. Przed dworcem na ulicy stały tłumy ludzi – wszyscy chcieli się dostać do kas biletowych. Niektórzy ustawili się w długiej kolejce, inni się pchali. Postaliśmy może z godzinę, ale tłumy się nie zmniejszały, a dostać się do pociągu było rzeczą wprost niemożliwą.

– Chodźmy pieszo – zaproponowała mi pani Ratis.

– Nie dojdę, nie jestem przyzwyczajona do chodzenia – odpowiedziałam.

– Pójdziemy wolno, od wsi do wsi, dobrzy ludzie pozwolą nam gdzieś u siebie przenocować, a u mojej siostry odpoczniemy dłużej.

Przecież do Łodzi też tak szłam i doszłam. Zgodziłam się zatem i poszliśmy pieszo. Na początku wszystko było dobrze, ale potem ze zmęczenia ledwie się wlokłam. Pocziwa pani Ratis, widząc, że ciężko mi iść, wzięła ode mnie walizkę. Tego dnia doszliśmy, zadaje się, do Tuszyńka, gdzie przenocowałyśmy. Następnego dnia poszliśmy dalej. Zapasy żywności nam się skończyły, a trudno było coś kupić po drodze. Byłam zupełnie wyczerpana.

Ostatni odcinek drogi, niedaleko Piotrkowa, już raczej jechałyśmy furmankami. Czasem zabierano nas za darmo, a czasem trzeba było płacić. Jakoś dostałyśmy się wreszcie do siostry pani Ratis. Była to zamożna gospodyni i przyjęła nas bardzo serdecznie i gościnnie. Byłyśmy tam chyba pięć dni. Siostry nie mogły się ze sobą nagadać, a ja leżałam chora, z gorączką. Potem pożegnałyśmy uprzejmą gospodynię i jej dzieci, i – zaopatrzone obficie w żywność – wsiadłyśmy na wóz, którym powoził jej mąż. Odwiózł nas do jakiejś stacji i tam udało się nam dostać do pociągu.

Szczęśliwie dojechaliśmy do Małkini – tu pociąg kończył bieg (była to stacja graniczna). Teren po drugiej stronie Małkini należał do Związku Radzieckiego. Wsiadłyśmy po południu na zatłoczony dworzec – mnóstwo ludzi też chciało się dostać na tamtą stronę. Pani Ratis rozglądając się szukała kogoś, kto znałby dobrze drogę i mógł śmiało przeprowadzić przez tzw. „zieloną granicę” (która wówczas była w rzeczywistości biała). Pod wieczór, przy herbacie, rozmawiałyśmy już z trzema kobietami i trzema mężczyznami, w jaki sposób przedostać się na drugą stronę. Byli to szmuglerzy, którzy przemycali rozmaite towary. Musieliśmy być bardzo ostrożni, bo z jednej strony pilnowali Niemcy, a z drugiej żołnierze radzieccy.

Postanowiliśmy, że pójdziemy zaraz po północy, w momencie zmiany warty. Pas graniczny był dość szeroki (ok. 2 km). Wszyscy byliśmy bardzo podnieceni i przejęci, choć szmuglerzy mniej, bo im się to już kilka razy szczęśliwie udało.

Po północy wyszliśmy w zupełnej ciszy, zmierzając w stronę granicy. Czułam się bardzo źle, paliła mnie gorączka, ale pani Ratis uspokajała mnie, że to z podniecenia. Weszliśmy w pas graniczny; było zupełnie ciemno – tylko śnieg białł i chrząścił pod nogami. Posuwaliśmy się wolno zapadając się co chwila po pas. Przeszliśmy już chyba połowę drogi, gdy raptem zaczęła mnie mocno boleć noga w kolanie. W pewnej chwili tak się zapadłam w śnieg, że nie potrafiłam się z niego wydobyć. Widziałam, jak wszyscy szybko się oddalają, a przecież nie mogłam wołać, by nie zwrócić uwagi strażników. Pani Ratis jednak zauważyła po chwili moją nieobecność i wróciła, choć wiedziała, że się bardzo naraża.

– Nie mogę się ruszać, proszę mnie tu zostawić, już jest mi wszystko jedno, co będzie. Nie mogę iść – szepnęłam.

– O nie, ja siostry tu nie zostawię. Przysięgłam pani Jadzi, że siostrzyczkę dowiozę żywą.

Wzięła mnie na plecy, bagaże do rąk i pociągnęła śladem tamtych.

Szmuglerzy oglądali się za nami. Gdy zauważyli, co się dzieje, jeden z nich zaczekał i wziął mnie na plecy.

Tak doszliśmy szczęśliwie do pierwszej wsi, już po stronie Związku Radzieckiego. Mężczyźni wzięli mnie pod rękę – nie byłam w stanie iść o własnych siłach, a nawet nie mogłam stanąć. Prosiłam panią Ratis i tych mężczyzn:

– Zostawcie mnie tu, w tej wsi, a sami idźcie.

Zaprowadzili mnie do pierwszego domku, zastukali do gospodarzy i prosiliśmy, aby mnie przyjęli na jakiś czas, dwa-trzy dni, dopóki ktoś po mnie nie przyjedzie. Gospodarz był bardzo zdenerwowany, zwymyślał nas, ale gdy Ratisowa dała mu trochę pieniędzy (miała je od mojej siostry), zmiękł i przyjął mnie, choć powiedział, że to wielka odpowiedzialność trzymać kogoś obcego, że im ciągle robią rewizje itp. Naturalnie, cała rodzina gospodarza się obudziła, zaraz zrobili mi miejsce na ławie, dali jakąś poduszkę i koc a gospodyni przyniosła ciepłego mleka.

Zapytałam gospodarza o nazwę wsi i numer domu. Prędko napisałam parę słów do Jadzi, że jestem chora i znajduję się we wsi Kosuty, nr 11. Uściskałam panią Ratisową, dziękując serdecznie za opiekę.

Następnego dnia ból w kolanie tak się nasilił, że nie mogłam wstać. Matka gospodyni, starsza już kobieta, nasmarowała mi je jakimś lekiem, zrobiła kompres z nafty i okręciła grubo pakułami. Na drugi dzień kolano przestało zupełnie boleć.

Gdy Jadzia otrzymała moją kartkę i dowiedziała się, że czekam we wsi Kosuty pod Małkinią, prosiła o zwolnienie z pracy na kilka dni. Dyrektor, Rosjanin czy nawet Mongoł, wyznaczony do pilnowania polskich profesorów, zwolnienia nie dał, grożąc wyrzuceniem z pracy. Wreszcie udało jej się uprosić jakąś sąsiadkę i ta obiecała, że po mnie pojedzie – miała tylko jeszcze coś przygotować na drogę. Pociąg odjeżdżał za godzinę. Jadzia dała jej moją kartkę (z adresem), a sama – narzuciwszy na siebie palto i jakiś lekki kapelusik – pobiegła na stację kupić dla niej bilet. Wzięła też ze sobą pieniądze. Zapowiadają już odejście pociągu, a kobiety nie ma.

Pociąg rusza – Jadzia wskakuje prawie w biegu i jedzie; ma bilet i pieniądze, ale jest bardzo lekko ubrana i nie ma zwolnienia z pracy, a co najważniejsze – nie ma mojej karteczki z adresem. Raz tylko, w zdenerwowaniu, przeczytała i oddała tamtej sąsiadce – nie pamiętała nazwy wsi. Jechała więc bardzo przygnębiona. Zaczęła się modlić. Odmówiła litanię do Matki Bożej i *Pod Twoją Obronę...* Naprzeciw siedzieli jacyś mężczyźni, którzy zaczęli z nią rozmawiać. Początkowo nie zwracała na nich uwagi, ale kiedy jeden z nich głośniej zapytał:

– Dokąd pani jedzie?

Biednej Jadzi łzy pociekły po twarzy i odpowiedziała:

– Ja sama nie wiem, dokąd jadę.

Wtedy mężczyzna tak powiedział:

– To ja pani powiem: Pani jedzie po swoją siostrę.

A Jadzia uradowana zawołała:

– To może pan wie, gdzie ona jest?

– Naturalnie, że wiem, we wsi Kosuty nr 11. Zostawiliśmy ją tam, bo ją noga bolała. Pokażemy pani, jak się tam dostać.

Był to jeden z tych ludzi, którzy przeprowadzali nas przez granicę.

Jadzia do końca życia była przekonana, że była to wyraźna opieka i łaska Matki Najświętszej.

Siedziałam u gospodarzy w Kosutach i odmawiałam różaniec z babcią, która mi nogę wyleczyła. Pod wieczór ktoś zapukał i wsunęła się jakaś ośnieżona postać. Po chwili poznałam, że to moja kochana Jadzia i padłyśmy sobie w objęcia.

Do Słonima dojechałyśmy w samą wigilię Bożego Narodzenia. Gospodyni, u której Jadzia mieszkała i stołowała się, przygotowała wieczerzę wigilijną. Spożyłyśmy ją we trzy. Łamiąc się opłatkiem myślałam cały czas, co się dzieje z moją Rodziną Zakonną, czy są jeszcze razem?...

W Słoniemie zaczynały się trudności ze zdobyciem żywności, ale mojej siostrze uczniowie przywozili często ze wsi różne rzeczy.

Co dzień rano chodziłam do kościoła, a potem pomagałam gospodyni lub czytałam, czekając na powrót Jadzi ze szkoły. Zżyłyśmy się ze sobą bardzo.

Raz przyszła bardzo zdenerwowana mówiąc, że aresztowano jednego kolegę z ich grona, a wszystkich zaczęto brać na jakieś przesłuchania. Coraz częściej zdarzały się aresztowania z grona profesorskiego i wśród uczniów. Całe miasto było tym wzburzone. Jadzia martwiła się bardzo poważnie o mnie:

– Co będzie z tobą, gdy mnie aresztują? Przecież jestem za ciebie odpowiedzialna przed Bogiem i przed twoim Zgromadzeniem. Dyrektor ciągle mi coś zarzuca i ciągle o coś podejrzewa.

Tak minął czas do marca. Zaczął się Wielki Post.

Pewnego dnia przyszła do nas jedna z koleżanek Jadzi, pani Mucha, germanistka, i powiedziała, że za kilka dni wyjeżdża ze Słonima do Wilna, bo tam ma rodzinę. Wówczas zaczęłam gorąco prosić Jadzię, aby mi pozwoliła jechać razem z nią, bo już bardzo tęskniłam za życiem zakonnym. Mówiłam jej, że nie mogę być tak długo poza Zgromadzeniem, że w Wilnie są nasze siostry a ponadto jest tato i Witek, nasz brat. Namawiałam ją, aby także uciekała ze Słonima, ale nie miała na to ochoty.

– Tam nie dostanę pracy tak łatwo a nie chcę być ciężarem dla rodziny. Tutaj mam i pracę, i mieszkanie – odpowiedziała.

Właściwie rozstrzygnęła sprawę pani Mucha, namawiając Jadzię, aby mnie wyprawiła razem z nią do Wilna.

– Zosia musi stąd jechać – mówiła – bo, choć nigdzie nie chodzi, to jednak już pewne osoby zaczynają się nią interesować. A ciebie mogą też aresztować lub wywieźć – co wówczas z nią będzie?

Zdecydowałyśmy więc, że jadę z panią Muchą, a jeśli szczęśliwie dostaniemy się tam, to damy Jadzi znać i wówczas też niepostrzeżenie wyjedzie ze Słonima.

Aby dostać się do Wilna, trzeba było dojechać do jakiejś stacji granicznej i stamtąd znów szukać przewodnika przez „zieloną granicę”, bo Wilno należało do Litwy.

Niektórzy znajomi twierdzili, że tę granicę bardzo łatwo można przejść, że ani ze strony Związku Radzieckiego, ani ze strony Litwinów nie jest prawie pilnowana i dużo już osób szczęśliwie dostało się do Wilna. Pani Mucha miała swoich krewnych w Starych Święcianach. (Stare Święciany należały do Związku Radzieckiego, a Nowe Święciany do Litwy; między nimi była granica, którą zamierzałyśmy przejść.) Jadzia pojechała ze mną do samych Święcian i tam, u krewnych pani Muchy, pożegnaliśmy się ze łzami. Musiała wracać do Słonima.

W Święcianach przebywałam prawie trzy tygodnie. Zbliżał się Wielki Tydzień, a ciągle nie nadarzyła się okazja przejścia granicy – jakoś nikt się wówczas nie wybierał i nie można było znaleźć przewodnika.

W roku 1940 Wielkanoc wypadała 24 marca, a zima była bardzo ostra, mroźna i śnieżna. Idąc do kościoła w Wielkanoc brnęło się w śniegu, ludzie jechali sankami, zupełnie jak w Boże Narodzenie. W drugi dzień świąt przyjechała Jadzia namawiając mnie, abym wracała do Słonima, ale wtedy właśnie przyszła do pani Muchy jakaś znajoma i oznajmiła, że udało się jej znaleźć dobrego przewodnika, i że z nami wybiera się jeszcze kilka osób. Podobno ten przewodnik dużo osób szczęśliwie przeprowadził na tamtą stronę. Następnego dnia przyszedł i chwalił się, że ma znajomości wśród strażników rosyjskich a także wymieniał nazwiska osób, które już przeprowadził. Zgodziłyśmy się z nim iść. Zażądał dużej sumy. Jadzia połowę tej sumy zapłaciła, a drugą połowę obiecała dać, gdy mnie przeprowadzi i przyniesie ode mnie list, że jestem już rzeczywiście po tamtej stronie (umówiłyśmy się nawet, od jakich słów ma się ten list zaczynać). Po południu, 27 marca, ku naszemu zaskoczeniu, przyjechał ten człowiek po nas, i do tego sankami. Wyraziłyśmy nasze zdziwienie, że tak wcześniej i że sankami – przecież miał wieczorem przyjść pieszo.

– Każdy nas zobaczy, jeżeli będziemy jechać – mówiłyśmy

Uspokoił nas mówiąc, że tylko podjedziemy do lasu, za miasto, tam u znajomych zostawi konia, poczekamy chwilę, aż się ściemni i pójdziemy; zapewniał, że nie ma powodu do obaw. Żegnałyśmy się z Jadzią płacząc, ale pocieszałyśmy się, że zobaczymy się może wkrótce w Wilnie.

Wsiadłam do sań z panią Muchą i zaczęłam odmawiać różaniec. Jadzia też miała go odmawiać czekając na mój list. Powiedziała, że nie odjedzie ze Słonima, dopóki nie otrzyma ode mnie wiadomości. Tymczasem przejechaliśmy kilka ulic i nagle sanki zatrzymały się przed jakimś większym budynkiem. Duża brama natychmiast się otworzyła i zanim zdążyłyśmy krzyknąć, znalazłyśmy się na podwórzu, gdzie otoczyli nas żołnierze rosyjscy, którzy ze śmiechem mówili, że już tu dla nas granica. Na naszych oczach, człowiekowi, który nas wiozł dali pieniądze za to, że nas oddał w ich ręce.

Okazało się, że wszystkich ludzi w ten sposób „przeprowadził” przez granicę.

Jak się później dowiedziałam, już po wojnie, Jadzia modliła się przez całą noc i była bardzo niespokojna. Zdrzemnęła się trochę nad ranem i przyśniło się jej, że ten człowiek przyszedł po resztę pieniędzy i tłumaczył jej, że zgubił mój list w śniegu, bo gonili go strażnicy... to był tylko sen. Jakież było jej przerażenie, gdy on rzeczywiście się zjawił i od razu zaczął mówić, że zgubił list w śniegu, bo go-

nili go strażnicy. Biedaczka od razu wszystkiego się domyśliła i pobladłymi wargami krzyknęła z wielkim przekonaniem:

– Toś ty ją sprzedał, Judaszu!

Mój „przewodnik” tak się tego wystraszył, że uciekł, przeskakując schody i gubiąc swoje pakunki.

Po krótkim przesłuchaniu, oświadczono nam, że jesteśmy aresztowane za usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy na stronę litewską.

W Świącianach nie było więzienia, wsadzono nas więc do tymczasowego aresztu. Nazajutrz rano poprowadzono nas na dworzec. Domyśliłyśmy się, że nas gdzieś wywożą, ale dokąd – nie wiedziałyśmy.

Szłyśmy z panią Muchą same, a za nami, w pewnej odległości, dwaj oficerowie, którzy nas pilnowali. Chciałam jakoś dać Jadzi znać, co się z nami stało, ale nie wolno nam było z nikim rozmawiać. Na dworcu wyszła z pociągu pewna pani, znajoma pani Muchy i Jadzi. Zdążyłam szepnąć:

– Proszę powiedzieć Jadzi... – i oczami wskazałam wojskowych.

Widząc nagle przerażenie na twarzy tej kobiety zrozumiałam, że wszystkiego się domyśliła.

Jechaliśmy pierwszą klasą. Wysiedliśmy na jakiejś stacji, zdaje się, że to była Lida. Trzeba było się przesiąść na inny pociąg. Wojskowi powiedzieli nam, że musimy na niego czekać prawie całą noc, że jedziemy do Oszmiany. Zaprowadzili nas do restauracji dworcowej, kupili herbatę i coś do jedzenia, ale nie miałyśmy apetytu. Wiedziałyśmy, że jedziemy do więzienia. W restauracji było zupełnie pusto. Około północy nasi wojskowi, którzy trochę popili, położyli głowy na stolikach i mocno zasnęli. Trąciłam panią Muchę i powiedziałam:

– Uciekajmy, oni śpią; nie usłyszą, kiedy wyjdziemy.

– Ale pieniędzy nie mamy, a najważniejsze nasze teczki, w których są nasze papiery i mój dyplom. Nie chcę stracić dyplomu. – odpowiedziała – Może nas puszcza po paru dniach i oddadzą dokumenty...

– Uciekajmy prędko – nalegałam – może oni umyślnie dają nam okazję do ucieczki? Wcale nas nie pilnują. Dokumentów i tak mogą nigdy nie oddać, a może nas czeka długie i ciężkie więzienie.

– Nie ucieknę bez dokumentów. Jestem pewna, że nas puszcza, przecież nawet tej granicy nie przeszłyśmy.

Bardzo chciałam uciekać, bo nie miałam tak optymistycznych myśli. Uciekać samej czy nie? Namyślałam się. Sama nie miałam ochoty. A może oni pociągną panią Muchę do odpowiedzialności za moją ucieczkę? Zostałam.

Nad ranem obudzili się nasi „opiekunowie” i wcale nie ukrywali swego zdziwienia, że nas widzą.

Dojechaliśmy do Oszmiany. Tam okazało się, że więzienie jest przepełnione. Wsadzono nas tymczasem do jakiejś piwnicy i powiedziano, że odjedziemy najbliższym transportem. W piwnicy było bardzo ciasno i duszno, nie można było usiąść. Kobiety stały opierając się nawzajem o siebie. Po ścianach łąziło mnóstwo pluskwów.

Okazało się, że wiele z tych kobiet swój obecny los „zawdzięcza” temu samemu człowiekowi, który i nas tu sprowadził. Niektóre z nich stały tu już od trzech, czterech dni. Wszystkie czekały z niecierpliwością na wyjazd, do jakiegoś więzienia. Tylko nikt nie wiedział, gdzie nas mają wywieźć.

Wieczorem, tego samego dnia, załadowano nas na ciężarówkę pokryte plandeką i zawieziono do Starej Wilejki.

Więzienie w Starej Wilejce było zbudowane jeszcze za czasów carskich jako olbrzymi budynek z czerwonej cegły, z małymi, zakratowanymi okienkami. Otoczone było długim, wysokim murem. Wielka, ciężka brama otworzyła się i zatrzasnęła za nami. Łzy mi płynęły po twarzy i myślałam: Mój Boże, chcesz abym tutaj była a nie w Zgromadzeniu? Bądź wola Twoja.

Najpierw nas wprowadzono na osobistą rewizję. Kobieta, która nas rewidowała, była bardzo szorstka i złośliwa. Odebrała nam wszystkie nasze rzeczy. Nie można było mieć żadnych gum, pasków, pończoch, sznurowadeł przy obuwiu, ręczników. Następnie, długim, prawie ciemnym korytarzem o gumowej podłodze, zaprowadzono nas do cel. Weszłyśmy z panią Muchą do celi nr 123 na drugim piętrze. Panował tu półmrok i okropny zaduch. Kobiety siedziały na podłodze, bo nie było żadnych łóżek ani pryczy. Wszystkie ubrane były w długie lniane koszule więzienne. Weszłyśmy tutaj we trzy. Kilka więźniarek zerwało się i zaczęły nas wypytywać jak się nazywamy, skąd jesteśmy, za co nas wsadzono itd.

W tej celi było nas w sumie dwadzieścia dziewięć. Były to kobiety w różnym wieku – starsze i młodsze. Prawie wszystkie były więźniami „politycznymi”, co oznaczało, że mąż lub syn był za rządu

polskiego oficerem lub wyższym urzędnikiem albo też któraś (lub jej mąż) była posiadaczką majątku ziemskiego. Kilka studentek siedziało za to, że należały do polskich organizacji młodzieżowych lub akademickich; niektóre, tak jak my, usiłowały przejść granicę.

W celi nie było innych sprzętów poza małym stołem, na którym stały blaszane kubki, miski i drewniane łyżki. Z drugiej strony drzwi stał duży kubeł z nakryciem, który w języku więziennym nazywał się „kibel”. Pod sufitem znajdowały się dwa małe, zakratowane okienka. W drzwiach prowadzących na korytarz było szklane okienko zwane „judaszem”, przez które dozorczy patrzyli, co robią więźniowie.

Kobiety usunęły się, robiąc nam miejsce na podłodze, na której się siedziało z kolanami pod brodą lub po turecku. Na noc podkładały sobie swoje sukienki i płaszcze, które na dzień miały zawinięte pod stołem, razem z obuwiami. Dobrze, że chociaż podłoga była drewniana.

Od razu zrobiłam sobie pewne postanowienia: Po pierwsze, nie będę ukrywać, że jestem zakonnica; po drugie, będę trzymała się dzielnie (nie płakać, nie narzekać); po trzecie, będę uprzejma i usłużna wobec innych.

Obowiązywały nas dwa regulaminy: pierwszy – nakazany przez zarząd więzienia; drugi – ułożony przez nas same dla naszego dobra, abyśmy mogły jakoś wspólnie wytrzymać i nie dostać rozstroju nerwowego czy obłędu, co się często zdarzało. Naturalnie, że pierwszy był łamany jak tylko się dało, a drugi był zachowywany dość ściśle. Więzienny regulamin zabraniał głośnych i wspólnych rozmów, modlitwy, śpiewów, celowych głódówek, porozumiewania się z sąsiadami w innych celach, wyglądanania przez okna, trzymania w celi igieł, noży, widelców, sznurków itp. Za takie przewinienia groził karcer. Nasz wewnętrzny regulamin natomiast nakazywał nam nie zdradzać cudzych tajemnic na śledztwach, dzielić się otrzymywanymi paczkami żywnościowymi; każda też miała coś opowiedzieć o sobie, o swojej rodzinie. Oprócz tego każda miała swój dzień opowiadania powieści, filmów, anegdot, zagadek.

Ponieważ były wśród nas nauczycielki języków, historii, biologii, więc chętnie uczyły nas tych przedmiotów. Języka angielskiego uczyła nas pani Lena, a niemieckiego pani Mucha.

Obowiązywała nas też godzina ciszy, aby można było odpocząć lub pomyśleć o swoich sprawach. Wybrałyśmy też starościnię celi, którą została młoda mężatka, prawniczka, pani Lena. Ogłaszała ona godzinę ciszy, wyklócała się z dozorcami, gdy spacer był za krótki lub gdy otrzymywałyśmy zbyt skąpe racje chleba czy zupy.

O ile pamiętam, po dwóch tygodniach rozłączono mnie z panią Muchą. Zabrano ją do innej celi, bo nigdy w jednej celi nie siedziały matka z córką, siostry czy też sąsiadki.

Wszystkie dni w więzieniu były podobne, ale tylko zewnętrze, lecz jakże niepodobne były od strony przeżyć wewnętrznych.

Każdy dzień zaczynał się od budzenia (dozorca stukał w drzwi), następnie odbywała się „prawierka” (apel), co my nazywałyśmy „poniewierką”: Trzeba było wstać, uporządkować podłogę i czekać stojąc, aż przyjdą sprawdzić, czy wszyscy są w celi. Potem dozorca prowadził jednocześnie wszystkie mieszkanki celi do ubikacji (na końcu korytarza), gdzie były krany i można się było umyć. Gdy dozorca był złośliwy, nie pozwalał ani się umyć, ani załatwić potrzeb fizjologicznych, bo natychmiast po wejściu kazał wychodzić. Najczęściej się to zdarzało, gdy dozór pełniły kobiety. Niektórzy z dozorców dawali nam czas na wszystko. Wtedy biedne więźniarki, oprócz porządnego mycia się, korzystały z okazji, by pisać listy lub grypsy do swoich najbliższych, którzy też siedzieli w tym samym więzieniu. Nie były to oczywiście prawdziwe listy, bo rzadko udawało się dostać kawałek papieru, nie było też piór czy ołówek. Drapało się więc zębem od grzebienia na ścianie lub podłodze, na ogarku od papierosa czy na jakimś skrawku gazety. Tą samą drogą otrzymywało się wiadomości. Ubikacja była więc miejscem poczty więziennej.

Na śniadanie przynosili nam chleb, po dwa kawałki cukru i jakiś brązowy, ciepły płyn zwany „kawą”. Na początku kawałek chleba był dość duży (na cały dzień ok. pół kilograma), ale wkrótce te racje zostały zmniejszone do cienkiej kromki. Chleb był czarny i gliniasty, ale niektórym bardzo smakował. Nie mogłam go jeść, obrywałam więc tylko skórę a resztę oddawałam innym. Na obiad przywożono jakąś bardzo rzadką zupę, a na kolację dawano zawsze pęczak (z ostrymi plewami, które trzeba było cały czas wypluwać).

Przysługiwało nam co dzień piętnaście minut spaceru. Czekaliśmy na niego z utęsknieniem. Gdy ktoś coś przeskrobał, np. napisał list lub wyglądał oknem, pozbawiano go spaceru. Nieraz takie kary dotyczyły całej celi. Bardzo często dozorczy skracali spacer do pięciu minut. Na spacer każda ubierała

się w sukienkę, czasem w palto (na którym się spało). Dozorca prowadził całą grupę idąc na końcu z wymierzoną strzelbą.

Podwórko było nieduże, brukowane kamieniami i ogrodzone wysokim murem. Podczas spaceru trzeba było chodzić gęsiego, w koło, trzymając ręce założone do tyłu, w milczeniu. Nie można było także się schylać. Ileż było radości, gdy którejś z nas udało się zerwać trochę trawki spod muru lub chwycić kawałek szkła czy ostry kamyk i te trofea przynieść do celi.

Kobiety były bardzo pomysłowe. Z więziennych długich koszul, które były rozdawane co dziesięć dni w łaźni, umiały sobie uszyć całą bieliznę, całkiem udane bluzeczki i spódnice. Posługiwały się przy tym, zamiast nożyc, kawałkiem szkła, a igły i nici trzeba było wyprosić u dozorczy.

Gdy zamykano mnie w więzieniu (29 marca) było jeszcze zimno i wszędzie leżał śnieg. W połowie kwietnia zrobiło się ciepło, pachniało wiosną i kwiatami, ale w celi było jeszcze bardziej duszno. Każda z nas chciała wyrzeć okienkiem, żeby zobaczyć, jak zielenieją drzewa, i w ogóle, co się dzieje w świecie. Nie było to łatwe. Jedna, z długimi włosami, musiała wtedy stanąć przy drzwiach, przed „judaszem” i rozczesywać włosy, aby zasłonić celę. Ponieważ stołu nie było można użyć, bo miał wszystkie nogi połamane, któraś silniejsza podnosiła inną, a ta musiała chwycić się kraty i głośno opowiadać, co widzi.

– Jesteśmy niedaleko stacji kolejowej, widzę pociągi – mówiła jedna.

– Drzewa mają już duże zielone listki, biegną dwa psy – mówiła druga.

Przyszła i na mnie kolei wyrzenia okienkiem. Zobaczyłam z daleka wieżę kościoła – w słońcu błyszczał krzyż. Serce mi zabiło... jakże bardzo pragnęłam być w kościele na Mszy świętej. Co dzień mi się to śniło. Mój Jezu – pomyślałam – mogę Cię przyjąć tylko duchowo, ale czuję, że jesteś ze mną.

– Co widzisz? Co widzisz?! – zawołały kobiety, gdy długo milczałam.

– Widzę kościół i krzyż.

Wszystkie myślałyśmy ciągle o swoich najbliższych, niepokoił nas ich los, brak wiadomości był bardzo bolesny. Niektóre prawie ciągle płakały – tęskniły za dziećmi, mężami, za matkami, siostrami, braćmi i ojcami.

Niepokoił mnie los Jadzi, czy nie została aresztowana przeze mnie. Na pewno bardzo cierpi z tego powodu, że ja tu siedzę. Co się dzieje z siostrami, może są rozpędzone, albo w jakimś obozie? Co się dzieje z moim tatusiem i bratem? Męczyły mnie te myśli. Co dzień gorąco się modliłam, ofiarowując wszystkie przykrości życia więziennego w tych intencjach.

Modliłyśmy się bardzo dużo wspólnie, choć było wśród kobiet kilka deklarujących się jako ateistki. Te jednak nam w modlitwie nie przeszkadzały. Odmawiałyśmy wspólnie różaniec, koronkę do Matki Boskiej, odprawiałyśmy drogę krzyżową, w nocy z czwartku na piątek godzinę świętą. Różaniec robiłyśmy z więziennego chleba. W każdą niedzielę przypominałyśmy, jaka jest na nią przeznaczona Ewangelia, ja wygłaszam wówczas „kazanie”, czyli komentarz ewangeliczny.

Ktoregoś dnia zapłakało głośno pod murem więzienia jakieś dziecko. Kobiety nie wytrzymały nerwowo – w celi powstał istny ryk.

– Może to mój Stasio płacze? Krysia, moja Krysia? Halina?!

Czasami wstępowała w nas nadzieja, gdy z sąsiedniej celi otrzymywałyśmy alfabetem Morse’a wiadomość, że nas wypuszczą i odstukiwałyśmy ją do następnej celi...

Niektórzy z dozorców byli bardziej współczujący. Zapamiętałam szczególnie jednego. Kilka razy ukradkiem rzucił nam do celi kwiaty. Raz przyniósł w worku racuszki drożdżowe i powiedział, że jego żona napiekła dla nas. Być może ukarano go za to, bo wkrótce zniknął – widocznie przeniesiono go gdzie indziej.

Gdy w maju zabito nam deskami oba okienka powstał w celi ogólny płacz. Duchota była jeszcze większa. Wszystkie byłyśmy bardzo wycieńczone. Gdy wyprowadzano nas na spacer, od świeżego powietrza dostawałam zawrotów głowy. Zupełnie nie miałam siły chodzić, tak że podczas całego spaceru siedziałam na ziemi, a potem kobiety brały mnie pod ręce i prowadziły z powrotem.

W dzień św. Anieli (wg ówczesnego kalendarza liturgicznego – 31 maja) zemdlalam w celi. Wprawdzie nie straciłam przytomności, ale zupełnie nie mogłam się poruszać ani mówić. Było mi słabo i ciemno w oczach. Słyszałam, jak moje towarzyszki niedoli stukają do drzwi i krzyczą. Po chwili wyciągnięto mnie na korytarz. Leżąc na gołej posadzce korytarza i oddychając świeżym powietrzem, bo okno w końcu korytarza było otwarte, poczułam się lepiej. Pomyślałam sobie, że być może w tej chwili w naszych kaplicach siostry są na Mszy św. i odnawiają śluby – ja też je odnowiłam... Po chwili dozorca przyniósł mi krople na serce i po pewnym czasie powróciłam do celi.

Zarząd więzienia spostrzegł, że każda cela stanowi zorganizowaną wspólnotę, więc zaczęto te wspólnoty rozbijać. Najpierw zabrano nam starościny panią Lenę i panią Nelę, potem jeszcze inne, a przysłano nam kilka kryminalistek (jedna podobno zadusiła swoje dziecko, druga też popełniła jakąś zbrodnię). Przysłano też dwie obłąkane i kilka takich, które miały donosić władzom, co się dzieje w celi.

Raz przyprowadzono starszą, drobną kobiecinę. Nazywała się Baran. Mówiła, że była służącą u pewnego sędziego, którego aresztowano wraz z rodziną, a ją razem z nimi. Złękałam się i ja o mego brata Wiktora, który też był sędzią.

Baranowa była cichą kobietą, prawie z nikim nie rozmawiała, tylko zawsze była głodna. Jeśli któraś zostawiła coś w misce, wszystko zjadała. Często oddawałam jej swój chleb lub wieczorny pęczak.

Z powodu ogromnej ciasnoty sypiałyśmy „na waleta” na jednym boku. Gdy jeden bok zdrętwiał, wtedy wszystkie musiałyśmy wstać i położyć się na drugi. Światło paliło się przez całą noc. Pewnej nocy obudziłam się z tego zaduchu i ciasnoty, i nagle zobaczyłam nad swoją twarzą jakieś chude ręce z długimi paznokciami, które spuszczały się powoli ku mojej szyi. Serce zabiło mi z przerażenia. Ktoś chce mnie dusić – pomyślałam. Szybko podniosłam głowę i zobaczyłam nad sobą twarz Baranowej.

– Ach! To panna Zosia!

– Co pani chciała zrobić?!

– Nic. Coś mi się przyśniło. – I odwróciła się ode mnie.

Rano nic nikomu nie mówiłam, żeby nie robić paniki, ale postanowiłam ją obserwować. Eleonora, starsza pani, z którą najbardziej się przyjaźniłam, powiedziała na drugi dzień do mnie:

– Coś mi się ta Baranowa nie podoba – albo to jakaś zbrodniarka, albo obłąkana.

Raz nad ranem zauważyłam, że Baranowa cicho wstała ze swego miejsca i bardzo zgrabnie podeszła do stołu. (Przejsz w nocy przez celę było wielką sztuką, bo podłoga była ściśle zasłana ciałami ułożonymi jak sardynki w puszcze.) Weszła pod stół i zaczęła przebierać w butach. Wyciągnęła duży kalosz i przez dłuższy czas trzymała go przy uchu, a następnie przykłada go sobie do ust, jak telefoniczną słuchawkę, mówiąc:

– Tak, to ja, Baranowa. A czy to pan sędzia z Lubartowa? Niech mi pan powie, kiedy mnie wypuszczą?

Ten niezwykły „telefon” był bardzo głośny i cała cela go słyszała. Od tej pory Baranowa co dzień rano „telefonowała” do kalosza, pytając pana sędziego z Lubartowa, kiedy ją wypuszczą. W ciągu dnia była spokojna i zachowywała się zupełnie normalnie.

Raz wpuszczono do nas wiejską dziewczynę, która mówiła żargonem białoruskim (po polsku dobrze mówić nie umiała). Choć to był maj, ubrana była w długi, nowy kozuch. Jak tylko weszła, odwróciła się od nas i zaczęła mocno stukać do drzwi. Gdy podszedł dozorca krzyknęła:

– Albo dawajcie szpuntok, albo na wolność.

– Kajok szpuntok? – pytał dozorca.

– Ty staryj, a durnoj, bo nie wiesz, co to szpuntok.

Nazywała się Paraska. Kobiety pytały ją:

– Paraska, powiedz, co chcesz? Co to jest szpuntok?

– A jak powiesz mój nowy kozuch? Pod stół go nie rzucę.

Nie dano jej jednak tego szpuntoka.

W życiu więziennym zdarzały się też niekiedy i sytuacje zabawne. Śmiałyśmy się wówczas serdecznie. Raz przyprowadzono kobietę, bardzo elegancką i mocno umalowaną, w średnim wieku. Popatrzyła na nas i powiedziała:

– Wy, moje panie, na pewno macie czas i możecie tu sobie siedzieć spokojnie, ale ja jestem dentystką i na mnie w tej chwili czekają pacjenci.

Zaczęła gwałtownie stukać do drzwi, a gdy podszedł dozorca krzyczała:

– Czy wy myślicie, że ja mam czas?! Prędko puszczać, bo pacjenci na mnie czekają! Nie wiem nawet, która godzina, bo zabraliście mój zegarek.

– Poczekaj trochę, uspokój się, pacjenci też poczekają – odpowiedział dozorca i zakrył „judasza”.

Biedna pani Fania, dentystka, przekonała się, że tutaj każdy musi mieć czas, ale miała też i inne zmartwienie: nie miała tutaj szminki, a bez tego trudno było zachować „elegancję”. Gdy zaczynała płakać, przykładała paluszki do oczu, by łzy spływały po nich, a nie po malowanych policzkach.

Kobiety śmiały się z niej i docinały, jak mogły, ale nie gniewała się na nikogo. Nigdy nie chciała powiedzieć, ile ma lat.

– Faniu kochana – mówiły – jesteś na pewno bardzo młoda, wyglądasz na szesnaście lat.

– Niewiele się omyliłaś, tylko o kilka lat – odpowiadała z czarującym uśmiechem.

Pewnego razu pani Fania przysunęła się do mnie i cichutko powiedziała:

– Mam do ciebie bezgraniczne zaufanie i chcę żebyś mi wyświadczyła pewną przysługę.

– Bardzo chętnie, tylko nie wiem, czy to będzie możliwe.

Wtedy szepnęła mi do ucha:

– Powiedz mi szczerze, ale naprawdę zupełnie szczerze – na ile lat ja wyglądam?

Nie bardzo umiałam określić lata, ale palnęłam na chybił trafił:

– Na pięćdziesiąt.

Biedna Fania zakryła twarz rękami i bez przykładania palców rozplakała się na dobre. Zrobiło mi się jej bardzo żal, więc zaczęłam jej tłumaczyć, że nie znam się na latach, że wygląda zadziwiająco pięknie i młodo.

– Powiedziałaś prawdę, a teraz chcesz mnie pocieszyć – odpowiedziała – ale obiecuj mi, że nikomu tego nie powiesz.

Oczywiście, skwapliwie obiecałam.

Po kilku dniach przysuwa się Fania znowu do mnie i mówi:

– Zosiu kochana, zawsze siedzisz na spacerze, bo jesteś słaba, i każdy dozorca ma dla ciebie względy. Usiądź, proszę cię, bliżej muru, tam, gdzie rośnie kilka pokrzyw. Zerwij choć jedną i przynieś mi do celi. Za to po wojnie wyleczę ci bezpłatnie wszystkie zęby.

Zrobiłam, co chciała.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy chwyciła pokrzywę i zaczęła się nią bić po twarzy i rękach.

– To bardzo dobry masaż, to odmładza – powiedziała.

– Przecież jesteś bardzo młoda!

– Ale to przedłuża młodość.

Jedna z kobiet udawała, że jest w ciąży, bo kobietom ciężarnym dawano trochę mleka i więcej jedzenia. Jednak po pewnym czasie władze więzienne zorientowały się, że udaje, i zagrozili jej karcerem.

Karceru wszyscy się bardzo się bali: Trzeba było stać w piwnicy po kostki w wodzie i dawano tylko kawałek chleba i wodę.

Przesłuchania odbywały się czasem w dzień, czasem w nocy. Dozorca wchodził wówczas do celi i mówił:

– Na bukwu¹ B.

Wtedy wszystkie na literę B wymieniały swoje nazwiska. Gdy osoba, o którą mu chodziło, wymieniła swoje, wtedy mówił:

– Zabieraj się.

Czasem dodawał: – Z rzeczami.

Taka osoba żegnała się z towarzyszkami niedoli (bo mogła nie wrócić); czasem prosiła: módlcie się za mnie, i szła za przewodnikiem – przeważnie do drugiego budynku. Trzeba było przejść kilka korytarzy i podwórko. Był taki przepis, że więźniom nie wolno było spotykać się ze sobą, a gdy przypadkiem mijali się prowadzeni przez dozorców, to jeden musiał odwrócić się do ściany i zakryć twarz rękami, aż drugi nie przeszedł.

Każda kobieta z naszej celi miała innego sędziego śledczego, ale prawie nigdy się nie zdarzało, aby sam siedział za stołem – było ich zwykle dwóch lub trzech. Przesłuchania nieraz ciągnęły się bardzo długo. Zadawano podchwytliwe pytania, kazano siedzieć na pochyłym stołku przez kilka godzin, czasem bito.

Raz przyszedł dozorca w nocy, obudził nas i kazał wymienić nazwiska na jakąś literę. Gdy Paraska wymieniła swoje, powiedział do niej:

– Zabieraj się.

A ona:

– Co!?! W nocy!?! Ja nigdzie z chłopcami w nocy nie chodzę.

I odwróciła się od niego. Dozorca krzyczał na nią, ciągnął za rękę, ale dziewczyna ugryzła go i nie dała się wyprowadzić z celi. Zabrali ją w dzień i potem już nie wróciła. Może przenieśli do innej celi? Niektóre twierdziły, że wypuścili ją na wolność.

¹ Na literę B (ros.)

Gdy szłam na przesłuchanie (było to w dzień) bałam się, żeby nie zaszkodzić Jadzi i bratu w Wilnie.

Śledczy siedział za stołem, w wojskowym mundurze (jak zresztą wszyscy). Potem przyszedł drugi, który nie zadawał pytań, tylko słuchał. Pytał mnie, dlaczego chciałam uciekać na stronę Litwy. Powiedziałam, że mam tam ojca emeryta i byłam niespokojna o niego. Pytał jeszcze, dlaczego siedziałam w Święcianach, odpowiedziałam, że szukałam przewodnika. Potem pytał mnie, dlaczego wstąpiłam do klasztoru – odpowiedziałam, że tak chciałam.

– No to chyba czujecie się tutaj dobrze, bo między klasztorem, a więzieniem nie ma prawie różnicy: tu kraty i tam kraty – powiedział ironicznie.

– U nas wcale krat nie ma – odrzekłam – ale jest pewna zasadnicza różnica, dla której nie mogę czuć się tu dobrze.

– Jakaż to różnica?

– Tam poszłam sama, dobrowolnie, a tutaj wy mnie przyprowadziliście.

Roześmieli się na to.

– Czy wy tu się modlicie? – zapytał po chwili.

– Naturalnie, że się modlimy. Za was też się pomodłę.

Na to młodszy, który tylko słuchał, podskoczył i krzyknął ze złością:

– Nie trzeba! Za nas nie wolno się modlić!

I wyszedł. A sędzia śledczy, gdy tamten wyszedł, powiedział cicho:

– Dziękuję.

I na tym śledztwo się skończyło.

Gdy dozorca prowadził mnie już z powrotem do celi, podszedł do drugiego, by zapalić papierosa. Wtedy wyskoczył skądś mały, żółty piesek – może przybiegł za dozorcą? Ucieszyłam się tym pieskiem i przysiadłam, żeby go pogłaskać, a psina wskoczyła mi na kolana i różowym jęczorkiem oblizowała twarz. Tak mnie to rozczuliło, że rozplakałam się w głoś i weszłam do celi cała zapłakana. Z pewnością była to jakaś nerwowa reakcja. Kobiety otoczyły mnie i zaczęły się pytać:

– Co ci zrobili? Bili cię?

Nigdy nie widziały mnie płaczącej, zawsze byłam spokojna i opanowana.

– Pies, pies – mówiłam łkając.

– A to pies! Zbił ją pewnie.

– Nie. Polizał mnie po twarzy. Prawdziwy pies – mówiłam.

– Trzeba było go drapać albo ugryźć, jak Paraska.

– Ale to był prawdziwy pies, żółty.

Kobiety długi czas nie mogły mnie zrozumieć.

– Coś ona bredzi. Jaki pies? Psy w więzieniu nie chodzą. Tu mają prawo chodzić tylko pchły i wszy.

Jeszcze drugi raz wezwano mnie na przesłuchanie. W mojej teczce był gruby rzymski mszał; dostałam go od Jadzi na obłóczony. W tym mszale była fotografia matki Urszuli Ledóchowskiej i kilka obrazków. Śledczy pokazał mi go i pytał, co to jest i do czego służy. A wreszcie wyciągnął fotografię matki Urszuli i pyta:

– Jaki to generał?

– To jest nasza Matka Założycielka.

– To kobieta czy mężczyzna?

– Jeżeli mówię, że Matka Założycielka, to nie może być mężczyzna.

Zawołał drugiego i coś długo szeptali po rosyjsku. Wreszcie śledczy wziął kopertę, wsadził w nią fotografię Matki, zakleił i powiedział, że to pójdzie do Moskwy do sprawdzenia. Roześmiałam się na cały głos.

W maju odprawialiśmy nabożeństwa majowe. Taka oto między innymi powstała z tej okazji pieśń:

PIEŚŃ WIĘZIENNA W MAJU

Matko! Matko miłościwa,
Dziś nie ustroim Twych ołtarzy.
Na próżno maj ku Tobie wzywa,
My Boskiej Twej nie ujrzym Twarzy.

A choć nie świecisz nam w koronie
I nie spoglądasz z cud-obrazka,
Do stóp Twych nie przytulim skroni,
Wiemy, że z nami Twoja łaska.

W ten maj nie niesiem kwiatów w dani
I świec nie palim dla Twej chwały,
Lecz wnosim dla Cię, Dobra Pani,
Ołtarz zwycięski, wiecznotrwały.

A kwiaty na nim jaśniejące
Purpurą krwi i łez udręki,
A światła – znicze gorejące
Nieustającej polskiej męki.

I znów na nowo Twym ramieniem
Ziemia rozdzwoni się wyklęta,
Gdy prawda stanie się ziszczeniem,
Wrócisz w triumfie, Wniebowzięta.

Znów rząd dusz weźmiesz w swe władanie,
Szatańskiej skruszysz moc opoki,
Przez Syna Swego zmiłowanie
Ty jutrznią wzejdziesz w serca mroki.

Tymczasem moja siostra, zrozpaczona, chciała mi jakoś pomóc, ale nie wiedziała, w jakim jestem więzieniu. Ktoś poradził jej, żeby posyłała do różnych więzień pieniądze (była możliwość przesłania pewnej określonej kwoty), bo może z któregoś przyjdzie moje pokwitowanie. Tak też zrobiła. Pewnego dnia dozorca powiedział mi, że dostałam pieniądze. Jednak nie można ich było otrzymać do rąk. Mogłam za nie kupić papierosy, cebulę, czasem chleb z więziennego sklepiku – załatwiano się to przez dozorcę.

Ucieszyłam się bardzo, bo w ten sposób dowiedziałam się, że Jadzia jest na wolności i że otrzyma moje pokwitowanie. Kupiłam bardzo dużo cebuli, cały stół był nią założony, a także papierosy dla palących kobiet, z czego się ogromnie ucieszyły. Otrzymałyśmy sporo soli i codziennie rano jedna przyrządzała cebulową sałatkę. To nas bardzo skutecznie chroniło przed szkorbutem.

W pierwszych dniach czerwca dozorca kazał mi zabierać się „z rzeczami”. Pożegnałam się z towarzyszkami w celi, z którymi już się bardzo zżyłam i poszłam za dozorcą, nie wiedząc, dokąd. On tymczasem przeprowadził mnie przez kilka korytarzy i otworzył drzwi jakiejś nowej celi. Była ona bardzo mała, przeznaczona dla jednej osoby, a teraz przebywało w niej szesnaście kobiet. Ja przyszłam jako siedemnasta. Duchota i ciasnota była jeszcze dotkliwsza niż w poprzedniej. W nocy spać trzeba było na zmianę. Część kładła się na podłodze na „waleta” na jednym boku, a część siedziała w kucki; potem odwrotnie. Te noce, to była prawdziwa udręka. Ale i tutaj kobiety były bardzo miłe. Cieszyłam się, że nie ma Baranowej, bo zawsze jej się trochę bałam.

Przyszedł kiedyś naczelnik więzienia i pytał, czy chcemy się nauczyć języka rosyjskiego. Dość dużo kobiet się zgłosiło, ja także, ale nie zabrali nas – jak myślałyśmy – na jakieś lekcje, tylko dano nam elementarze i książki, a nauczyć miałyśmy się same. Pani K. dobrze rozumiała język rosyjski, pokazała nam litery i nauczyła trochę wymowy. Szybko opanowałam alfabet i wkrótce zaczęłam czytać i uczyć się na pamięć wierszy. Pierwszy, który opanowałam, pamiętam do dziś: *Martyszka i oczki*².

W końcu czerwca załadowano nas na ciężarówki i dowieziono do stacji kolejowej, a potem wsadzono do pociągów towarowych. Było nas bardzo dużo – kobiet i mężczyzn. Przy tej okazji zobaczyli się ze sobą małżonkowie lub matka z córką czy też syn z ojcem, ale nie pozwolono im być razem.

² Małpa i okulary (ros.)

Chciałam zobaczyć panią Muchę, ale się nie udało. Nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą. W dzień parzyliśmy przez szczeliny, aby zorientować się, w którą stronę jedziemy. Po dwóch dniach wyszliśmy na jakiejś większej stacji, na bocznych towarowych torach. Zdążyliśmy zapytać miejscowych ludzi o nazwę stacji.

– Połock – odpowiedzieli.

Byliśmy więc na terenie Związku Radzieckiego. Niedaleko był Witebsk, a dalej na północ, w tej samej linii, Psków. Poprowadzono nas do więzienia, które znajdowało się niedaleko. Przyjemnie było oddychać świeżym powietrzem. W połockim więzieniu było trochę lepiej, bo cele były dużo większe. W celi, w której siedziałam, umieszczono nas trzydzieści pięć, ale nie było ciasno. Okien było, zdaje się, sześć i nie były zabite deskami, tak że powietrza było dużo więcej. Każda mogła swobodnie położyć się do spania, nie potrącając innych, już nie na „waleta”. Nie było tu tylko drewnianej podłogi, lecz posadzka kamienna, ale był upalny lipiec, więc zimno nam nie dokuczało. Myślałyśmy, co będzie dalej, czy długo będziemy w więzieniu? Już nawet największe optymistki traciły nadzieję, że wypuszczą nas na wolność. Nie było stąd wprawdzie daleko do Polski, ale już nie byliśmy w swoim kraju. Tutaj też już nie otrzymywałam pieniędzy od Jadzi – widocznie straciła mój ślad.

W połowie września odczytano nam wyroki. Odbyło się to bardzo „uroczyście”. Na olbrzymie więzienne podwórze sprowadzono wszystkich więźniów – najpierw kobiety, potem mężczyzn. Ustawiono nas w półkolach, celami. Na środku stał duży stół, za którymi siedzieli: naczelnik więzienia, sędziowie i inni – w wojskowych mundurach. Wczytywano głośno nazwiska. Gdy więzień usłyszał swoje, podchodził do stołu, a wówczas odczytywano mu wyrok, pod którym musiał się podpisać. Na wolność nie wypuszczono nikogo. Wyroki były od trzech do dziesięciu lat obozu pracy. Kiedy padło moje nazwisko, podeszłam bez strachu (jak zresztą wszyscy). Odczytano mi wyrok – pięć lat obozu. Podpisałam ten wyrok na siebie i powiedziałam, że nasz Rząd upomni się o nas. Odpowiedzieli, że naszego Rządu nie ma i nigdy nie będzie. Niektórzy kpili z tych wyroków na głos. Na przykład Jadzia K. (nazywano ją Cherubek ze względu na miłe usposobienie i niebieskie oczy), która siedziała ze mną w celi, dostała osiem lat obozu. Zaśmiała się na cały głos, gdy jej ten wyrok odczytano i powiedziała:

– Cóż to znaczy?! Tylko tyle na moją urodę?

Spotkałam się też z panią Muchą. Byłyśmy znowu w jednej celi. Ona również dostała pięć lat obozu. Nikt z nas nie wierzył, że będzie to trwać tyle lat.

– Tylko do zakończenia wojny, a to przecież prędko nastąpi – pocieszałyśmy się nawzajem.

Po ogłoszeniu wyroków spędziłyśmy tylko kilka dni w więzieniu. Chciałyśmy wszystkie jak najprędzej jechać już do tych obozów. Przynajmniej będzie można chodzić i oddychać świeżym powietrzem, no i wreszcie coś robić. Ale nikt nie wiedział, gdzie te obozy są. Nie przypuszczaliśmy, że to będzie tak daleko. Wielu Polaków zostało wówczas wywiezionych na Syberię do Archangielska lub do Workuty, nazywanej „biegunem zimna”, gdyż przez większą część roku temperatura dochodzi tam do siedemdziesięciu stopni poniżej zera.

MORDWIA

W drugiej połowie września 1940 r. zaczęto nas wywozić z Połocka do obozów. W więzieniu spędziłam już sześć miesięcy i parę tygodni. Wraz z innymi kobietami zabrano mnie do szczelnie zamkniętego wagonu towarowego. Gdy pociąg ruszył, wszystkie rozplakałyśmy się w głos. Nie wiedziałyśmy, dokąd nas wiozą, czy jeszcze kiedyś powrócimy do Ojczyzny, do rodzin, do bliskich.

– Żegnaj, Polsko! – wołałyśmy. – Żegnajcie, najbliżsi!

Pamiętam pieśń, którą wówczas śpiewałyśmy:

Naprzód, drużyno strzelecka,
Sztandar do góry swój wznieś,
Żadna nas siła zdradziecka,
Złamać nie może ni zgnieść.

Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć.

Jechałyśmy dziesięć dni. W drodze karmiono nas soloną rybą i chlebem. Czasem zatrzymywaliśmy się na jakichś stacjach (gdzieś na bocznych torach) i wówczas dostawaliśmy zupeł. W ostatnich dniach września przyjechaliśmy do obozu, który znajdował się w Mordwińskiej ASRR, przysiółek (osiedle) Jawas. Mordwia znajduje się na południowy zachód od Moskwy, w środkowej części Rosji. Klimat tam jest bardzo ostry – latem wielkie upały a zimą ostre mrozy; ziemia bardzo urodzajna.

Przyjechaliśmy pod wieczór. Po sprawdzeniu obecności odprowadzono nas do baraków, w których były tylko drewniane, gołe prycze. Nie było też żadnego oświetlenia. Pierwsza noc była straszna, nie można było spać. Gdy pokładłyśmy się swobodnie na tych pryczach, nastąpił prawdziwy atak pluskiew. Okazało się, że prycze i ściany baraku były „ruchome”. Pozrywałyśmy się wszystkie do walki z gryzącym robactwem, ale okazała się ona daremna – mrowie pluskiew było silniejsze od nas. Nad ranem uciekłyśmy wszystkie z tego „zasiedlonego” locum.

Zamieszkałyśmy w zupełnie nowym, niewykończonym baraku.

W tej okolicy były dwa, dość od siebie odległe obozy – dla mężczyzn i dla kobiet. Każdy był otoczony drutami, na czterech rogach stały wysokie budki strażników zwane „bocianami”.

Po terenie obozu można było się poruszać swobodnie. Obejmował on kilkanaście baraków, w których były piętrowe prycze i stół na środku. Oprócz baraków sypialnych były: stołówka, ambulatorium z małym szpitalikiem, łaźnia oraz budynek zarządu.

Po rannym apelu na dworze, szłyśmy do stołówki na śniadanie. Składało się ono zawsze z kawałka czarnego chleba i jakiegoś ciepłego płynu. Po śniadaniu szło się do pracy. Nasz obóz był obozem pracy, a nie karnym.

Pierwszą pracą, którą nam wyznaczono, było zbieranie z pola kartofli i pomidorów. Kobiety były tym uszczęśliwione. Praca na świeżym powietrzu, na słońcu. Pani Fania dentystka cieszyła się, że wreszcie odzyska świeżą cerę. Chociaż wszystkie więźniarki były osłabione długim siedzeniem w więzieniu, brakiem powietrza i ruchu, to jednak ja byłam najsłabsza – nie byłam w stanie iść do pracy.

Wieczorem przyszły z pola zmęczone, ale zadowolone. Niektóre poprzynosiły w zanadru kartofle i pomidory. Baranowa, z którą znowu byłam razem, chwyciła jakiś but i długo wieczorem „telefonowała” do sędziego z Lubartowa, że ma dobrą pracę.

Najgorzej ze wszystkich wyglądała biedna pani Fania. Chcąc opalić plecy zdjęła podczas pracy sukienkę, no i przyszła z płaczem – cała czerwona i z bąblami.

Tymczasem dowożono coraz to nowe transporty więźniów. Często dochodziło do różnych, zupełnie nieprzewidzianych, spotkań członków rodzin czy znajomych. Spotkałam wówczas panią Wandę W., która pracowała w Pińsku w sądzie jako sekretarka mego brata. Uspokoiła mnie co do jego losu mówiąc, że ludzie uratowali go przewożąc w sianie do Wilna, gdzie ma spokojną pracę fizyczną i nikt tam nie wie, że jest prawnikiem.

Gdy skończyła się praca w polu i nastały chłody, zaczęto nas pędzić do o wiele cięższej pracy – przy ścinaniu lasów. Było to bardzo niebezpieczne i wyczerpujące. Z siekierami w rękach trzeba było pracować od rana do wieczora o kawałku chleba. Naczelnik obozu powiedział, że tylko ciężko chore i stare mogą być zwolnione od tej pracy, o ile lekarz wyda odpowiednie zaświadczenie. Zgłosiłam się razem z innymi do lekarza. Był to młody, kończący medycynę w Moskwie student, który odbywał tu praktykę. Nazywał się Bałotin. Od razu przychylnie ustosunkował się do więźniów, szczególnie do Polaków. Powiedział, że nie nadają się do tak ciężkiej pracy i że zrobi wszystko, aby mnie od niej uwolnić. Jeszcze kilka kobiet uzyskało zwolnienie, ale co dzień musiałyśmy się zgłaszać do lekarza po zaświadczenie.

Wszystkie chodzące do lasu kobiety dostały watowane spodnie, kurtkę, czapkę z nausznikami i jakieś buty. Zimą temperatura tam dochodziła do czterdziestu stopni i niżej (przy pięćdziesięciu stopniach do pracy się nie chodziło). Śniegi były bardzo wysokie. Kobiety idące do lasu obwiązywały się sznurem i przywiązywały jedna do drugiej, aby która nie została w śniegu. Żał było patrzeć, gdy wracały z lasu zmarznięte do szpiku kości. W barakach były piece i paliłyśmy w nich drzewem, ale prycze były zupełnie gołe – nie było nawet sienników. I wciąż odczuwałyśmy głód...

Pozwolono nam pisać listy, cztery na rok, i prosić o paczki. Waga ich jednak nie mogła przekraczać ośmiu kilogramów. Napisałam do Jadzi i do naszych siostr w Wilnie, donosząc o sobie. Jadzia bardzo prędko odpisała i przysłała paczkę żywnościową. Gdy ktoś otrzymywał paczkę, wzywano go i w obecności dwóch-trzech żołnierzy oddawano całą przesyłkę nienaruszoną. Dawano nożyce do obcięcia sznurka i kazano pokazać, co paczka zawiera. Jeżeli było coś w pudełkach, trzeba było wysypać. Nie można było otrzymywać w paczce listów, lekarstw lub ostrych przedmiotów. Następnie wszystko w całości oddawano adresatowi. Paczkę od Jadzi dostawałam co dwa tygodnie. Gdy widziałam, że moi dozorczy bardzo łakomie patrzą na otrzymywane produkty, bo i oni byli też głodni, częstowałam ich, za co mi serdecznie dziękowali. Dzieliłam się też z tymi towarzyszkami, które nic nie otrzymywały. Otrzymałam też koc, poduszkę i wysokie filcowe buty zwane walonkami.

Pewnego razu dostałam też paczkę od siostr z Wilna, z której bardzo się ucieszyłam, bo miałam już pewność, że są na miejscu, ale im też było bardzo ciężko. Nie mogły jednak więcej przysyłać paczek (z Wilna nie było to dozwolone).

Pewnego dnia doktor Bałotin zapytał mnie, czy to prawda, że jestem zakonnica. Bardzo się zdziwił, gdy potwierdziłam, ale od tej pory jeszcze bardziej troszczył się o mnie i dużo opowiadał o sobie i swoim sierocym życiu.

W niedługim czasie powiedział mi, że chce mnie oddać do szpitala odległego o czterdzieści kilometrów, w którym przebywali wyłącznie chorzy z obozów. Zdziwiłam się bardzo, bo nie czułam się chorą, a tam odwożono tylko ciężko chorych lub potłuczonych, których przywaliły drzewa w lesie. Wy tłumaczył mi, że czyni to tylko dla mego dobra. W szpitalu ciepło, łóżka z czystą pościelą, jedzenie dobre, a przy tym bardzo dobra lekarka Walentina Pawłowna.

– Nie potrafię symulować choroby, zresztą, lekarka na pewno się pozna – powiedziałam.

– Nie potrzebujecie symulować. Napiszę do niej list, zrozumie, o co mi chodzi, i przetrzyma was przez zimę, a potem postaram się, żeby przeniesiono was do innego punktu obozowego, gdzie jest lżejsza praca. Ja też tam będę do wiosny.

Doktor Bałotin napisał oświadczenie do naczelnika obozu, że mam ciężką wadę serca (rzeczywiście serce mi wówczas ciągle dokuczało) i że potrzebuję leczenia w szpitalu. Naczelnik nie dowierzał Bałotinowi i zażądał dla mnie i jeszcze kilku osób komisji lekarskiej. Stałam więc przed komisją; oprócz Bałotina była jeszcze młoda lekarka i lekarz. Prawie wcale mnie nie badali, tylko bardzo miło rozmawiali, wypytyując o życie w Polsce.

Wydali zaświadczenie, że jestem bardzo ciężko chora na serce i muszę być odwieziona do szpitala. Prosiłam jednak doktora Bałotina, abym mogła spędzić Boże Narodzenie w swoim baraku z kobietami, z którymi się żyłam.

Boże Narodzenie, tak miłe w domu rodzinnym i w Zgromadzeniu, i moje poprzednie z Jadzią, także inne i smutne było to dla nas wszystkich w tym obozie. Jadzia przysłała mi opłatki, ale zostały skonfiskowane. Kilku mężczyzn dostało przepustki i mogli przyjść ze swego obozu do nas na wieczór wigilijny – niektórzy mieli tu swoje żony lub córki. Kobiety przyniosły choinkę z lasu, postawiły na stole, który stał na środku baraku. Potem jeden z mężczyzn pięknie przemówił, a jedna z naszych starszych pań wzięła duży kawałek czarnego chleba, którym zaczęliśmy się łamać jak opłatkiem. Starszy

pan ucałował mnie w oba policzki i rozpląkał się na cały głos, a wtedy wiele kobiet także nie mogło powstrzymać gorzkiego płaczu.

Zasiedliśmy do stołu. Oprócz chleba niektóre z nas miały zapasy z paczek – konserwy rybne, cebulę, smalec, cukier, herbatę. We wszystkich barakach działo się to samo. Gdy zabrzmiało *Wśród nocnej ciszy*, wartownicy i dozorczy potracili głowy. Polska kołęda rozlegała się po całym obozie i leciała na ciemne, zaśnieżone lasy rosyjskie.

Cały obóz, a nawet ten cichy las, stały się jakby jednym wielkim polskim rozśpiewanym kościołem a my „odprawialiśmy” Pasterkę przez całą noc.

Na drugi dzień żaden z Polaków nie poszedł do pracy. „Naczalstwo” krzyczało, a Polki odpowiadały śpiewaniem kolęd.

Po dwóch dniach pojechałam do szpitala. Był duży, miał kilka oddziałów, leżeli w nim chorzy przywiezieni z różnych obozów. Najwięcej było tam Rosjan – Polaków i przedstawiciele innych narodowości znacznie mniej. Naczelnym lekarzem była doktor Walentina Pawłowna, chirurg, też więźniarka. Podobno jej mąż zajmował jakieś wysokie stanowisko w Moskwie, ale na skutek donosu dostał się do więzienia na dożywocie i ją także wówczas zabrano.

Była to starsza kobieta o dużych czarnych oczach i siwiejących włosach. Pierwsze spotkanie z nią zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Takich ludzi się nie zapomina. Uderzająca była jej inteligencja a także wielka dobroć i poczucie humoru. Ledwie spojrzała na mnie (nie czytając listu doktora Bałotina), od razu domyśliła się, o co chodzi.

– Naturalnie, zatrzymam cię przez zimę, dziecko. Widzę, że masz mało ciała na sobie, więc nawet trochę cię podleczymy.

Gdy jej dziękowałam wzięła mnie za rękę i pytała:

– Powiedz mi szczerze: Dlaczego doktor Bałotin tobą się interesuje? Kochacie się?

– Jestem zakonnicą i doktor Bałotin, wiedząc o tym, chce mi pomóc.

– Przecież on jest niewierzący!

– Ale jest bardzo dobry dla wszystkich ludzi.

– Takich rzeczy nie można mówić głośno, bo ściany mają uszy – odpowiedziała.

Umieściła mnie na oddziale wewnętrznym, gdzie było dużo kobiet chorych na nerki, zapalenie płuc i inne choroby. Było tu kilku młodych lekarzy, którzy odbywali staż pod kierunkiem Walentyny Pawłowny. Nieraz ich mocno upominała za najmniejsze niedopatrzienia, ale cenili ją bardzo, a jej pochwałę uważali za wielki zaszczyt. Wszyscy chorzy ją wprost ubóstwiali. Opowiadali o niej niezwykle rzeczy.

Rzeczywiście dokonywała czynów zupełnie zadziwiających. Gdy przywieźli raz z lasu więźnia przywalonego drzewem, z zupełnie rozbitym czaszką, i zabrakło środków znieczulających, Walentina Pawłowna „na żywca” zrobiła mu ciężką operację. Człowiek powrócił do życia i zdrowia. Miała złote ręce i złote serce. Kochała miłością matczyną swoich pacjentów – sama siedziała w nocy przy ciężko chorych. Raz, gdy się obudziłam, zobaczyłam jej dobrą twarz nad sobą. Położyła mi rękę na głowie i po chwili cicho odeszła.

Jedna ciężko chora, leżąca razem ze mną na sali mówiła, że gdy pani doktor stoi przy niej, to czuje się lepiej. Inna, Rosjanka Wiera, twierdziła, że sam widok Walentyny Pawłowny przywraca zdrowie oraz chęć do życia. A przecież była to kobieta bardzo nieszczęśliwa. Cała jej rodzina była w więzieniu, skazana na dożywocie. Nic o nich nie wiedziała. Sama stale musiała przebywać na terenie łagru (nie wolno jej było go opuszczać). Gdy otrzymała paczkę, dzieliła się z chorymi. Do wszystkich chorych mówiła „ty” z wyjątkiem osób starszych.

Nie chciałam być w szpitalu za długo, choć Walentyna Pawłowna gotowa była zatrzymać mnie przez całą zimę. Miałam wyrzuty sumienia, że zajmuję miejsce komuś bardziej potrzebującemu. Powiedziałam, jej o tym – na razie próbowała obrócić to w żart:

– Wołodia [dr Bałotin] będzie zły, gdy wrócisz na ten mróz do zimnego baraku. A może tęsknisz za nim?...

Tak, tęskniłam, ale za Jedynym Oblubieńcem duszy mojej, którego nie mogłam przyjąć w Komunii świętej sakramentalnie, ale ufałam Mu, że będzie się mną opiekował jak swoją własnością. Tyle miałam dowodów Jego opieki! Nie bałam się niczego.

Powróciłam do baraku w połowie stycznia. Był rok 1941. Znajome panie bardzo się ucieszyły z mojego powrotu. Była tam jedna trochę nienormalna Litwinka. Nie umiała mówić ani po polsku, ani po rosyjsku. Nie chciała przyjmować posiłków, tylko całymi dniami i nocami siedziała na górnej prycy,

naprzeciwko mnie, machając rękami. Była blada i bardzo chuda. Jej towarzysza, też Litwinka, mówiła, że ona nazywa się Julia Radziwiłł.

Pewnego razu wyjęłam swój więzienny różaniec z chleba i zaczęłam go odmawiać. Wtedy zobaczyłam, że Julia, która nie patrzyła nigdy na nikogo tylko w sufit, kiwnęła na mnie ręką. Kiedy podeszłam do jej pryczy, wskazała na różaniec i złożyła ręce – chciała razem ze mną odmawiać. Zaczęłam po polsku – kręci głową, że nie, że po litewsku – a przecież tego języka wcale nie znałam. I wtedy, nie zastanawiając się, czy mnie zrozumie, zaczęłam mówić po łacinie. Wtedy ucieszyła się bardzo i razem mówiliśmy *Pater Noster* i *Ave Maria*, a na końcu *Gloria Patri*. Odtąd mówiliśmy przez pewien czas modliłyśmy się razem. Ode mnie przyjmowała posiłki, bo powiedziałam jej, że to z moich paczek, a nie od „nich”.

Po dwóch tygodniach doktor Bałotin postarał się o przeniesienie mnie i jeszcze kilku kobiet na inny „łachpunkt”³, gdzie była lepsza praca w fabryce.

Fabryka ta znajdowała się tuż za naszym obozem. Byłam już silniejsza i mogłam iść do pracy. Wyrabiano tam drewniane guziki i paciorki, a z nich damskie torebki i inne ozdoby. (Paciorki wiązało się na kolorowych nitkach w różne desenie.) W tej fabryce były różne działy: tokarnie elektryczne, na których wytaczało się te elementy o rozmaitej wielkości, farbiarnie, wiązalnica oraz pakowalnia z kilkoma działami. Nie była to praca ciężka, ale w każdym dziale były wyznaczone normy do wyrobienia.

Poszłam pracować do tokarni. W dużej sali fabrycznej wzdłuż ścian ciągnęły się stoły, do których były przytwierdzone małe tokarnie elektryczne. Przy każdej siedziała jedna pracownica. Ja też usiadłam przy jednej takiej maszynie. Trzeba było bardzo szybko podkładać małe pokrojone kawałeczki deszczulek pod stopkę i nacisnąć rączkę maszyny. Wtedy z turkotem toczył się paciorek i wpadał do pudełka z drugiej strony. Należało bardzo uważnie i w odpowiedni sposób wsunąć deseczkę, a przedtem obejrzeć czy nie jest krzywa, chropowata lub z sękami, bo wtedy koralik wychodził uszkodzony. Po skończonej pracy brakarze oglądali bardzo dokładnie paciorki i uszkodzone odrzucali. Czasem bywało tak, że przez cały dzień nie wyrobiło się nawet jednej czwartej normy. Wówczas za karę dostawało się bardzo zły obiad – tylko trochę mętnej „zupy”.

Na sali panował wielki hałas, bo wszystkie maszyny turkotały. Drobne opiłki drewniane leciały prosto na twarz pracownika, trzeba więc było wkładać chustki i zasłaniać oczy. Wśród pracownic były też Rosjanki. Zdarzały się często przypadki nieuczciwości – gdy jedna choć na chwilę odeszła od maszyny, sąsiadki podkradały jej wyrobione już paciorki. Dużo było z tego powodu kłótni i wymyślań.

Nigdy nie udawało mi się wyrobić normy i stałe siedziałam na „trzecim kotle”, to znaczy miałam przydział najgorszego jedzenia.

W stołówce były trzy okienka. Pierwsze, najlepsze, dla inżynierów, „naczelstwa” i przodowników pracy, których nazywano „stachanowcami”⁴. Drugie dla tych, którzy wyrabiali normy, a trzecie, najgorsze, dla tych, co normy nie wyrabiali i dla chorych, którzy znajdowali się w barakach. Gdy otrzymałam od Jadzi paczkę, nawet nie szłam do stołówki po przydział, ale paczka rozchodziła się w ciągu dwóch-trzech dni, bo dzieliłam się z towarzyszkami, które ich nie otrzymywały. Nieraz głód dokuczał, ale Pan Bóg opiekował się mną stale w przedziwny sposób.

Lubiłam i lubię zwierzęta. W naszym obozie był duży bury kot syberyjski. Włóczył się po całym terenie. Wszyscy nazywali go Waśka. Pogłaskałam go kilka razy, podrzuciłam mu coś do jedzenia i od tej pory stał się moim przyjacielem. Chodził mi przy nodze z podniesionym ogonem, biegał za mną do fabryki.

W baraku było nas sto pięćdziesiąt osób. Zawsze znalazł moją pryczę (a spałam na górze) – związał się na noc przy moich nogach i ogrzewał futerkiem. Był bardzo łagodny i słuchał moich poleceń. Raz, dla żartu, przed rannym apelem położyłam Waśkę na grzbiecie na swojej pryczy, przykryłam kocem i kazałam mu leżeć. Przyszedł dozorca, aby nas – jak zwykle – obudzić. Stanął przy mojej pryczy i zobaczył, że ktoś na niej leży (z dołu nie było widać kto). Zaczął krzyczeć:

– Wstawaj! Padnimajsia!⁵

³ W żargonie obozowym – jedno z miejsc pobytu więźniów.

⁴ Od nazwiska Stachanowa. A. G. Stachanow, górnik z Donbasu, który w 1935 r. zasłynął z tego, że wykonał 1475% normy wydobywania węgla na jednej zmianie; zapoczątkował on tzw. *ruch stachanowski* (współzawodnictwo pracy w ZSRR, a później także w państwach bloku komunistycznego); miało to doprowadzić do lepszego wykorzystania osiągnięć technicznych i do podwyższenia produkcji, a w rzeczywistości spowodowało zwiększenie eksploatacji robotników (stały wzrost planowych norm) i dezorganizację wytwórczości (przyspieszone zużycie narzędzi); *ruch stachanowski* wykorzystywano w stalinowskiej propagandzie pracy.

[przyp. za: *Nowa encyklopedia powszechna PWN*, Wyd. Naukowe PWN, Wyd. I, Warszawa 1996, t. 5, s. 986]

⁵ Podność się! (ros.)

A potem zapytał, czy to może ktoś chory? Niektóre kobiety zaczęły się śmiać, co go bardzo rozłościło. Stał wtedy na stopniu i z krzykiem:

– Wstawaj!

Zerwał koc.

Waśka skoczył przestraszony i uciekł, a strażnik nie wiedział, co robić – śmiać się czy złościć, więc tylko krzyknął:

– Ty, Waśka! Czort! Durak!⁶

Pewnego razu, gdy głód mi porządnie dokuczał, powiedziałam do kudłatego towarzysza (a rozumiał polską mowę):

– Wasiulek, co, mamy głodować? Trzeba konceptem ruszyć, jak pan Zagłoba. Pomożesz mi?

Potrącił mnie w łokieć na znak zgody.

– Waśka, chodź – powiedziałam.

I razem poszliśmy do stołówki. Wkrótce miało się zacząć wydawanie obiadu. Stałam z Waśką przed pierwszym okienkiem. Wydająca obiad spojrzała na mnie zdziwiona i zażądała bloczka.

– Gdzie bloczek?

– Nie mam talonu, bo ja biorę nie dla siebie.

– A dla kogo?

– Dla Waśki.

– Dla jakiego Waśki?

– Stoi tutaj, tylko trzeba się trochę wychylić z okienka.

Wychyliła się i zaczęła się śmiać.

– Puskaj myszy łowit⁷.

– Ale on jest stachanowiec i już wszystkie myszy wyłowił. Jemu z prawa przynależy jeść teraz z pierwszego kotła.

Zobaczyła, że oboje nie ustępujemy, i już robi się zbiegowisko, więc zawołała naczelnika od aprowizacji. Wszystko mu bardzo grzecznie wytłumaczyłam:

– To jest wasz kot. W obozie już wszystkie myszy i szczury wyłowił, a teraz przyszedł na żywienie do mnie. Ja siedzę na trzecim kotle i nie mogę go wcale wyżywić.

Uśmiełi się wszyscy z tego żartu, a naczelnik od aprowizacji przyznał mi rację i Waśka otrzymał porcję z pierwszego kotła. Dali kotlet i gotowane mięso. Od tej pory byłam przez pewien czas „na utrzymaniu” Waśki. Dzielił się ze mną jedzeniem bardzo chętnie.

Od wiosny przestałam chodzić do tokarni, bo na skutek interwencji lekarza zostałam przeniesiona do najbliższego działu, do pakowni. Trzeba tam było wkładać do pudełek kartoniki z guzikami, torebki i paseczki. Najczęściej stemplowałam kartoniki i pudełka. Pracowało się w czystym pomieszczeniu i nie było wyznaczonych norm.

W Wielkim Poście wieczorami odprawialiśmy Drogę Krzyżową. Pewnego razu kobiety zaczęły nalegać na mnie, żebym dała im rekolekcje.

Pamiętałam ostatnie rekolekcje zakonne, trochę musiałam w nich zmienić i dostosować do naszych aktualnych przeżyć. Trudno – *Na bezrybiu i rak rybą*. Najważniejsze, że biedne zakluczone⁸ były zadowolone.

Po pewnym czasie zaczęto przysyłać do nas kryminalistki – Rosjanki. W każdym baraku je porozmieszczano. W naszym umieszczono ich ok. dziesięciu. Bałyśmy się ich bardzo – już sam ich wygląd był odpychający: brudne, cuchnące, rozczochrane, a prawie każda z papierosem i z wyzywająco uszminkowanymi wargami. Miały swój kąt w baraku i trzymały się razem, ale od razu zaczęły się nami interesować. Z początku nie chciałyśmy z nimi rozmawiać. Między sobą rozmawiały krzykliwie, używając wulgarnych słów. Wszystkie były złego prowadzenia, ponadto każda z nich miała na sumieniu jakieś zbrodnie: rabunki, włamania do sklepów, morderstwa lub zabijanie własnych dzieci.

Zauważyłam, że jedna z nich, bardzo młoda, była niewidoma i pozostałe wszędzie ją prowadziły. Raz, gdy szła sama do ubikacji, zaprowadziłam ją. Dziękowała mi za to, a potem opowiadała mi, dlaczego tak tragicznie potoczyły się jej losy. Oślepla dlatego, że sama sobie umyślnie zniszczyła wzrok. Pracowała jako sprzątaczką w poprzednim łagrze, gdzie siedziała za kradzież. Gdy sprzątała w kance-

⁶ Głupi! (ros.)

⁷ Uciekaj myszy łapać. (ros.)

⁸ zamknięte, uwięzione (ros.)

larii naczelnika, zauważyła chemiczny ołówek. Wyciągnęła z niego środek i kawałki powkładała sobie do jednego i drugiego oka. Zrobiła to dlatego, że chciała się dostać do szpitala, bo tam były lepsze warunki. Wzrok zupełnie straciła, a teraz tego bardzo żałowała.

Pozostałe z tych kobiet całymi misami jadły śnieg, żeby zachorować, niektóre łykały noże, widelce lub gwoździe. Jedna miała obciętą rękę (sama ją sobie odrąbała w lesie).

Ciężko było patrzeć na te wszystkie przypadki.

Zaczynała się wiosna. Na Wielkanoc otrzymałam od Jadzi dużo jajek, inne też otrzymywały, więc mogłyśmy się nimi dzielić. Nasze Rosjanki patrzyły na nas ze zdumieniem, a gdy śpiewaliśmy *Wesoły nam dzień dziś nastał...* – wszystkie płakały. Niektóre z nich coś słyszały o Bogu od swoich rodziców, inne – wychowywane w domach dziecka – nic o Nim nie wiedziały. Próbowałam rozmawiać z nimi na tematy religijne, ale było to trudne, bo nie znałam wystarczająco dobrze języka.

Wprowadzono nam także obowiązkowe lekcje języka rosyjskiego. Przyszła nauczycielka i zapisała nas wszystkie do grupy początkujących, z wyjątkiem kilku pań, które dobrze ten język znały już przed wojną. Może po dziesięciu dniach nauki, nauczycielka przeczytała nam jakąś łatwą bajeczkę i kazała ją streścić w kilku zdaniach. Po kilku dniach wywoływała głośno nazwiska i oddając zeszyty mówiła swoje uwagi na temat popełnionych błędów. Zdziwiłam się, że nie wywołała mojego nazwiska i zeszytu mi nie oddała. Podeszłam więc do niej po lekcji i zapytałam, dlaczego. Nauczycielka mocno się na mnie rozgniewała i zarzuciła mi, że ją oszukałam, bo nie powiedziałam jej, że znam język (tak jak to zrobiło pozostałe dziesięć kobiet, które zostały zwolnione z lekcji) i że na pewno zrobiłam to celowo, aby ją podpatrywać, jak uczy. Bardzo się zdziwiłam.

– Naprawdę jestem początkującą – tłumaczyłam. – W więzieniu uczyłam się tylko kilka tygodni.

– Nie wierzę – krzyczała, – aby ktoś początkujący tak dobrze i bezbłędnie pisał. Proszę więcej nie przychodzić na moje lekcje.

I tak skończyła się dla mnie nauka rosyjskiego.

„Naczalstwo” zaczęło dbać o to, abyśmy miały jakieś rozrywki. Było tam kilka zespołów artystycznych, które składały się z samych rosyjskich więźniów. Dawali oni koncerty i przedstawienia tylko w łagrach. Do nas też przyjechali kilka razy. Grali na różnych instrumentach, tańczyli i śpiewali. Niektórzy byli bardzo utalentowani.

Zbliżał się maj. Za parkanem obozu szumiał las, z daleka widać było biało-zielone strzeliste brzozy, a w obozach zaczęły się, niestety, szerzyć różne choroby. Dużo osób dostawało awitaminozy, szkorbutu; zaziębienia często przechodziły w zapalenie płuc lub choroby serca. Awitaminoza objawiała się w ten sposób, że dostawało się wrzodów na całym ciele, które nie chciały się goić i żadne maści nie pomagały. Szkorbut niszczył dziąsła i szczęki. Kilka kobiet dostało „kurzej ślepoty” (polegała ona na tym, że w dzień widziało się dobrze, natomiast zaraz po zachodzie słońca – zupełnie nic). Nie była to jednak choroba nieuleczalna – mijała po niewielkiej dawce tranu.

Pierwsza z naszego baraku umarła pani Helena F.; prawie na oczach nas wszystkich. Zabrali ją szybko. Chciałyśmy wiedzieć, gdzie i jak ją pochowają, i dlatego ustanowiliśmy dyżury przy bramie. Widziałyśmy wszystkie, jak ją wywieziono poza nasz teren. Ciało jej złożyli do zwykłej skrzynki, na której była tabliczka z napisem: *A – 18*. A oto refleksja w oparciu o to wydarzenie:

A – 18

Nie znałam jej zupełnie pośród
setek twarzy,
Niczym nie odznaczała się jej
twarz zmęczona,
Nie znałam jej, choć może tak
jak inni szarzy
I smutni ludzie mija mnie
niedostrzeżona.
Nie znałam jej, lecz teraz ciemnymi
nocami
Myśli me biegną drogą od deszczu
rozmiękną,
Tą jej ostatnią drogą ... i chciałabym

łzami
Ogrzać jej ręce zimne, szepcząc cichuteńko
– Nie myśl, żeś tu samotna, choć
wokół Ciebie
Bieleją tylko brzozy strzeliste i drzące,
Lecz posłuchaj, w wiatru posłyszysz
powiewie
Serc naszych uderzenia mocne i gorące
A może... Tyś szczęśliwa – może
nie słuchając, co szepczą
liście współczujące
Poszłaś tam, gdzie wszystkie nasze
myśli biegną,
Poszłaś radośnie w stronę gdzie,
zachodzi słońce,
Na tym obcym polu
za lat kilkanaście
zostanie tylko napis A-18
Requiescat in pace!

Mordwińska ASRR, pas „Jawa”

Nie zachorowałam na awitaminozę, ani na skorbut. Kochana moja siostra przysyłała mi często cebulę, czosnek, a także świeże drożdże. Rozcierałam je z cukrem w kubeczku, dolewałam wody i piłam co dzień na czczo, bo tak mi Jadzia nakazała w liście. Miałam świeżą cerę, a nawet przytyłam. Doktor Bałotin postarał się, żeby mnie przeniesiono na inwalidzki „łachpunkt”.

– Tam będzie lepiej – twierdził – tam tyle godzin pracy nie obowiązuje, oprócz tego inwalidzi mogą chodzić do lasu i zbierać jagody lub maliny.

Pojechałam na inwalidzki punkt, ku rozpacy biednego Waški. Razem ze mną pojechała też Baranowa i jeszcze kilka kobiet. Znajdował się on w środku lasu i trzęsawisk. Baraki były gorsze, dużo gorsze niż przy fabryce. W stolówce było tylko jedno okienko – wszyscy dostawali tę samą lurę i kawałek chleba. Nie było to jednak uciążliwe, bo otrzymywałam paczki. Przestały one jednak przychodzić (a potem urwała się też korespondencja), gdy Związek Radziecki przystąpił do wojny z Niemcami.

W obecnym naszym obozie było dużo kobiet znanych mi z więzienia, dużo chorych i starych. Tu spotkałam się też z panią Eleonorą, z którą razem siedziałam w więzieniu w Starej Wilejce i w Połocku. Nie wiedziałam co się dzieje z panią Muchą. Pani Eleonora twierdziła, że wywieziono ją do zupełnie innego obozu. Nie spotkałam jej więcej.

Było lato i zaczynały się upały. Często prowadzono nas do lasu pod „opieką” strzelka⁹, który szedł za nami z nabitym karabinem i jego obowiązkiem było pilnować, żeby ktoś z nas nie uciekł. Miałyśmy zbierać tam maliny. Jakież tam były wspaniałe lasy! Olbrzymie, nieprzebyte, dzikie, obfitujące w jagody, maliny, orzechy, grzyby a także w leśną zwierzynę. Strzelek znał te lasy i ścieżki, ale bał się żeby ktoś nie zabłądził. Ucieczki nikt nie próbował. Nie znając terenu można było w lesie zupełnie zabłądzić lub się zatopić w trzęsawisku. Malin było tak dużo, że krzaki wydawały się jak w ogniu – całe czerwone; wystarczyło się i potrząsnąć krzakiem, aby pół wiadra napęścić. Jadłyśmy też, ile się dało.

Pewnego razu poszłam zbierać orzechy i – sama nie wiem kiedy – oddaliłam się od całej grupy. Wołałam, krzyczałam, nikt się jednak nie odzywał. Szłam prawdopodobnie w przeciwnym kierunku. Wreszcie doszłam do jakiejś polany pokrytej trawą, pod którą było bagno. Nogi mnie już bolały od chodzenia. Usiadłam na pnium i zaczęłam się modlić o znalezienie drogi powrotnej. Dość długo to trwało, aż wreszcie znalazł mnie strzelek. Tak się ucieszyłam na jego widok, jakbym zobaczyła anioła stró-

⁹ żołnierz–dozorca (ros.)

za. On także się ucieszył, że mnie znalazł. Zmęczony był biedaczysko, spocony i zabłocony. Uskarżał się, że tyle czasu mnie szukał. Wróciłam do swoich towarzyszek uszczęśliwiona.

Niekiedy siadywałam z panią Ireną na trawie, niedaleko „bociana”, o krok od zabronionego terenu, i cicho rozmawiałyśmy o różnych sprawach. Pani Irena miała w Wilnie dwunastoletnią córeczkę i męża. Nic o nich nie wiedziała. Tęskniła bardzo za dzieckiem. Nieraz rozmawiałyśmy też o polityce, ale żadne informacje do nas nie dochodziły.

Raz rozmawiałyśmy dość głośno na temat, kiedy wreszcie wyjdziemy z obozu; że Polska, gdy tylko odzyska niepodległość, na pewno upomni się o tyle tysięcy swoich obywateli, ale – kiedy to nastąpi? a może tu poumieramy?...

– Dziewczęta, nie martwcie się, już prędko, już niedługo, stąd wyjdziecie – rozległ się nad nami, ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, jakiś głos w języku rosyjskim. Podniosłyśmy zdziwione głowy do góry, a to żołnierz w „bocianie” słyszał naszą rozmowę i nas pocieszał. Podziękowałyśmy mu za dobre słowa, ale on na to:

– To nie pociecha, tylko prawda. Czytałem w gazecie, że wasz rząd z naszym prowadzi jakieś rozmowy na ten temat.

Nie mógł długo mówić, bo bał się, żeby go ktoś nie zauważył. Jak na skrzydłach pędziłam do baraku, aby to co usłyszałam wszystkim powtórzyć. Na progu siedziała w kucki Baranowa. Gdy mnie zobaczyła, zerwała się i zaczęła kiwać ręką. Poszłam za nią w głąb baraku, tam gdzie miała ukryty kalosz (telefon). Byłam pewna, że – jak zwykle – będzie mówić jakieś nedorzeczności.

– Panno Zosiu miałam telefon od sędziego z Lubartowa.

– Przecież codziennie sędzia do pani telefonuje – żartowałam.

– Tak, ale tym razem powiedział, że już nas wypuszczą bardzo prędko.

Pomyślałam sobie: czyżby coś wiedziała? Ale przecież nigdzie nie wychodziła z baraku i z nikim nie rozmawiała.

Niektóre panie ucieszyły się, gdy im powtórzyłam wiadomości zasłyszane od strzelka, ale inne nie chciały uwierzyć, uważając, że chce nas tylko pocieszyć.

Otrzymałam też innego rodzaju pociechę. Któregoś dnia przyszedł na moje nazwisko list bez podpisu, pisany trochę dziecinnym pismem. Właściwie nie był to list, ale traktat o Miłosierdziu Bożym, jako o największym przymiocie Trójcy Świętej. Opisane w nim były objawienia s. Faustyny Kowalskiej. Dziwiłam się, że w ogóle ten list doszedł do mnie. Była na nim przecież pieczęć cenzury obozowej, a ta – z zasady – wszystkie pobożne treści wrzucała do kosza. Były tam nawet te słowa Pisma Świętego: *Powiedział głupi w sercu swoim: nie masz Boga*. Czytałyśmy wszystkie ten traktat ze łzami w oczach.

Drugą pociechą duchową był list, a właściwie odezwa do Rodaków, Polaków przebywających na terenie ZSSR, od biskupa Gawliny. Było to wezwanie do ufności w Bogu i do modlitwy do Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski.

Trzeci niezwykle list pochodził od ks. S. Czyżewskiego, który dowiedział się prawdopodobnie od mego ojca lub brata gdzie jestem i napisał bardzo serdeczny list, z zapewnieniem pamięci w modlitwie. Ucieszyłam się z tego listu bardzo, ale w dalszym ciągu nic nie wiedziałam, co dzieje się w Kościele: Czy Ojciec Św. żyje, czy nie ucierpiał od Niemców?... Nie wiedziałam, jak o te sprawy zapytać, żeby cenzura nie odrzuciła listu. I wtedy napisałam tak do Jadzi: Gdzie jest nasz Piotr? Domyśliła się o co chodzi i odpisała mi: Nasz Piotr jest na tym samym miejscu, co zawsze, możesz być o niego spokojna, ale modlitwa zawsze mu się przyda.

O tak. Modliłam się za Kościół.

Zapytałam kiedyś w liście siostrę kierowniczkę z Wilna, czy ciocia Tosia (siostra przełożona Łozińska z Łodzi) jest na swoim miejscu i czy dzieci cioci Tosi są z nią razem. Odpisała mi, że ciocia Tosia jest na miejscu, ale już nie ma swego dużego domu, a niektóre dzieci mieszkają w innych domach. Jakże modliłam się wówczas za nasze siostry, a swoje przykrości życia obozowego codziennie ofiarowałam za nie najlepszemu Ojcu. Modliłam się także za moją rodzinę, za Jadzię cierpiącą z mojego powodu. Myślę, że Bóg wysłuchiwał moje modlitwy, bo w Zgromadzeniu nie było wielkich nieszczęść ani rozstrzeliwań, a z rodziny mojej nikt nie zginął podczas tej wojny.

Pewnego razu strzelek przyprowadził do naszego baraku mężczyznę, Rosjanina. Był dość porządnie ubrany i miał na sobie roboczy fartuch. Przybysz przedstawił się nam i powiedział, że on też jest zakluczonym, a teraz pracuje jako malarz pokojowy w sąsiednim łagrze, gdzie szykuje dom mieszkalny dla „naczalstwa”. I tak się do nas odzywa:

– Która z was chciałaby mi pomóc w pracy, bo tylko z punktu inwalidzkiego pozwolono mi wziąć pomocnika?

– Bierzcie sobie pomocników spośród mężczyzn! – zakrzyczały nasze panie.

Malarz nie ustępował, aż w końcu podszedł do mnie.

– Jesteście młodą dziewczyną. Po co macie siedzieć w tym zatęchłym baraku, prawie bez jedzenia?

Gdy się jeszcze ościagałam, dodał, że dostaniemy dobre jedzenie. Zgodziłam się. Strelek wypuścił nas za bramę i wcale za nami nie poszedł, co mnie bardzo zdziwiło.

– Mówiliście, Mikołaj Iwanowicz, że jesteście zakluczeni, a dlaczego strelek was nie pilnuje? – zapytałam.

– Jestem tu już bardzo dawno. Dobrze mnie znają i wiedzą, że nigdzie nie ucieknę. Cała moja rodzina zginęła w czasie przewrotu w Rostowie, więc nie mam do kogo wracać.

Doszliśmy do budującego się domu. Zapytałam, co mam tu robić, a on na to podsunął mi jakieś krzesło i powiedział:

– Ja będę malował, a wy zaśpiewacie mi jakąś piosenkę, nawet po polsku.

Śpiewałam mu same religijne pieśni. Bardzo mu się podobało *Pójdź do Jezusa* i nawet nucił razem ze mną, a gdy przetłumaczyłam mu słowa:

*Sluchaj, Jezu, jak Cię błaga lud,
sluchaj, sluchaj, uczyń z nami cud.*

Przemień o Jezu ten smutny czas,

o, Jezu, pociesz nas – biedny Mikołaj Iwanowicz tak się rozczulił, że ocierał oczy rękawem.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, malarz powiedział, że robota potrwa kilka dni, i żebym rano czekała na wachcie, aż on przyjdzie.

– Czy zawsze mam śpiewać? – zapytałam.

– Naturalnie, chyba że nie zechcecie. Powiem wam szczerze, żadnego pomocnika nie potrzebuję, tylko chcę którejś z was pomóc, bo mam duże zapasy żywności.

Zostawił mnie na chwilę samą i oddalił się, a za chwilę wrócił obładowany prowiantem. Usiedliśmy na trawie. Mój „pracodawca” wyciągnął bochen świeżego chleba, ogórki, pomidory i słoik ze śledziami. Najadłam się porządnie, a oprócz tego dał mi jeszcze dużo jedzenia, żebym zabrała ze sobą. Wróciłam do baraku, wyjęłam to, co przyniosłam i zaczęłam częstować moje panie. Jeszcze kilka razy poszłam „pracować” i zawsze wracałam obładowana i najedzona. Wszystkie moje towarzyszkiczki czekały z niecierpliwością na mój powrót, bo wiedziały, że się najedzą. A malarz zrobił się bardzo pobożny i nauczył się śpiewać po polsku niektóre pieśni religijne.

Pewnego razu Baranowa obudziła nas wcześniej, jeszcze na długo przed apelem – zaczęła biegać i krzątać się po baraku. Któraś z pań zrobiła uwagę, że za wcześnie wstała, a ona na to zaczęła opowiadać o bardzo ważnym „telefonie” od sędziego z Lubartowa.

Tego dnia zabrano nas wszystkie do punktu fabrycznego. Jakże serdecznie przywitały nas moje dawne znajome! Najwięcej ucieszył się z mojego powrotu Waśka, który od razu znalazł mnie w baraku i głośno mrucał, ocierając się o moje nogi.

Pewnego sierpniowego dnia, zaraz po śniadaniu, zobaczyłam, że Baranowa zabrała swój koc, który od kogoś dostała, skreśliła go w rolkę, a do worka pozbiierała puszki od konserw i inne swoje rzeczy (razem ze starym kaloszem). Na głowę włożyła czystą chustkę, wzięła jakiś kij do ręki i wtedy przysiadła na swojej pryczy. Patrzyłyśmy zdumione na jej zachowanie. Pomyślałam, że pewnie gorzej się poczuła. Miałyśmy już wychodzić do pracy, gdy otworzyły się drzwi i bardzo uroczyście weszło do naszego baraku całe „naczalstwo”. Spostrzegłyśmy, że kilku z nich trzyma całe pliki jakichś papierów. Strach nas ogarnął na myśl, że znów będą nas gdzieś wywozić – może na Sybir, a może do więzienia?

Natychmiast zauważyłyśmy dziwną rzecz – żaden z nich nie miał przy sobie broni. Co się stało? Przecież nawet każdy dozorca wchodził zawsze z bronią. To spostrzeżenie nas trochę pocieszyło.

Kazali nam się ustawić jak do apelu. Potem naczelnik obozu powiedział, że będzie wyczytywał alfabetycznie nazwiska i grupami mamy się udać do kancelarii, gdzie dowiemy się, w jakim celu nas wezwano.

Pierwsze nazwisko padło: Baran. Nasza staruszka od razu wzięła kij do ręki, swoją torbę i koc zarzuciła na plecy, i stanęła w pełnym rynsztunku.

Wojskowi spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Baran, gdzie to się wybieracie? – zapytał naczelnik.

– Na wolność! Przecież dobrze wiem, że macie nas dzisiaj puścić.

Serca nam zamarły z oczekiwania i ciekawości. Co też oni na to jej odpowiedzą? Czy naczelnik zaprzeczy? Czy ją skrzyczy? Ale nie zaprzeczył i nie potwierdził, tylko zapytał:

- A kto wam o tym powiedział?
- No przecież sędzia z Lubartowa.
- Gdzie on jest? W którym punkcie?
- On jest na wolności. Co dzień do mnie telefonuje i powiedział mi, że dziś już nas wypuszczą.
- Przecież nie macie w baraku telefonu.
- Mam. O, tutaj.

I z bardzo poważną miną pokazała stary kalosz.

Naczelnik się roześmiał a cała jego świta mu zawtórowała.

Baranowa i jeszcze kilkanaście kobiet odeszło do kancelarii. Byłyśmy bardzo ciekawe, co będzie. Czuliśmy, że zbliża się wolność.

Wolność!

Gdy wywołano moje nazwisko, poszłam z gromadką rozradowanych kobiet do kancelarii. Pani Irena była w tej samej grupie, co ja. Powiedziałyśmy sobie w drodze, że będziemy się trzymały razem. Naczelnik przemówił do nas bardzo uroczyście, że na mocy układu polsko-radzieckiego wypuszczają nas na wolność – mężczyźni powinni zaraz zgłosić się do służby wojskowej, do walki ze wspólnym wrogiem – Niemcami; kobiety, które chcą, też mogą pomagać wojsku.

– Chcemy do domu! Do Polski! – zakrzyrzałyśmy.

– Do Polski jeszcze nie można, bo tam front, ale możecie mieszkać i pracować jako wolne obywatelki w Związku Radzieckim – odrzekł.

Następnie pokazał nam dużą mapę ZSRR wiszącą na ścianie i powiedział:

– Obejrzyjcie sobie tę mapę i zastanówcie się, dokąd która chce jechać. Możecie mieszkać wszędzie, oprócz wielkich miast jak Moskwa, Kijów itp. Gdy któraś podejmie decyzję, proszę podejść do stolika i się zapisać. Dostaniecie zaraz dokumenty, że jesteście wolnymi obywatelkami a także bilet wypisany do tego miejsca, które sobie obierzecie. No i zależnie od podróży, którą macie odbyć – kontynuował – dostaniecie prowiant na drogę i pieniądze.

Kobiety z uśmiechem na twarzach obiegły mapę ścienną. Niektóre bez długiego zastanawiania się podchodziły do stolika, gdzie otrzymywały dokumenty i pieniądze. Prowiant należało wziąć ze stołówek, według wydanej kartki. Pokazałam naczelnikowi na mapie jakieś miasto leżące bardzo daleko na północy (nie pamiętam już jego nazwy) i powiedziałam, że chcę tam jechać. Pani Irena zrobiła przerażoną minę, ale szybko dałam jej znak, żeby nic nie mówiła. Naczelnik i jego zastępca, obaj bardzo zdziwieni, powiedzieli, że tam jest bardzo zimno, że chyba robię to bez zastanowienia, że nikt tam nie chce jechać itp. Lecz ja, nie dając się przekonać, uparcie stałam przy swoim. Podeszłam do stolika i powiedziałam, że jedziemy obie. Pani Irena była jakaś zrezygnowana – skoro nie do Polski, nie do córeczki, to wszystko jedno gdzie.

Dostałyśmy dokumenty, bilety do tej północnej miejscowości i bardzo dużo pieniędzy.

– Musicie dostać dużo prowiantu na drogę, bo to bardzo daleko.

I wydał nam kartki na żywność.

Wszyscy podali nam ręce na pożegnanie.

Wyskoczyłam z kancelarii cała czerwona z radości. Po drodze pani Irena zaczęła mi robić wyrzuty:

– Co ci strzeliło do głowy z tą północą? Chcesz tam zamarznąć?! Co teraz zrobimy?

– A czy my tam koniecznie musimy jechać? Nikt nas przecież nie będzie pilnował. Wcale mi się nie śni tam jechać. Ale za to mamy mnóstwo pieniędzy i dużo żywności – to podstawa.

Pani Irena w odpowiedzi zaczęła mnie ścisnąć i całować.

– Dobrze, kochanie. Jedziemy razem szukać przygód.

W stołowce dostałyśmy duży worek żywności.

Był koniec sierpnia 1941 r.

Odwieziono nas do najbliższej stacji kolejowej, a stamtąd miałyśmy się rozjeżdżać w różne strony Związku Radzieckiego. Zegnałyśmy się ze sobą i jechałyśmy w dobrych humorach, z nadzieją w sercach, że może już niedługo dostaniemy się do Polski. Tak bardzo pragnęłam pójść do jakiegoś kościoła, aby za wszystko podziękować Bogu, ale niestety, nigdzie tutaj nie było żadnej świątyni.

Siedziałyśmy z panią Ireną na dworcu i czekałyśmy na jakiś pociąg. Było nam wszystko jedno, dokąd pojedziemy i co będziemy dalej robić. Zaszłyśmy do restauracji dworcowej, żeby zjeść coś gorącego. Niektóre z naszych pań też tam siedziały, pełno było wojskowych. Gdy już przy stoliku jadły-

śmy zupełnie, podszedł do nas w wojskowym mundurze naczelnik obozu. W pierwszej chwili się przestraszyliśmy. Gdy to zauważył, uśmiechnął się, zdjął czapkę i usiadł obok nas.

– Nie bójcie się i pozwólcie, że zjem w waszym towarzystwie, a raczej ja wam obiad zafunduję.

W czasie obiadu rozmawiał z nami bardzo grzecznie. Potem zwrócił się do mnie:

– Nie radzę wam jechać na północ. Tam naprawdę jest bardzo zimno i daleko.

– Wcale nie mam zamiaru tam jechać – odpowiedziałam szczerze.

Wówczas po cichu powiedział:

– Jedźcie w stronę Kujbyszewa. Tam jadą wszyscy Polacy.

Wstał i podał nam rękę. Wyglądał jednak na bardzo zafrasowanego. W pewnym momencie wsunął, pani Irenie i mnie, pieniądze do ręki.

– Przyjmijcie to i źle nie wspominajcie – szepnął i wyszedł.

Byliśmy zdumione jego postępowaniem – tego zupełnie się nie spodziewaliśmy.

BUZUŁUK

Jechaliśmy z panią Ireną pociągiem zatłoczonym Polakami z różnych obozów i więzień. Cieszyliśmy się odzyskaną wolnością, śpiewaliśmy polskie pieśni. Nie wiedzieliśmy jednak, gdzie jesteśmy.

Na jakiejś większej stacji wskoczyli do naszego wagonu mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Chodzili wzdłuż wagonów i krzyczeli:

– Polacy! Jedźcie wszyscy do polskiego obozu wojskowego w Buzułuku, pod dowództwo generała Andersa¹⁰ i generała Sikorskiego¹¹. Kobiety też niech jadą! Proszę kierować się za nami do innego pociągu.

Podczas podróży do Buzułuku Rosjanie bardzo nas honorowali. Nikt nas nie pytał o bilety, dawano nam gorące obiady i kolacje w wojskowych stołówkach, jednym słowem – byliśmy na prawach wojskowych. Był też wśród nas jakiś dowódca w wojskowym mundurze.

W Buzułuku, w obozie, otwarła się przed nami brama. Na wielkiej frontowej ścianie budynku powiewały flagi polskie, radzieckie, amerykańskie i angielskie. Na warcie stali nasi żołnierze. Poszliśmy do czystych baraków.

Dowództwo, czyli sztab wojskowy, znajdowało się kilka kilometrów dalej, w Kujbyszewie. Była to siedziba generała Andersa, generała Sikorskiego i innych wyższych oficerów polskich.

Wkrótce do naszego obozu zaczęło zjeżdżać mnóstwo Polaków z całymi rodzinami i małymi dziećmi. Nie byli to więźniowie, ale przesiedleńcy, których z Polski aż tu wywieziono. Jedni z nich byli na Syberii, inni w Kazachstanie, a jeszcze inni na Uralu.

Żywnienie było dobre – z darów amerykańskich. Wśród ludzi byli też księża. Wielkim dla mnie przeżyciem była spowiedź po kilku latach przerwy i Msza św., uroczyste odprawiona w ogromnej sali. Służyli do niej nasi oficerowie. Płakaliśmy wszyscy. Płacz wzmógł się, gdy zaczęliśmy śpiewać:

*Przed Twe ołtarze zanosimy błaganie –
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie.*

Wszystkich Polaków było tam kilka tysięcy, a wśród nich m. in. ks. Tadeusz Fedorowicz z Warszawy i ks. Cieński, proboszcz parafii Marii Magdaleny ze Lwowa.

Wszyscy złożyliśmy wojskową przysięgę z wyjątkiem dzieci, kobiet karmiących i chorych, których tam też sporo było. Mieliśmy jechać na front i tam walczyć wspólnie z armią radziecką, przeciwko Niemcom. Nasz pobyt w Buzułuku jakoś się przedłużał (czekaliśmy aż nas porozysyłają). Byłam tam chyba trzy tygodnie, inni też mniej więcej tyle samo. Nie mieliśmy żadnego zajęcia. Codziennie odprawiano kilka mszy św. Do miasta można było wychodzić, gdy się dostało przepustkę, którą trzeba było pokazać wartownikowi. Chodziłyśmy z panią Ireną po mieście, po targowisku, kupowałyśmy rozmaite owoce. Największym przysmakiem dla nas było tzw. mleko topione: w glinianych dzbankach sprzedawano mocno wygotowane mleko z brązową skórką na wierzchu. Było ono tak gęste, że można było smarować nim chleb.

Ze sztabu w Kujbyszewie przyjeżdżali czasem nasi generałowie. Generała Sikorskiego wprost uwielbialiśmy – starszy, bardzo miły w obejściu, a przede wszystkim wiedzieliśmy dobrze, że jemu zawdzięczamy wolność. To on uwolnił nas z łagrów i więzień. Jego fotografie krążyły wśród nas. I ja też miałam jedną, którą przez długi czas przechowywałam.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym ogłoszono, że kto chce, może zgłosić się do wyjazdu z pierwszym transportem. Nie wiedzieliśmy, dokąd on pojedzie. Wiedzieliśmy tylko tyle, że do walki przeciw Niemcom. Do tego transportu mogli się zgłaszać tylko samotni i zdrowi ludzie. Natomiast drugi transport, „rodzinny”, miał wyruszyć w tydzień lub dziesięć dni po pierwszym. Jednym słowem, wszyscy Polacy mieli wyjechać z Buzułuku. Obie z panią Ireną miałyśmy zamiar zapisać się do pierwszego transportu, bo myślałyśmy: Byle się tylko stąd wydostać, to już łatwiej będzie dostać się do Ojczyzny.

Pewnego wrześnieowego dnia, gdy wybierałyśmy się do dowódczyni, aby się zapisać, podszedł do mnie jeden z księży (ks. W. z Tarnopola) i zaczął mnie namawiać, żebym nie jechała pierwszym transportem, tylko drugim:

¹⁰ Władysław Anders (1892–1970), generał, polityk; ukończył Wyższą Szkołę Wojskową w Paryżu; 1926 – szef sztabu dowództwa wojsk rządowych podczas przewrotu majowego; podczas drugiej wojny światowej walczył z wojskami niemieckimi i sowieckimi; w latach 1939–41 więziony we Lwowie i Moskwie, zwolniony po zawarciu układu polsko-sowieckiego; dowódca: w latach 1941–42 – Armii Polskiej w ZSRR, 1942–43 – Armii Polskiej na Wschodzie i w latach 1943–46 – Drugiego Korpusu Polskiego; po wojnie – na uchodźstwie w Londynie; w latach 1949–54 był Naczelnym Wodzem i Generalnym Inspektorem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a od 1949 przewodniczącym Skarbu Narodowego; od 1954 członek Rady Trzech; pochowany na polskim cmentarzu wojennym na Monte Cassino.

[przyp. za: *Nowa encyklopedia powszechna PWN*, Wyd. Naukowe PWN, Wyd. I, Warszawa 1996, t. 1, s. 157]

¹¹ Władysław Sikorski (1881–1943), polityk, generał; w okresie międzywojennym i wcześniej pełnił różne cywilne i wojskowe funkcje (w czasie przewrotu majowego zachował postawę bierną); w 1939 roku, podczas kampanii wrześnieowej bez przydziału, przedostał się przez Rumunię do Francji; od 30 IX 1939 premier i min. spraw wojskowych rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, dowódca WP we Francji oraz Nacz. Wódz i Gen. Inspektor Sił Zbrojnych na Zachodzie; od 1940 w Wielkiej Brytanii; dążył do zwycięstwa nad III Rzeszą w sojuszu z mocarstwami zachodnimi i odbudowy Rzeczypospolitej z przedwojenną granicą wschodnią; od VII 1941 podejmował próby trwałego, równoprawnego ułożenia stosunków z ZSRR; zginął w katastrofie lotniczej w Gibraltarze (jej okoliczności nie zostały w pełni wyjaśnione).

[przyp. za: *Nowa encyklopedia powszechna PWN*, Wyd. Naukowe PWN, Wyd. I, Warszawa 1996, t. 5, s. 843]

– Wiem, że pani jest siostrą zakonną i dlatego gorąco namawiam na jazdę drugim transportem, „rodzinnym”.

– Dlaczego ksiądz mnie do tego zachęca? – zapytałam.

– Bo w tym drugim transporcie będą chorzy, starzy, kobiety w ciąży lub matki karmiące i sporo dzieci. Oni będą potrzebowali naszej pomocy, będziemy im potrzebni. Ja też jadę drugim transportem, choć wszyscy inni księża jadą pierwszym. Będziemy razem. Siostra zajmie się dziećmi – są wśród nich także sieroty – a matki będą bardzo wdzięczne. No co, zgoda?

– Zgoda – odpowiedziałam z zapałem. – Pojadę drugim, bo rzeczywiście będę mogła tym ludziom w czymś być pomocną.

Ksiądz W. podziękował mi za gotowość współpracy i odszedł, ale pani Irena była bardzo niezadowolona z takiego obrotu rzeczy.

– Dlaczego tak prędko się zgodziłaś? A może drugiego transportu wcale nie wypuszczą? Będziesz tu siedzieć całe życie i nigdy się do Polski nie dostaniesz. Ja jadę pierwszym, byle prędzej, bo ja im nie wierzę.

Zrozumiałymy, że nasze drogi się rozchodzą. Gdy nadszedł dzień pierwszego transportu, po Mszy św. nastąpiło nasze pożegnanie. Pani Irena do ostatniej chwili namawiała mnie, żebym przyłączyła się do nich, ale ja nie chciałam się cofać i łamać słowa danego księdzu W.

Rozstałyśmy się. Zobaczyłam ją w Warszawie po piętnastu latach.

Generał Sikorski pierwszym transportem wywiózł ludzi przez Krasnowodsk do Iranu. Stamtąd część poszła walczyć przeciwko Niemcom pod Monte Cassino, a inni pojechali do Anglii.

Nasz transport ruszył w drogę może w tydzień po pierwszym. Działo się to w ostatnich dniach września 1941r. Władze radzieckie, gdy się zorientowały, że pierwsza partia Polaków wycofała się z ich terenów i wcale nie poszła walczyć razem z nimi tylko na innym terenie, skierowały nasz transport w innym kierunku, w głąb swego olbrzymiego terytorium.

Jechaliśmy pociągami towarowymi. W dzień było dość ciepło, ale ranki i noce były chłodne. Sporo było małych dzieci, starców i chorych, były nawet niemowlęta (wszyscy młodzi i zdrowi wyruszyli do Iranu). Byliśmy wszyscy w dobrych humorach, przekonani, że jedziemy trasą pierwszej grupy i że wkrótce pożegnamy Związek Radziecki. Nikt z nas nie wiedział, jak bardzo się myliliśmy.

Ksiądz W. jechał z nami w wojskowym mundurze, w randze kapitana. Obsługiwała go i pomagała mu jakaś kobieta. Gdy poznałyśmy się bliżej przedstawiła mi się, że jest siostrą zakonną ze Zgromadzenia S.S. Służebniczek.

Mieliśmy ze sobą jakieś zapasy żywności: konserwy, suchary i bardzo dużo czekolady. Gdy po tygodniu jazdy nie zobaczyliśmy jeszcze granicy, najpierw zaczęliśmy zastanawiać się, jaką drogą nas wiozła, a później, bardzo pilnie, śledziliśmy trasę i mapę. Niektórzy zaczęli snuć smutne przypuszczenia. Za oknami pociągu mieliśmy przeważnie puste przestrzenie (widocznie celowo omijaliśmy większe miasta).

Pierwszą większą stacją, na której zatrzymaliśmy się dłużej, był Orenburg. Wtedy dopiero się zorientowaliśmy, że nie jedziemy na zachód, lecz na wschód, że przekraczamy Ural.

– Jedziemy w głąb Rosji! Wcale nie jedziemy do Iranu – krzyčeliśmy wszyscy pełni rozpacz.

Niektóre kobiety płakały i tuliły swoje maleństwa, mężczyźni przeklinali.

Od Orenburga zaczęło się robić coraz cieplej, a przecież był już październik. Zapasy żywności zaczęły się kończyć, a my jechaliśmy nie wiedząc, dokąd i na jak długo, może na zawsze... Kiedy wreszcie wrócimy do kraju?

Wierzyliśmy, że Bóg nas nie opuści i gen. Sikorski upomni się o nas. Nie wszyscy jednak byli dobrej myśli. Mnie też nie było łatwo, ale na wszystkie wydarzenia starałam się patrzeć trzeźwo. Namacalnie odczuwałam opiekę Bożą nad sobą i nad innymi – wierzyłam i ufałam. Nieraz miałam chwile wielkiego strachu przed nieznaną przyszłością, lecz wówczas starałam się zaufać Bogu „na ślepo”.

Zapasy żywności w końcu się skończyły. Została tylko czekolada i na jakiejś małej stacyjce, po bardzo niskiej cenie, kupiliśmy bardzo dużo orzechów włoskich.

Czekolada i orzechy to wspaniałe rzeczy, ale gdy dzień po dniu przyszło nam się tylko tym żywić, nabraliśmy do nich ogromnego wstrętu. Tęskniliśmy za chlebem i kartoflami. Gdy pociąg stawał, wszyscy wyskakiwali i każdy szukał czegoś do jedzenia. Nie można było jednak daleko odejść, bo nie wiadomo było, kiedy pociąg ruszy, a każdy bał się zostać samotnie w nieznanym kraju.

Gdy mieliśmy jeszcze konserwy, rozpalaliśmy ogień i na jakimś kamieniu czy ceglach stawialiśmy garnuszki, gotując zupy lub wodę na herbatę. Czasem pociąg ruszał zniemacka, więc każdy wskakiwał

pośpiesznie a garnuszki zostawały w polu. Potem gotowaliśmy już tylko samą herbatę. Kilka razy dostaliśmy trochę prosa, czasem udało się dostać trochę mleka, ale chleba nie było. Krajobraz bardzo się zmienił – nie był on już europejski. Nie było widać znajomych drzew, tylko jakieś niskopienne krzewy. Przy drogach rosły duże drzewa morwowe. Czasem przez cały tydzień jechaliśmy przez pustynne, piaszczyste miejscowości. Na stacjach widzieliśmy ludzi dziwnie ubranych, bardzo ciemnych, skośnookich, w długich kolorowych kaftanach. Na głowach mieli małe, kolorowe – wyszywane lub nabijane monetami – czapeczki. Domyśliliśmy się, że zbliżamy się do Uzbekistanu. W największym mieście uzbeckim, Taszkencie, zatrzymaliśmy się trochę dłużej, i – choć nikt nam tego nie mówił – czuliśmy, że tu trochę dłużej postoiemy.

Sporo naszych ludzi wyszło do miasta poszukać czegoś do jedzenia. Ja też wyszłam z innymi. Bojąc się, aby pociąg nie odjechał, nie odchodziłam daleko od dworca. Tubylcy patrzyli na nas ze zdziwieniem, a my na nich. Zupełnie nie rozumieliśmy ich języka. Było gorąco. Chodziłam sama i myślałam, żeby gdzieś kupić trochę chleba, ale nigdzie nie było ani chleba ani ziemniaków.

Po pewnym czasie spostrzegłam, że jakiś uzbecki czy też kirgizki chłopiec, może czternastoletni, ciągle idzie za mną. Parę razy się obejrzałam i spotkałam jego czarne jak węgiel oczy wlepione we mnie.

Przyspieszyłam kroku, on zrobił to samo. Zaczęłam biec, on coś krzyknął i zagwizdał. Myślałam, że kogoś przywołuje, zaczęłam więc uciekać, ale bałam się, żeby nie zboczyć z drogi i zdażyć do pociągu. Chłopiec okazał się szybszy, dogonił mnie i chwycił za rękę. Krzyknęłam: – Ratunku, myśląc, że ktoś z naszych ludzi usłyszy i przybiegnie mi z pomocą.

Tymczasem chłopiec zaśmiał się pokazując białe, lśniące zęby. Jedną ręką mnie trzymał, a drugą wyciągnął zza kaftana jakiś worek i mi go wręczył. Potem z kieszeni zaczął wyciągać kawałki chleba, czy też placki. Widząc to i ja zaczęłam się uśmiechać. Gdy wszystko, co miał przy sobie, oddał, kiwnął mi głową i uciekł.

Zajrzałam do worka, były tam kawałki rozmiękłego chleba. Zrozumiałam: biedny żebrak oddał mi swój użebrany chleb. Widocznie poznał, że byłam głodna. Bardzo mnie to rozczuliło. Podziękowałam Bogu za ten chleb.

Gdy wróciłam do pociągu i pokazałam swoją zdobycz, wszyscy nasi byli zdumieni, bo nikt oprócz mnie chleba nie przyniósł. Niektórzy przynieśli owoce, ser lub trochę ryżu. Każdy patrzył chciwie na kawałki użebranego chleba. Nic dziwnego, że jedliśmy go wspólnie bardzo szybko, wspominając po-cziwego uzbeckiego chłopca.

Jechaliśmy bardzo długo, bo cały miesiąc. Mieliśmy dużo przygód – wszystkich już dokładnie nie pamiętam.

Ostatnią stacją kolejową na naszej trasie był Czardżon. Kazano nam wysiadać. Przeprowadzono nas do pobliskiej rzeki. Było bardzo gorąco. Wokół rozciągały się zielone pola obsiane lucerną. Był to dzień pierwszego listopada – Wszystkich Świętych. Rzeka Amu-Daria czyli „Wściekła Rzeka” jest bardzo szeroka i głęboka. Kąpałam się w tej rzece i pomyślałam sobie, że u nas na pewno jest teraz zimno, że ludzie modlą się w kościołach i na cmentarzach, a ja kąpię się w azjatyckiej rzece.

Czekaliśmy na barki, które miały nas zabrać, gdyż mieliśmy jechać jeszcze dalej, ale teraz już drogą wodną – rzeką Amu-Darią. Wreszcie przypłynęły: były duże i głębokie. Holownik ciągnął je po dwie razem. Było ich bardzo dużo. Schodziliśmy po schodkach na dno barki i tam na podłodze każdy upatrywał miejsca dla siebie.

Pewna starsza pani, która jechała z malutkim wnuczkiem, zwróciła się do mnie z prośbą, żebym zajęła miejsce koło niej. Bardzo chętnie to uczyniłam. Miała ze sobą dwa duże koce, kilka walizek z rzeczami, bielizną, kołdrami a nawet z pierzyną i poduszkami. Zdziwiłam się skąd ma to wszystko i wtedy powiedziała mi, że ona nie była w więzieniu, lecz zabrano ją z domu córki, razem z przesiedleńcami. W czasie rozmowy okazało się, że dobrze znałam jej zięcia. Studiował prawo razem z moim bratem a nawet przyjaźnili się ze sobą. Nieraz Władek przychodził do mojego rodzinnego domu, zanim się ożenił z panną Kasperską, córką tej oto babci, z którą teraz siedziałam razem w barce i płynęłyśmy Amu-Darią. Od razu się polubiłyśmy. Zaczęła mi mówić po imieniu, a ja nazywałam ją babcią. Mały Tadzio, wnuczek, miał zaledwie roczek, był bardzo blady i zmęczony.

Na drugi dzień tj. w dzień zaduszny ludzie poprosili księdza, żeby odprawił nam Mszę św. na barce.

Zbudowaliśmy ołtarz z walizek. Ksiądz W. miał trochę wina i kilka hostii, ale nie miał komunikan-tów. Mężczyźni podtrzymywali walizki, żeby się nie osunęły, a ksiądz odprawił Mszę żałobną (w

białym ornacie, bo nie było innego). Płakaliśmy razem z księdzem. Cała nasza barka zamieniła się w płynący Kościół. Modliliśmy się gorąco za zmarłych w obozach i poległych na wojnie...

Po dwóch dniach klimat zaczął się zmieniać, nadeszła fala zimna.

Płynęliśmy rzeką dziesięć dni, wciąż na północ. Zimno stawało się coraz dotkliwsze. Na rzece pojawiły się kry, a biedni ludzie zaczęli chorować i umierać. Mnie nie było tak zimno, bo babcia Kasperska przykryła mnie dwoma kołdrami, a sama z Tadzikiem spała pod pierzyną.

We znaki zaczęła się nam dawać jeszcze jedna straszna plaga – pluskwy. Nie było sposobu, żeby je wytepić. Zabijane, wciąż na nowo się mnożyły w zastraszającym tempie i w nieprzeliczonej liczbie.

Do jedzenia dawano nam suszone ryby i odrobinę chleba. Na noc zatrzymywaliśmy się przy brzegu i kto mógł rozpałał ognisko, żeby się zagrzać i ugotować choć trochę wody do picia.

Pewnego razu, gdy wieczorem zatrzymaliśmy się na noc przy brzegu, ktoś spostrzegł niedaleko pole z ziemniakami. Rzuciliśmy się wszyscy na te kartofle. Ludzie nabrali sobie ich do worków. Ja zbyt wiele nie nazbierałam.

Pani Kasperska miała ze sobą różne rondle. Rozpaliłam więc ogień, obrałam kartofle, dwie cebule, które dostałam, i nastawiłam wszystko w garnku z wodą. Zupa była wspaniała. Nawet mały Tadzik się zajadał.

Byliśmy tak udęczeni, iż zdawało się nam, że ta podróż rzeką nigdy się nie skończy. W pociągu było dużo lepiej. Przede wszystkim tam nie dokuczały nam tak pluskwy.

Byłam też świadkiem śmierci dwunastoletniego chłopca. Przypuszczam, że przechodził zapalenie płuc. Leżał przykryty jakimiś workami, ciężko oddychał, nie mógł mówić, lecz mimo to był przytomny i patrzył na nas bardzo wymownie. Jego matka i siostra cały czas płakały, a ja modliłam się za niego. Umarł. Wieczorem, po przybyciu do brzegu, pochowaliśmy go. Ksiądz nie było. Nie wiedziałam, co się z nim stało.

Pogrzeby odbywały się co noc. M. in. umarła też jedna, bardzo ładna piętnastoletnia złotowłosa dziewczyna. Miała matkę i trzy siostry. Ojciec jej pojechał pierwszym transportem.

Pani Kasperska drżała o życie Tadzia. Łudziła się, że go wychowa nawet w tak trudnych warunkach, a potem przywiezie go do córki i zięcia, może już wypuszczonych na wolność?

Biedny Tadzik nikł w oczach. Babcia nawet na moment nie wypuszczała go z rąk, czasem ją wyręczałam.

Ileż polskich mogił zostało tam, nad brzegami Amu-Darii!

W takich warunkach dopłynęliśmy do portu Nukus, gdzie kazano nam wysiadać. Chętnie opuszczaliśmy zapluskwione barki, ale czy to już koniec naszej wędrówki? Dokąd nas teraz powiozą i jak długo jeszcze będziemy w tym obcym kraju – tego nikt z nas nie wiedział. Postanowiłyśmy z babcią Kasperską, że nadal będziemy się razem trzymać a ludziom mówić, że ona jest moją matką a dziecko jest jej drugiej zmarłej córki.

Pierwszy raz obesłam azjatyckie miasto (w Taszkencie i Samarkandzie byliśmy tylko przy dworcu w europejskiej dzielnicy). Nukus był zupełnie azjatycki – domy niskie, z gliny, bez okien, tylko z otworami w płaskich dachach.

Nie pozwolono jednak długo nam oglądać miasta, gdyż musieliśmy czekać przy rzece, aż przybędzie po nas transport tj. azjatyckie wysokie wozy na dwóch kółkach.

Część druga

POD BŁĘKITNYM NIEBEM UZBEKISTANU

Nukus, port rzeczny Amu-Darii, nie był zbyt duży. Pani Kasperska z Tadzikiem na rękach ciągle mi powtarzała:

– Zosiu, pilnuj moich rzeczy, bo zobaczysz, że nam się przydadzą, a ja będę pilnować tylko Tadzika.

– Dobrze, babciu.

– Nie rozłączajmy się, razem będzie nam raźniej.

Przybyły „arby”. Były to płaskie, nieduże wozy, na jakichś specjalnych, bardzo wysokich kołach. Ciągnęły je konie i wielbłądy. Zaczęliśmy podróż. Ledwie ujechaliśmy nieduży kawałek drogi, podjechała do nas druga arba. Woźnicy zaczęli o czymś rozmawiać, ale w niezrozumiałym dla nas języku. Dziwne wrażenie zrobili na mnie ci „arbiarze”. Wyglądali dziko. Na głowach mieli duże baranie czapy, a na sobie długie, kolorowe kaftany, przepasane jakimiś sznurami.

Obie z babcią obserwowałyśmy ich.

Wtem nowo przybyły woźnica chwycił mnie i przerzucił na swoją arbę, a potem przerzucił też duży kosz babci. Usłyszałam tylko świst bicza i zobaczyłam, że arba z babcią oddala się, a ona sama macha do mnie ręką na pożegnanie.

Zaczęłam krzyczeć z całej siły, lecz nikt mnie nie słyszał, bo już wszyscy nasi ludzie rozjechali się na arbach w rozmaitych kierunkach.

Zaczęłam wymyślać woźnicy:

– Ty małpo azjatycka! Ty świniu! Dokąd mnie wiesziesz?

Mój arbiarz nawet nie zareagował na polskie wymyślenia, tylko pognął konia.

Słońce już zaczęło zachodzić. Dokoła siebie widziałam jedynie żółte piaski i wydmy, żadnych osiedli ludzkich, żadnych dróg, żadnego nawet drzewka.

Słońce czerwieńło złote piaski a ja sama z dzikim człowiekiem, z którym nie mogę się nawet porozumieć. Dokąd pojechali wszyscy Polacy? Czy umyślnie nas wszystkich rozdzielili? Dokąd mnie wiezie ten dzikus?...

Takie myśli chodziły mi po głowie.

Ogarnął mnie szalony strach. Chciałam wyskoczyć z arby, ale rozsądek wziął górę. Nie ujdę daleko, zginę wśród piasku – pomyślałam. Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił – wołałam na cały głos. Jezu ufam Tobie! Jezu ufam Tobie! – powtarzałam.

Niebo zrobiło się granatowe i piaski też. Wiatr unosił tumany piachu i sypał w oczy, a mój woźnica śpiewał, a właściwie wył na całe gardło.

Ja też zaczęłam śpiewać:

*Kto się w opiekę odda Panu swemu,
a całym sercem szczerze ufa Jemu,
śmieie rzec może: Mam obrońcę Boga,
nie przyjdzie na mnie
żadna straszna trwoga...*

Pomyślałam sobie wówczas, że Bóg żąda ode mnie egzaminu z ufności względem Niego. Ufać, że Bóg się nami opiekuje i rządzi, gdy wszystko układa się po naszej myśli – to nie żadna sztuka, ale zaufaj Mu teraz i nie lękaj się niczego, bo jesteś w Jego ręku. Staralam się to robić. Ta ufność i modlitwa przyniosły mi uspokojenie.

Robiło się ciemno, a mój woźnica wył coraz przeraźliwiej. Siedziałam skurczona na arbie i cicho płakałam. W pewnej chwili arbiarz odwrócił się i batem pokazał mi coś w oddali. W pierwszej chwili nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale zaraz zobaczyłam błyszczące światło – słup ognia był coraz bardziej widoczny. Co tam może być? – myślałam.

Wkrótce zobaczyłam jeszcze kilka słupów ognia, a zaraz potem inne arby ciągnące z różnych stron w kierunku ognisk. Zatrzymaliśmy się przed ogniskiem.

Jakże się ucieszyłam, gdy zobaczyłam naszych ludzi, a po chwili padłyśmy sobie z panią Kasperką, czyli babcią w objęcia. Ona też przeżywała podobny strach, ale najwięcej bała się o zdrowie Tadzika. Bardzo chciała dostać gdzieś trochę mleka, ale nie było skąd go wziąć pośród tych piasków. Noc zrobiła się bardzo chłodna; siedziałyśmy przy ogniu. Mężczyźni z trudem wygrzebywali z piasku jakieś cierniste gałęzie i suche osty do palenia. Gotowaliśmy wodę, ale było jej bardzo mało – tylko niektóre osoby miały jej trochę w butelkach. Biedny mały Tadzulek pożywił się tylko kawałkiem suchego chleba z gorącą wodą i zasnął otulony pierzynką. Rozmawiałam z babcią i innymi ludźmi.

Potem położyliśmy się na piasku, bo byliśmy bardzo zmęczeni. Babcia wyciągnęła z kosza swoją kołdrę i poduszkę, i razem zasnęłyśmy.

Z rana obudził nas chłód, a potem arbiarze zaczęli nas wzywać na swoje arby. Ja znowu znalazłam się ze swoim dzikusiem, ale już tak się nie bałam, bo wiedziałam, że wszyscy nasi jadą w tym samym kierunku, a na noc znowu się spotkamy.

W dzień było ciepło. Słońce świeciło i piaski wyglądały jak ze złota. Najgorszy był porywisty wiatr, który sywał piachem w oczy.

Miałam na sobie wełnianą sukienkę i palto z futrzanym kołnierzem, w którym wyszłam jeszcze od Jadzi, a na głowie wełnianą czapkę – wszystko było pokryte piaskiem; miałam go nawet w ustach.

Była to pustynia Kyzyl-Kum.

Wielbłądy niosły na swych grzbietach zapasy siana dla koni, ale same nic nie dostawały. Zwierzęta te są bardzo wytrzymałe: mogą nic nie jeść i nie pić przez dłuższy czas.

Ja nie byłam tak wytrzymała jak wielbłąd i jeść mi się chciało. Mój arbiarz okazał się nie taki straszny. Nie było tam żadnych dróg i jechaliśmy wprost przez piaski, ale gdzieś tam stały tzw. „czajchany”, czyli herbaciarnie. Oprócz herbaty można tam było zjeść także talerz gorącej zupy uzbekiej. Mój woźnica zatrzymywał się koło tych herbaciarni i kupował zupę dla siebie i dla mnie. Była to oryginalna, mocno piekąca zupa, suto zasypana mieloną papryką a jeszcze kawałki czerwonej papryki pływały w niej razem z marchewką i kluskami dzugarowymi¹². Woźnica miał w torbie kawałek europejskiego chleba, kupionego jeszcze w Nukusie. Wiózł go jako przysmak dla swoich dzieci, ale w drodze podsuwał mi go, a sam zjadał swoje dzugarowe, suche placki. Był bardzo zdziwiony, gdy na migi pokazałam, że chcę też jeść jego placki, a chleb niech schowa.

Podróż przez pustynię trwała pięć dni. Wieczorami spotykałam się z babcią i innymi Polakami. Biedny Tadziolek był bardzo słaby, a babcia karmiła go teraz mlekiem wielbłądzicy, które dostała od swego arbiarza.

Pewnego razu wieczorem dojechaliśmy do jakiegoś większego miasteczka. Arbiarz zatrzymał się razem ze mną w dużym domu u jakiegoś swego znajomego kupca.

Kupiec ten, Uzbek, okazał się bardzo gościnnym człowiekiem, a jego najstarszy syn znał dobrze język rosyjski. Wreszcie mogłam w miarę swobodnie porozmawiać o sprawach, które mnie bardzo obchodziły.

W dużym, ciepłym pokoju zebrała się cała rodzina gospodarza. Nie było tam żadnych sprzętów, tylko puszysty dywan i płonący kominek. Usiedliśmy wszyscy na dywanie po turecku. Najstarszy syn wypytywał mnie o rozmaite sprawy i tłumaczył innym moje odpowiedzi. Zapytali mnie czy jestem Rosjanką i komunistką. Gdy odpowiedziałam, że nie, bardzo się wszyscy ucieszyli. O Polsce słyszeli tylko tyle, że bije się z Niemcami, ale kto zaczął wojnę, tego już nie wiedzieli. Ja także dużo zadawałam pytań: Dokąd nas wiozą? Czy wszyscy Polacy będą razem? Jak długo mamy jeszcze jechać?...

Mój arbiarz wiedział tylko tyle, że musi mnie zawieźć do swojej wsi i nic więcej.

W domu kupca zjedliśmy pożywną, mięsna kolację. Podano mi wielką baranią kość do ogryzania, a gdy nie wiedziałam jak do tej czynności się zabrać i odłożyłam ją na bok, najstarszy mężczyzna chwycił ją skwapliwie. Mój tłumacz powiedział mi, że podanie kości gościowi jest oznaką wielkiego szacunku i nigdy tego nie robią względem kobiet, ale dla mnie zrobili wyjątek, tylko ja nie umiem się poznać na tym honorowym gościu.

Dobrze mi było spać na poduszce, pod kołdrą, na podłodze wyścielanej dywanem – przecież już od wielu dni nie spałam pod dachem.

Nazajutrz, po sutym śniadaniu, ruszyliśmy dalej. Już skończyły się piaski i od czasu do czasu widoczne były ludzkie osiedla.

Modliłam się, żeby nie zostać samej w małej, dzikiej wiosce, bez łączności ze światem i bez towarzystwa Polaków. Na noc zajechaliśmy do jakiejś większej wsi czy osiedla. Mój arbiarz pokazywał coś i mówił po swojemu. Domyśliłam się, że to jego osada. Zatrzymaliśmy się wreszcie przed małym, glinianym domkiem. Woźnica zeskoczył i zaczął dobijać się do drzwi, a ja się tylko oglądałam, czy jadą inne arby z naszymi ludźmi. Po chwili otworzyły się niskie drzwi i weszliśmy do wnętrza. Jakaś rozczochrana kobieta w długiej białej sukni czy koszuli zaczęła rozdmuchiwać ogień na kominku; za chwilę błysnęło światło.

Zobaczyłam, że chatynka jest bardzo uboga. Zamiast podłogi – ubita glina; w jednym kącie jakieś dzbany i garnki, w drugim stos waty (bawełny) razem z szyszkami, a w trzecim, pod marną kołderką, czarne główki śpiących dzieci, które naraz się obudziły i przybiegły do ojca.

Jeden z malców zaczął zaraz obszukiwać torbę ojca. Znalazł tam kawałek twardego kupnego chleba. Drugi jednak zaczął mu odbierać zdobycz. Matka uspokoiła dzieci pokazując na mnie, odebrała im

¹² Dżugara - roślina przypominająca kukurydzę; rośnie podobnie jak ona, ale ziarna ma skupione nie w kolbach, lecz na okrągłych główkach. Z dżugary Uzbegy robią wszystko: chleb, kaszę, mamałygę, którą jedzą z masłem lub z mlekiem.

ten chleb i oddała mnie, ale ja potrząsnęłam głową na znak, że nie chcę. Dzieci spoglądały na mnie ze zdziwieniem i strachem. Kobieta zagotowała wodę i podała mi ją w miseczce razem z zieloną herbatą, głaskała mnie przy tym czule po głowie i podsuwała kupny chleb, drugą ręką odpędzając swoje dzieci. Mąż wytłumaczył jej, że lubię ich placki – uśmiechnęła się i zaraz podała mi swój dzugarowy placek, ku wielkiej radości dzieci, które rzuciły się na chleb. Pocziwa kobieta zrobiła mi jakieś posłanie, ale mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć i długo płakałam.

Na drugi dzień po herbacie woźnica zaprowadził mnie do miejscowej gminy. Siedzieli tam niektórzy nasi ludzie, właściwie tylko kilka polskich rodzin, bo innych rozwieziono po okolicznych wsiach. Jakże się ucieszyłam, gdy zobaczyłam wśród nich panią Kasperską z Tadziulkiem na rękach! Ona także się ucieszyła, że znowu jesteśmy razem.

Sekretarz gminy umiał trochę po rosyjsku. Zaczęłam go prosić, żeby dał nam razem mieszkanie, bo jestem córką tej kobiety z dzieckiem, a dziecko jest mojej siostry. Po chwili znalazłyśmy się w małym pokoju o glinianej podłodze. Po drugiej stronie mieszkała uzbecka rodzina. Osiedle nazywało się Kusz-Kupyr.

Miałyśmy z panią Kasperską dach nad głową, ale nic więcej. Bardzo przydał się teraz jej kosz z pościelą i walizka z bielizną, a także rondelki i kubeczki. Czasem udało się dostać trochę mleka dla Tadziulka, który zaczął chorować, bo przeziębził się na pustyni.

Kilka polskich rodzin, które też tu zamieszkały, poszły kopać jakieś kanały, którymi doprowadzano wodę na pola. Babcia siedziała przy Tadziulku, a ja chciałam w jakiś sposób zarobić na siebie i na nią, lecz wiedziałam, że łopata nie poradzę, a trzeba było coś robić.

Na trzeci dzień po zamieszkaniu w Kusz-Kupyrze, poszłam do kancelarii gminnej z prośbą o jakiś zasiłek lub pracę. Bardzo ciekawa była ta rozmowa z sekretarzem. Oprócz niego było jeszcze kilku mężczyzn, a jeden z nich chyba jakiś ważniejszy. Z wielką pewnością siebie powiedziałam, że nie pójdę pracować przy kanałach, bo nie po to kształciłam się, żeby u nich taką pracą się zajmować.

Długo coś ze sobą szeptali, aż wreszcie sekretarz zapytał:

– A ty łatinu znajesz?¹³

– Łacinę znam dobrze – odrzekłam.

Na to zerwał się najstarszy, czyli ten najważniejszy, i po swojemu pytał.

– Łatinu! Łatinu! Ty!

– Tak, znam!

– On pyta, czy znasz łacinę – tłumaczył sekretarz.

– Przecież już powiedziałam, że znam!

Myślałam sobie: Po co im łacina? O jaką łacinę im chodzi? Może chcą żeby im jakieś recepty lekarskie, bo przecież na pewno nie myślą o łacinie klasycznej. Trochę obleciał mnie strach. Oni tymczasem nad czymś dyskutowali, wreszcie jeden przyniósł jakąś książkę, a sekretarz do mnie:

– No, teraz się przekonamy, czy naprawdę znasz łacinę.

Ciekawy egzamin – pomyślałam sobie. Otworzyłam książkę. Nie była to żadna łacina, tylko tekst napisany naszym łacińskim alfabetem, a nad niektórymi literami były jakieś znaki.

– No, czytaj głośno! Czytaj! – ponaglał sekretarz.

Zaczęłam czytać nie rozumiejąc zupełnie tych dziko brzmiących słów. Po pierwszych słowach wszyscy przysunęli się do mnie i patrzyli ze zdumieniem. Po chwili podnieśli krzyk.

Sekretarz wyjąkał:

– Choroszo!¹⁴

Najstarszy podszedł do mnie i na znak uznania klepnął mnie mocno po ramieniu.

Potem znowu o czymś rozmawiali, aż wreszcie sekretarz powiedział:

– Pracuj w naszej kancelarii. Damy ci przydział kaszy jaglanej i ryżu.

– A co będę robić?

– Praca się znajdzie. Nauczysz nas tych łacińskich liter, bo tego nikt nie umie. Nasze najstarsze księgi są pisane pismem arabskim i niektórzy starsi mułlowie¹⁵ znają to pismo. Najnowsze księgi są pisane pismem ruskim i dużo naszych ludzi też zna to pismo, ale niektóre starsze księgi są pisane pismem łacińskim, a tego nikt nie zna.

¹³ Czy znasz łacinę? (ros.)

¹⁴ Dobrze! (ros.)

¹⁵ Kapłani muzułmańscy.

Zgodziłam się bardzo chętnie na taką propozycję.

Na drugi dzień z rana przyjechał po mnie sekretarz na koniu, żeby zabrać mnie do sąsiedniego kiszlaku¹⁶ po prowiant.

– Ja jadę pierwszy, a ty chodź za mną – powiedział.

– O, nie! – odpowiedziałam. – Wy swoje kobiety tak traktujecie, ale ze mną nie macie prawa tak postępować. To ja pojedę, a ty biegnij za mną.

Był bardzo zdziwiony.

Skończyło się na tym, że ja pierwsza usiadłam z przodu, a on od ogona i razem przejechaliśmy jakieś 12–15 km.

Babcia Kasperska ucieszyła się bardzo, gdy przywiozłam kaszy, ryżu i kawałek mięsa.

Co dzień chodziłam na godzinę do kancelarii i uczyłam sekretarza naszych liter. Czasem zajrzałam, co robią inni, ale pracy tam nie było żadnej.

Uzbecy bardzo interesowali się naszym życiem. Sami są bardzo prymitywni, dobrodusznymi, pełni zaufania do wszystkich. Nikt nigdy nie zamyka drzwi, bo nie znają kradzieży. Są bardzo gościnni – kto tylko wejdzie, zaraz przełamują z nim chleb.

W naszym pokoju zawsze było pełno Uzbeków. Albo siedzieli pod ścianą i obserwowali nas, albo wszystko oglądali – zaglądali nawet do garnków. Pod wieczór wychodzili i dopiero wtedy byliśmy same.

Tadziulek ciągle gorączkował, nie chodził już zupełnie, jadł z wielkim trudem. Był ciężko chory, a nigdzie nie było lekarza. Babcia parzyła mu tylko rumianek.

Pewnej nocy, gdy już spałyśmy, obudziło nas dobijanie do drzwi. Wbrew tutejszym zwyczajom zamykałyśmy je, podpierając jakimś kijem. Słyszałam za drzwiami głosy kilku mężczyzn, ale nie wstawałam otwierać. W pewnej chwili mocniej targnęli drzwiami i kij ustąpił.

Trzech Uzbeków wpadło do środka.

– Sofia! Sofia! Prędko wstawaj i choć z nami na zebranie partii.

– Uciekajcie! Nigdzie z wami nie pójde w nocy!

– Musisz być, bo przyjechał ważny komandir z Karagandy.

– Dajcie mi spokój! Ja nie należę do partii.

– Nie wykręcaj się! Dobrze wiemy, że jesteś partyjna.

Babcia zaczęła też ich wypędzać, krzycząc, że obudzili chore dziecko.

Wyszli, ale coś czułam, że to nie koniec.

Za chwilę powrócili znowu.

– Sofia, nie wyjdziemy stąd, jeżeli z nami nie pójdziesz. Komandir powiedział, że musisz być na zebraniu. Nie zacznie zebrania bez ciebie. Każdy, kto należy do partii, musi być na tym zebraniu.

– Mówię wam, że nie należę do partii!

– Jak to nie należysz do partii! A dlaczego nosisz zegarek?

– Przecież zegarek nie jest oznaką przynależności do partii.

– Tutaj tylko partyjni mają zegarki.

Teraz babcia zaczęła mnie namawiać, żebym poszła razem z nimi na to zebranie, bo inaczej nie dadzą nam spokoju, a Tadziulka wystraszą. Ubrałam się i prędko wyszłam. Było ciemno, ale oni mieli ze sobą latarki.

Zebranie odbywało się w szkole. Na ścianie wisiała duża mapa ZSSR, było pełno mężczyzn i tylko jedna kobieta, Uzbekka. Prelegent siedział za stołem i czekał na moje przybycie.

Usiadłam blisko drzwi. Zaczęło się zebranie. Mówił cały czas po uzbecku i pokazywał na mapę. Wszyscy mężczyźni podparli się i spali, a kobieta położyła głowę na ławce i też usnęła; ja odmawiałam różaniec.

Gdy wszyscy już dobrze spali a prelegent usypiającym głosem wciąż coś mówił, zerwałam się, wyskoczyłam prędko za drzwi i korytarzem wybiegłam na dwór.

Było bardzo ciemno i nie mogłam rozpoznać drogi, ale zaczęłam biec przed siebie. Po chwili usłyszałam tupot nóg i zobaczyłam za sobą światła latarek. Biegli za mną. Za wszelką cenę chciałam przed nimi uciec. Wpadłam w rów i skierowałam kroki w stronę jakiegoś domku, gdzie świeciło się w oknach światło.

¹⁶ osiedle.

Trafiłam do polskiej rodziny. Matka kończyła pranie. Zdziwiła się, gdy mnie zobaczyła o tej porze, ale zaraz zbudziła najstarszego syna, żeby mnie odprowadził do domu.

Na drugi dzień z rana przyszedł sekretarz z dwoma towarzyszami i przynieśli dużą miskę dobrze przyrządzonej baraniny z dzugarowymi kluskami w paprykowym sosie.

– Dlaczego wczoraj uciekłaś? Było przyjęcie, a to jest twoja porcja. Zostawiliśmy dla ciebie.

Nawet chory Tadiulek zjadł trochę.

Dowiedziałam się w gminie, że nas wkrótce mają znów gdzieś wywieźć, że tylko wskutek pomyłki znajdujemy się tutaj, że wszyscy Polacy muszą być przewiezieni w inne miejsce.

Babcia była w rozpacz.

– Nigdzie nie pojedę – powiedziała. – Ciężko chore dziecko nie znieś takiej podróży.

– Może już do tego czasu wyzdrowieje – pocieszałam.

Tymczasem małemu było coraz gorzej. Babcia mierzyła mu temperaturę – miał prawie co dzień 40 stopni. Oddychał ciężko i nic nie chciał jeść. Nawet już nie płakał.

– Postaw mu bańki. On ma na pewno zapalenie płuc – mówiła.

Położyliśmy go na brzuszku i zaczęłam stawiać bańki (babcia miała ich kilka), używając do tego nafty zamiast spirytusu. Leżał bardzo spokojnie, nawet się nie poruszał; był już bardzo słaby. Bańki zupełnie nie chciały się trzymać, stały na plecach jak na stole. Zdziwiłyśmy się, bo były bardzo ciemne, mimo że nie chciały stać. Przewróciliśmy go znowu na plecki, ale biedny mały już nie oddychał...

Babcia ubrała go w ładne ubranko i zaczęłyśmy odmawiać różaniec.

Wtem wpadł sekretarz z krzykiem:

– Sofia, bądź gotowa do wyjazdu! Jutro rano wyjeżdżacie.

Rano z babcią wykopałyśmy grób i pochowałyśmy Tadiulka. Na mogile postawiłyśmy mały krzyż z gałęzi i zaraz po pogrzebie wsiadłyśmy na arby.

W Kysz-Kupyrze byliśmy tylko dwa tygodnie.

Było już po piętnastym listopada, gdy znowu znalazłam się na piaskach pustyni Kyzyl-Kum. Tym razem większą część drogi przebyłam na grzbiecie wielbłąda. Wielbłąd umie kłękać i wtedy można mu wejść na grzbiet. Dookoła garbu układa się jakieś deski, na których można siedzieć lub wkładać ciężary. „Okręt pustyni” – jakże pasuje ta nazwa do niego! Wielbłąd stawia nogi inaczej niż każde inne zwierzę i wskutek tego strasznie kołysze. Jadący na nim człowiek, mimo woli składa pokłony nisko – w przód i w tył, a potem na boki. Od tego kiwania dostaje się morskiej choroby – jak na okręcie.

Dostaliśmy się ponownie do Nukusu, a potem znów na barki. Tym razem płynęliśmy na południe. Nieraz zgadywaliśmy, dokąd nas wiozą, ale tego nikt nie wiedział.

Pani Kasperska wspominała Tadzika, ale była spokojna, że już nie cierpi.

Po kilku dniach wysiedliśmy z barek i znowu nas wieźli wozami. Niektórzy szli, bo wozów było za mało a także i dlatego, że w marszu było ciepło.

Pewnego razu, gdy jechałam wozem, usiadła obok mnie jakaś dziewczyna. W pierwszej chwili wzięłam ją za chłopca, bo była w spodniach i w jakiejś podartej watomanej kurtce, a na głowie miała czapkę z uszami. Była bardzo ładna o smutnych szarych oczach. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem czy z zazdrością, bo byłam dość porządnie ubrana i miałam nowe pantofle, które mi przysłała Jadzia jeszcze do obozu.

Zacząłyśmy rozmawiać. Nazywała się Marysia Z. Była studentką prawa we Lwowie. Siedziała długo w ostrym więzieniu za przynależność do jakiejś organizacji akademickiej. Nic nie wiedziała o swoich rodzicach i rodzeństwie, którzy zostali we Lwowie. Uczyla się i zdała maturę u ss. urszulanek czarnych. Wydała mi się bardzo miła, ale była mizerna i smutna. Poczuliśmy do siebie wielką sympatię. Nie przeczuwałam wówczas, że ta sympatia stanie się wielką przyjaźnią i przetrwa do dziś.

W wigilię święta Niepokalanego Poczęcia dotarliśmy do miasteczka Gurlen w południowym Uzbekistanie.

Miasteczko miało gliniane domki o płaskich dachach, było tam kilka sklepów, szpital, apteka, restauracja i duże targowisko. Niektórzy z naszych ludzi zostali w Gurlenie, inni rozjechali się po okolicznych kiszlakach.

My z panią Kasperską, a także Marysia i jeszcze sporo Polaków zostaliśmy odwiezieni do wsi „Proletariat” o osiem kilometrów od Gurlenu. Wieś była duża i bardzo rozległa – zamieszkiwali ją bogaci gospodarze. Cała wieś stanowiła kolchoz, ale gospodarze mieli swoje pola dzugary i stada baranów. Hodowali też sporo jedwabników. Pola bawełny były państwowe.

I znów zamieszkałam z panią Kasperską. Marysia zamieszkała o jakieś dwa kilometry dalej z grupą samotnych, bo rodziny dostały swoje mieszkania.

Na Boże Narodzenie zjadłyśmy z babcią trochę ryżu i przełamałyśmy się plackiem dzugarowym, potem poszłam do Marysi. Śpiewaliśmy kolędy i wspominaliśmy lepsze czasy. Mężczyźni mieli wspaniałe humory i nie tracili nadziei.

Marysi bardzo się podobał jeden młody student filologii klasycznej. Zwierzała mi się, że jeżeli szczęśliwie powrócą do kraju, to się pobiorą. Nie chciałam zrażać Marysi do niego, ale dziwnie mnie to niepokoiło. Student ten wydawał się niezbyt dobrym człowiekiem. Marysia była bardzo szlachetną, uczciwą i pobożną panienką. Postanowiłam nad nią czuwać i nie pozwolić, żeby ją okłamywał, jak być może okłamał już wiele dziewcząt w Polsce.

Po świętach poszłam do pracy. Razem z uzbeckimi kobietami wywoziłam taczkami na pole ziemię ze starych ruin. Była to bardzo męcząca praca i za symboliczną właściwie zapłatę – garstkę dzugary. Babcia Kasperska cieszyła się z tego, ale ja uważałam, że to za mało.

W domu starego muły, który był aresztowany, a w którym została żona z dziećmi, mieszkało dziewiciu naszych chłopców. Między innymi też „narzeczony” Marysi. Przewodniczył im młody inżynier Zdzisław K.

Marysia często u nich przesiadywała. Ja też ich niekiedy odwiedzałam (babcia nie lubiła wychodzić z domu). Dziwiło mnie to, że żaden z nich nie chodził do pracy, a mimo to zawsze mieli co jeść, częstowali nas a jeszcze ze sobą zabierałam dla babci. Przyznali mi się raz, że kradną, jednak nie w domach prywatnych, ale w kołchoźnej składnicy, a idąc przez pola zabijają pasące się barany lub osły.

Gniewałam się na nich za to, że kradną zwłaszcza w tym kraju, gdzie nie znają złodziejstwa, a słowo „karabczyk” (złodziej) to najgorsza obelga wśród Uzbeków. Chłopcy śmiali się z moich uwag i tłumaczyli mi, że nie mogą chodzić do pracy, bo są słabi, źle ubrani, zupełnie bez obuwia itd.

Pani Kasperska podarowała mi termometr i bańki.

Raz zachorował jeden człowiek i jego żona z płaczem opowiadała mi o tym. (Niektóre uzbeckie słowa już sobie wtedy przyswoiłam.) Poszłam do chorego i zmierzyłam mu temperaturę. W chałupie pełno było Uzbeków, którzy mi się przyglądali z ciekawością. Termometru nigdy nie widzieli. Człowiek miał 39,6 stopni. Strząsnęłam termometr i namyślałam się, co zrobić.

W Gurlenie byli lekarze, przeważnie Rosjanie, ale Uzbeki nie mieli do nich zaufania. Oni w ogóle nienawidzą Rosjan. Dopóki myśleli, że my jesteśmy Rosjanami, bo porozumiewaliśmy się po rosyjsku, a niektórzy z nich znają ten język ze szkoły, odnosili się do nas bardzo źle. Nie chcieli nam pożyczyć wiadra, nie dawali zaczerpnąć wody, patrzyli złymi oczami, aż dopiero, gdy im wytłumaczyliśmy, że nie jesteśmy Rosjanami, że od Rosjan cierpieliśmy w więzieniach i obozach, że jesteśmy Polakami, dopiero wtedy odmienił się ich stosunek do nas. Żałowali nas i pomagali, jak mogli.

Widząc, że Uzbeki stoją nad chorym i patrzą z ufnością we mnie, czułam, że muszę coś poradzić, ale sama nie wiedziałam, co choremu jest.

Słyszałam tylko szept. Jeden młody, co znał dobrze rosyjski, bo dużo jeździł po świecie, coś im tłumaczył, a potem do mnie powiedział, wskazując na termometr:

– Ja wiem, to jest taka maszyna, co wyciąga choroby. Jak się tą maszyną strzepuje, to choroba idzie do ziemi.

Pomyślałam, że może choremu pomogą bańki, może to jakieś zaziębienie? Poprosiłam nafty i zaczęłam stawiać bańki. Była wielka cisza. Uzbeki, przypatrując się temu, co robię, z ciekawości i zdziwienia aż pootwierali usta. Potarłam mu potem plecy naftą, obłożyłam bawełną (watą) i kazałam leżeć. Sama się modliłam, żeby moje leczenie coś pomogło, bo w przeciwnym razie, mogło być ze mną źle.

Na drugi dzień rano przyszła żona chorego, przyniosła mi świeżych placków dzugarowych, dzban mleka i powiedziała, że choremu się poprawiło i że zaczął jeść.

Od tego dnia zdobyłam wielką sławę lekarską. Nazywano mnie „doktorem”.

Raz, gdy byłyśmy z Marysią w Gurlenie, zawarłyśmy znajomość z jedną lekarką. Ojciec jej był Polakiem, a matka Rosjanką. Bardzo lubiła Polaków i umiała mówić po polsku. Nazywała się Natasza Łuciewicz.

Dostałam od niej kilka bandaży opatrunkowych, kali, rivanol, walerianę. Ubogie to były środki, ale w moim położeniu bardzo cenne.

Uzbecy już od rana stali pod moim oknem. Przychodzili z różnymi chorobami, na których się nie znałam. Odsyłałam ich do lekarzy w Gurlenie, ale nie chcieli tam iść. Robiłam im opatrunki na różne rany i skaleczenia. Przynosili za to placki lub dżugare.

Pewnego razu zaprosiła mnie do siebie jedna starsza Uzbeczka, znałam jej syna Atadżana, który niezłe mówił po rosyjsku – to ten, co mówił, że termometr jest maszyną do wyciągania choroby. Gdy przyszłam, bardzo się ucieszyła. Choć była biedna, to ugościła mnie niezwykle suto, nawet podała pieczoną rybę, co u nich jest rzadkością.

Potem długo coś do mnie mówiła i uśmiechała się bardzo przyjemnie. Wówczas znałam jeszcze bardzo mało słów uzbeckich – od naszego przyjazdu upłynął dopiero niecały miesiąc – dlatego nie rozumiałam, co kobieta do mnie mówi. Cały czas jej tylko przytakiwałam. Dwa słowa są tam bardzo często używane „jachsze” (na określenie potwierdzenia, zgody i tego wszystkiego, co pozytywne) i „jaman” (oznacza wszystko, co złe, gorzkie i niedobre).

Czułam, że stara Uzbeczka o coś mnie pyta, ale nie wiedziałam, o co. Z jej uśmiechniętej miny domyśliłam się, że chodzi o coś dobrego, więc potakiwałam, mówiąc na wszystko „jachsze”. Zrozumiałam tylko, że pyta o syna.

– Atadżan jachsze ma?¹⁷

– Jachsze – odpowiedziałam.

Kobieta śmiała się i była bardzo serdeczna. Wyszłam od niej zmęczona tą rozmową i postanowiłam zapytać Atadżana, o co matce chodziło, ale później o tym zapomniałam.

Tymczasem we wsi tubylcy zaczęli przygotowywać się do jakiejś uroczystości. Obtłukiwali i czyścili ryż, który, specjalnie gotowany z mięsem baranym, papryką, marchewką, suszonymi morelami, stanowi tzw. „pałon”, czyli uroczystą, rytualną potrawę. Przygotowują ją sami mężczyźni, w specjalnych kotłach na ulicy.

Pewnego dnia przyszli do nas dwaj nasi chłopcy z krzykiem:

– Co pani sobie myśli!? To wstyd i hańba, żeby nasze Polki wychodziły za mąż za Uzbeków, to jest zdrada ojczyzny!

– Pewnie, że wstyd i zdrada – potwierdziłam.

– Co pani udaje Greka?!

– A czego wy chcecie od mnie?

– To przecież pani wychodzi za tego Atadżana!

– Co wam przyszło do głowy! Co za plotka!

– To wcale nie plotka. Już cała wieś o tym wie i obtłukują ryż na wesele.

– Cała wieś wie, a ja nic o tym nie wiem?!...

Dopiero teraz przypomniała mi się rozmowa z matką Atadżana i moje potakiwanie na jej pytania.

Opowiedziałam naszym chłopcom o tej rozmowie. Ona swatała mi swego syna, a ja jej potakiwałam, nie domyślając się tego.

– Ratujcie mnie! Powiedzcie, co robić?

– Uciekać! Jak najprędzej uciekać, bo ze złości zabiją.

– Dokąd uciekać?

– Odprowadzimy do Gurlenu, do dr Łucewicz. Ona chętnie panią przyjmie, a my tutaj ogłosimy, że pani wyjechała.

Musiałam się zgodzić na taki plan.

Dziwiłam się tylko, że Atadżan, który ze mną często rozmawiał nic mi o tym nie wspominał i zachowywał się tak, jakby to jego wcale nie dotyczyło.

Dopiero później się dowiedziałam, że u nich takie panują zwyczaje – to rodzice planują małżeństwo i swatają swoje dzieci. Dzieci muszą poddać się ich woli.

Wieczorem nasi chłopcy przyszli mnie odprowadzić. W Gurlenie dr Natasza Łucewicz śmiała się z mojej przygody. Zamieszkałam parę dni u niej.

Po pewnym czasie przyszli chłopcy po mnie, mówiąc, że mogą już wracać, bo Atadżan powędrował w świat szukać przygód, a we wsi już wszystko ucichło.

Powróciłam i zaraz poszłam do matki Atadżana, żeby wyjaśnić sprawę. Staruszka mi powiedziała:

– Ludzie mi zazdrościli, że moją synową będzie doktor i co dzień będzie mi stawiać bańki.

– Matko – odrzekłam – postawię wam bańki, kiedy tylko zechcecie, choćby zaraz.

¹⁷ Czy Atadżan dobry?

I na zgodę postawiłam jej bańki.

Stawianie baniek było dla nich wielką przyjemnością. Jeżeli obiecałam komuś, że postawię bańki, to byli bardzo zadowoleni i gotowi za to wszystko dać. Uważali, że takiej przyjemności powinni używać wszyscy zdrowi, a nie tylko chorzy.

Nie opisałam jeszcze uzbeckiego krajobrazu. Jest on bardzo monotony. Piaszczyste równiny, zieleni mało, trawa prawie wcale nie rośnie, bo jest bardzo sucho a gdzieś tam cierniste krzaki. Ponieważ deszcze tam prawie nie padają, ludzie sztucznie nawadniają pola, przekopując z rzeki kanały, nieraz bardzo długie.

Wszędzie przy drogach są rowy, nad brzegami których rośnie trawa i drzewa morwowe. Wśród drzew owocowych najbardziej rozpowszechnione są morele i brzoskwinie. Występują także winogrona i morwy, jest dużo olbrzymich kawonów, bardzo soczystych i zupełnie białych wewnątrz; rosną one na polach. Jabłka i gruszki są prawie nieznanne.

Kwiatów żadnych tam nie widziałam. Dziko nie rosną, ale tubylcy uważają, że kwiaty są niepotrzebne, bo nie nadają się do jedzenia.

Jedynym bujnie kwitnącym drzewem owocowym jest dżida. Owoce jej przypominają daktyle – pod skórą mają słodką, suchą mączkę, a pestkę taką samą jak daktyle. Kwiaty dżidy są żółte i wydają silną słodką, balsamiczną woń. Rzadko się spotyka tak silny zapach. Jeden kwiat w domu wystarczy za cały bukiet. Tym zapachem przenika wszystko, nawet ubranie. Najpiękniejsze perfumy na świecie powinno się wyrabiać z dżidy.

Kiedyś postawiłyśmy z Marysią bukiet dżidy na stole. Uzbegy ciągle pytali, dlaczego to stoi i do czego ma służyć.

– Przecież – mówili – tego się nie je. Czy nie lepiej postawić cebulę lub marchew?

Jarzyń Uzbegy używają bardzo mało. Nie rosną tam takie warzywa jak ziemniaki, kapusta czy buraki. Jest natomiast dużo marchwi i biała, łagodna cebula, a także tykwa, czyli coś w rodzaju dyni. Jest podłużna, bardzo słodka a jej miąższ można rozsmarowywać jak masło. Uzbegy używają tykwy do różnych potraw, nawet swój chleb, a raczej ciasto na placki dżugarowe mieszają z gotowaną tykwą. Ogórków nie znają, pomidorów jest bardzo mało i jedzą je tylko gotowane – w ryżu lub z kluskami dżugarowymi. Podstawowym produktem żywnościowym jest dżugara. Nawet najbiedniejszy Uzbek ma kawałek pola dżugarowego. Bogaci mają pszenicę i ryż. Placki pszeniczne jedzą tylko podczas uroczystości takich jak wesela, pogrzeby i święta.

Niebo nad Uzbekistanem jest zawsze jednolite, mocno błękitne, nigdy nie ma chmur ani żadnych obłoków. Klimat jest tam wybitnie kontynentalny.

Gdy przyjechaliśmy była tu wyjątkowo sroga zima, tzn. rano i wieczorem trochę mrozu i śniegu, ale w południe śnieg się topniał i robiło się tak ciepło, że dzieci uzbeckie biegały na golasa, lecz w czapkach na głowach. Latem są wielkie upały – do sześćdziesięciu stopni ciepła. Piasek jest wtedy tak rozgrzany, że nie można stanąć bosą nogą, bo grozi to oparzeniem. W piasku można gotować jajka. Pracować można tylko rano i wieczorem. W południe wszyscy chowają się do domów i śpią.

Uzbegy to naród spokrewniony z Turkami. Są wyznawcami islamu. Zachowują wszystkie tradycje muzułmańskie i uważają, że kobiety są niższymi istotami od mężczyzn, co na każdym kroku podkreślają.

Ojciec lub mąż może z córką lub z żoną robić, co mu się podoba. Np. raz jeden Uzbek sprzedał swoją młodszą córkę, dziecko prawie, staremu człowiekowi za worek cebuli.

Panuje tam wielożeństwo, ale na kilka żon może sobie pozwolić tylko człowiek bogaty. Uzbegy nie jedzą nigdy wieprzowiny, nie pozwala im na to ich religia. Mają wielkie obrzydzenie do świń. Są one znane, bo hodują je mieszkający tam Rosjanie, ale jeżeli świnia przejdzie przez pole Uzbeka, to on nic nie będzie siał na tym polu przez kilka lat. Uważają, że świnia (po uzbecku *czoczka*), jest zwierzęciem nieczystym. Psów także nie lubią, natomiast koty (*pszyk*) są lubiane bardzo i uważane za domowników; są one przeważnie czarne. Krowy są bardzo małe i wynędzniałe, nie mają odpowiedniej dla nich paszy. Jedzą łodygi dżagary lub słomę ryżową. Dają bardzo mało mleka. Kury też są małe, za to osły są piękne, a barany jeszcze piękniejsze. Jest to specjalny gatunek baranów – są czarne z mocno kręconą wełną (karakuły). Ogony mają długie do samej ziemi – są to po prostu kawały zwisającego tłuszczu. Mięso ich jest smaczne, tłuste, ale bardzo delikatne. Barany zabija się rzadko, tylko na uroczystości. W ogóle mięso Uzbegy jedzą bardzo rzadko. Rano piją tylko zieloną herbatę (bez cukru) z porcelanowych miseczek z plackiem dżugarowym, a pod wieczór jedzą obiad, przeważnie „qsz” tj. kaszę

dżugarową na mleku, z marchwią i papryką, niekiedy mamałygę z dżugary, a czasem ryż z marchwią i morelami.

Uzbecy modlą się przed każdym posiłkiem. Najstarszy mężczyzna prowadzi modlitwę, a zgromadzeni trzymają ręce w taki sposób, jakby mieli w dłoniach wodę. Na zakończenie modlitwy wszyscy wykonują taki gest, jakby oblewali twarz wodą. Jedzą siedząc na podłodze po turecku – wszyscy z jednej miski i palcami. Przed jedzeniem mają ablucję; zwykle chłopiec (czasem dziewczynka) podaje miskę i z miedzianego dzbanka leje ciepłą wodę na palce siedzących naokoło miski. Jeżeli rodzina jest we własnym gronie – jedzą wszyscy razem, ale jeżeli przyjdzie jakiś gość, zwłaszcza mężczyzna, to żona i córki odchodzą i jedzą osobno. Jeśli na obiad jest rzadka zupa, której nie można jeść palcami, podaje się jedną łyżkę, a właściwie duży trójkąt na długim patyku. Ten przyrząd do jedzenia bierze najstarszy, wlewa sobie nim do ust zupy i podaje następnemu itd.

Początkowo jadłam z nimi w ten sposób, ale gdy potem przekonałam się, że mają łyżki, tylko nie chcą ich używać, poprosiłam, aby mi podawano normalną, osobną łyżkę.

Gdy Uzbecy modlili się przed jedzeniem, ja też się modliłam i czyniłam znak krzyża, co im się bardzo podobało. Nie lubili ateistów. Mówili: *Hudaj jok, nan jok* – Gdzie Boga nie ma, chleba nie ma.

Bardzo surowo przestrzegają postów. We wrześniu jest u nich wielki post, tzw. ramadan. Nie wolno im wówczas przez cały dzień ani jeść, ani pić. Można jeść do syta i pić tylko po zachodzie słońca, gdy jest ciemno. A wrzesień jest bardzo gorący. Zbiera się wówczas bawełnę i choć z pewnością bardzo ich męczy pragnienie – powstrzymują się od picia. Są bardzo wytrzymali. Uzbecy na ogół są przystojni – mają śniade cery i czarne, podłużne oczy, a kobiety są bardzo ładne i zgrabne. Ubierają się one w suknie do ziemi z długimi rękawami. Młode noszą suknie kolorowe, a starsze – białe. Biały kolor oznacza też żalobę.

Głowy Uzbecy mają zawsze nakryte. Mężczyźni mają na lato małe, haftowane czapeczki (*tachia*). Kobiety też mają małe czapeczki wyszywane i nabijane monetami, ale na to mają jeszcze narzucony welon. Dawniej welon narzucały na twarz – dzisiaj już tego nie robią. Chodzą z odkrytą twarzą, ale welon musi być, choćby to był dłuższy kawałek gazy czy też jakaś chustka spadająca na plecy.

Dziewczęta, gdy wychodzą na ulicę, wkładają też obcisłe serdaczki, przeważnie aksamitne. Ubrane odświętnie wyglądają bardzo ładnie, ale koło domu chodzą najczęściej w starych, długich szmacianych sukniach.

Uzbeczki często gorszyły się naszymi sukienkami, że są krótkie (choć przecież nie nosiłyśmy mini) i tym, że mamy gołe ręce. Nasze ubrania w ogóle im się nie podobały.

Ile razy patrzę na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przypominają mi się twarze tamtych kobiet – podłużna twarz, podłużne oczy, długi, prosty nos i śniada cera, a na głowie welon. Zauważyłam tam szczególnie jedną dziewczynę, zawsze poważną i zamyśloną, która była wyjątkowo podobna do Czarnej Madonny.

Latem bardzo dokuczają tam komary. Całe ich chmary grasują już od wieczora przez całą noc. Klimat wprawdzie jest suchy, ale pola ryżowe obficie nawadniane, stanowią dla nich bardzo sprzyjające środowisko. Komary są nosicielami malarii, która dotyka zwłaszcza cudzoziemców. Tubylcy uważają malarię za chorobę świętą, a więc nie wolno jej leczyć.

Po tej ogólnej charakterystyce powracam do przerwanego wątku.

Coraz częściej zaczął nas odwiedzać dziadek Gawryłkiewicz (głównie ze względu na panią Kasperką). Był to silny, wysoki mężczyzna. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, ale chyba miał więcej. Pomagał nam, w czym tylko mógł. Często chodziłam do gospodyni mleć na żarnach dżugarę, ale kamienie były bardzo ciężkie. Gdy więc przychodził dziadek Gawryłkiewicz, wyręczał mnie w tej pracy a także przynosił wodę z kanału; zrobił piec, podobny do europejskiego, czasem zdobywał produkty żywnościowe.

Mężczyźni Polacy, znajdujący się na terenie Uzbekistanu (zresztą jak wszędzie), stanowili zorganizowane grupy. Na czele każdej stał tzw. „mąż zaufania”. Wszyscy rejonowi mężowie zaufania podlegali przewodniczącemu, zwierzchnikowi na terenie całej republiki.

„Mąż zaufania”, którym na nasz rejon był pan Pisarek, miał za zadanie odwiedzać nas, informować o sprawach politycznych, a przede wszystkim wspierać materialnie.

W tym czasie zaczęły już do nas napływać dary amerykańskie – ubrania, konserwy żywnościowe. Czekaliśmy z niecierpliwością na ich przydziały, bo głód niektórym już dawał się porządnie we znaki (Uzbecy, sami biedni, nie mogli nas wspierać). Pracy nie było żadnej; za ciężką pracę fizyczną przy

kopaniu kanałów dostawało się za cały dzień garstkę nieoczyszczonej dżugary. Po jej oczyszczeniu, zostawało tak mało, że nie starczało na jeden posiłek dla jednego człowieka.

Naszycy dziewięciu młodych ludzi, którzy zajmowali się kradzieżą w składach i zabijaniem osłów, w końcu dostało się do ciężkiego więzienia, a potem do obozu na Syberii. Po powrocie byli więc wycieńczeni i źle ubrani.

Pewnego razu przyszło zawiadomienie od naszych władz, żeby wszyscy mężczyźni stawili się w Gurlenie na pobór do polskiej armii, która ma wyruszyć wspólnie z armią radziecką do walki z Niemcami. Ta polska armia formowała się pod dowództwem Wandy Wasilewskiej¹⁸.

Tworząca się teraz armia polska nazywała się „Armią Kościuszki”, a poprzednia, która wyruszyła z Buzułuku, zachowała nazwę „Armii Andersa”. Nasi chłopcy, na wieść o tworzącej się armii ucieszyli się ogromnie i postanowili zaraz zaciągnąć się do niej.

Marysia była smutna, bo jej student też wyruszył. Chłopcy namawiali mnie, żebym zajęła ich dotychczasowe mieszkanie i zamieszkała w nim razem z Marysią. Zdecydowałam się na to. Zabrałam więc swój koc i węzełek, i poszłam zamieszkać z Marysią. Chłopcy zostawili nam zapasy dżugary, oleju i cebuli. Cieszyliśmy się, że chociaż na początek mamy, co jeść.

Prawie wszyscy mężczyźni wstąpili do wojska. Było to w marcu 1942 r.

Tymczasem czekała nas nieprzewidziana przykrość.

Uzbekce z sąsiedniego domu zginął zapas dżugary. Podejrzanie padło na nas. Pewnego dnia wtargnęli rozkrzyczani Uzbekcy z poszkodowaną gospodynią i zaczęli robić rewizję w naszym biednym mieszkaniu. Znajdowała się w nim ubita z gliny podłoga, duży kocioł wmurowany w piecyk i trochę słomy w kącie, na której leżał koc do spania.

Za piecem chłopcy zostawili nam trochę opału, to jest gałązek z suchych łądyg dżugarowych.

Wśród tego opału znajdował się worek z dżugarą i butelki z oliwą. Uzbekcy łatwo znaleźli worek z dżugarą i zabrali go, ale my z Marysią postanowiliśmy bronić naszego zapasu. Wiedzieliśmy dobrze, że nasi chłopcy kradli tylko z państwowych składów, a nigdy z domów prywatnych. Na drugi dzień poszliśmy do Gurlenu, najpierw do pana Pisarka, żeby nas w razie czego bronił, a potem na milicję wyjaśniając, że nasi mężczyźni zostawili nam zapasy dżugary, skąd ją mieli – tego nie wiemy, w każdym razie nie ukradli u sąsiadki. Milicja zaraz się udała do naszego kiszłaku i kazała oddać nam dżugarę.

Wkrótce przyszła do nas poszkodowana, zwróciła dżugarę i bardzo serdecznie nas przeproszała.

– Przekonałam się, że to nie jest moja dżugara – powiedziała.

– W jaki sposób przekonałaś się, matko?

– Bo moja inaczej wyglądała. Jak tylko wzięłam w rękę, to zaraz się poznałam, że to nie moja. Każda wygląda trochę inaczej.

Było jej przykro, że posądziła nas niesłusznie.

Nasze życie z Marysią w uzbeckiej chatynce ułożyło się bardzo miło. Zżyliśmy się jak rodzone siostry. Nazywano nas „syjamskimi siostrami”.

Wszystkim się dzieliłyśmy i zawsze miałyśmy sobie dużo do powiedzenia. Ona opowiadała mi o swoich rodzicach i rodzeństwie, tak że znałam ich wszystkich bardzo dobrze z wyglądu i charakterów. Ja też jej opowiadałam o swoich najbliższych – o Jadzi, którą tak kochałam i o którą się bardzo martwiłam, a także o Zgromadzeniu, o uroczystościach zakonnych i o wszystkim, co mi leżało na sercu. Razem się modliłyśmy – odmawiałyśmy różaniec, litanie do Matki Bożej. Nigdy nie było między nami sporów, ani żadnego najmniejszego nieporozumienia.

Znosiłyśmy wszystkie przykrości a nieraz i głód na wesoło. Postanowiłyśmy żyć ewangelicznie, tzn. dzielić się wszystkim, co mamy, z innymi, biedniejszymi od siebie, bo byli wśród nas tacy, co mieli małe dzieci.

Zapasy dżugary prędko się skończyły. Gdy dostałyśmy trochę żywności od Uzbeków, postanowiliśmy mieć tylko jedzenie na jeden dzień. Jeżeli coś nam pozostawało – oddawałyśmy innym. Nie gromadziłyśmy żadnych zapasów.

Marysia czasem chodziła pomagać Uzbekom w jakiejś pracy fizycznej, bo była silniejsza ode mnie. Przynosiła niekiedy trochę mleka czy dżugary. Nie miała żadnej sukienki, moje też zniszczyły się zupełnie, a o bieliznie nie było nawet mowy. W węzełku miałam schowany swój habit. Oddałam go

¹⁸ Wanda Wasilewska, działaczka socjalistyczna i komunistyczna; od 1940 roku deputowana do Rady Najwyższej ZSRR; w latach 1941-43 komisarz polityczny Armii Czerwonej.

więc jednej z naszych kobiet, żeby uszyła nam coś z garderoby, bo ani ja, ani Marysia nie umiałyśmy szyć. Pani Marta uszyła nam jakąś bieliznę i jedną sukienkę. Tę jedną sukieneczynę nosiłyśmy na zmianę – raz ona, raz ja (ta, która musiała pokazać się ludziom). Trwało to aż do otrzymania przez nas odzieży z darów amerykańskich.

Jakaż była nasza radość, gdy wreszcie dostałyśmy ubrania! Ja dostałam jakąś sukienkę wiśniową, a ona granatową w kropki. Zanim jednak otrzymaliśmy te dary, pomyślał o nas poczciwy pan Kowalski, Ukrainiec z Polski.

Mieszkałyśmy wówczas u córki mułły. Była ona zameżna i miała troje dzieci: dwie dziewczynki o imionach Ajsza i Habiba, i chłopca, który miał na imię Aknezer. Były to bardzo grzeczne dzieci. Dziewczynki zawsze były zajęte, a pięcioletni Aknezer ciągle nas obserwował i nawet nauczył się trochę mówić po polsku. Uzbegy nazywali nas swymi imionami – Marysia nazywała się popularnie Mariam, a ja Salime, lecz mały Aknezer, słysząc jak my mówimy do siebie, wołał na nas: Marychna! Zochna!

Nasza gospodyni Meslime oddała nam obórkę na mieszkanie (krowę gdzieś wyprowadziła). Nie było w niej okna, tylko duży otwór w dachu (podobnie, jak w prawie wszystkich tam domach).

Kowalski często przynosił kawałki jakiegoś mięsa. Musiał nam jednak dawać te „dary” dyskretnie, co było bardzo trudne. Zdarzało się, że w nocy wchodził na dach i w menażce na sznurku spuszczał przez otwór mięso, które musiałyśmy od razu ugotować i zjeść, w tajemnicy przed gospodarzami.

Pewnego razu Kowalski spuścił nam na sznurku jakiś pakunek. Gdy go rozwinęłyśmy, okazało się, że jest to materiał – czerwony w białe paski kreton, a było go dość dużo. Bardzo nas to ucieszyło, bo naprawdę już nie miałyśmy, w co się ubrać. Gdy zobaczyłyśmy Kowalskiego zaczęłyśmy go wypytywać, skąd dostał taki ładny materiał.

– Z cmentarza – odpowiedział.

– Jak to, z cmentarza?! – zapytałyśmy.

– Przed dwoma dniami był pogrzeb uzbecki. Poszedłem wieczorem na cmentarz, dostałem się do chatki nieboszczyka, rozwinąłem go z tego materiału i przez otwór wam przysłałem. Umarłemu już nie jest potrzebny, a wam się przyda. Wypierzcie go tylko porządnie – dodał.

Uzbegy chowają umarłych bez trumien, owijając ciało w długi kawał materiału. Każdemu zmarłemu budują domek z drzewa i piasku.

Wzięłyśmy więc materiał po umarłym, do czego byłyśmy zmuszone stanem naszej poszarpanej odzieży. Pani Marta uszyła nam sukienki. Chodziłyśmy w nich bojąc się, że może ktoś ten materiał rozpoznać, ale na szczęście podobnych tkanin było tam bardzo dużo.

Po pewnym czasie dostałyśmy z darów amerykańskich porządne suknie, płaszcze, bieliznę, ręczniki, mydło i konserwy. Była to dla nas wielka pomoc.

Czasami bywały dni głodowe, ale zdarzały się też dni sute, że nawet mogłyśmy się dzielić z innymi.

W dni głodne udawałyśmy się od rana na *tuty* (morwy). Był tam niedaleko młody gaj morwowy, w którym tubylcy ścinali gałęzie do hodowli jedwabników. Dla nas ten gaj był często miejscem „posiłków” i dyskusji – wchodziłyśmy na drzewa i jedząc *tuty* prowadziłyśmy ciekawe rozmowy. Przypominałyśmy dzieła naszej literatury, deklamowałyśmy wyjątki z *Pana Tadeusza*. Czasem Marychna dźwięcznym głosikiem śpiewała pieśni i piosenki. Marysia tęskniła bardzo za muzyką. Była bardzo muzykalna – ukończyła we Lwowie konserwatorium w klasie fortepianu. Niekiedy z Gurlenu ktoś z naszych przyniósł polską gazetę wydawaną w Moskwie przez Wandę Wasilewską.

Wieczorami bardzo dokuczaly komary, których – jak już wspominałam – było tu bardzo dużo. Nie raz całe noce z tego powodu nie spałyśmy. Często na środku naszej obórki paliłyśmy ognisko, żeby dymem je odpędzić, ale niewiele to pomagało. Po pewnym czasie znalazłyśmy bardziej skuteczny sposób: Codziennie wieczorem oblewałyśmy się naftą, a właściwie ropą naftową, której tam było bardzo dużo. Po takiej „kąpieli” żaden z komarów już nie śmiał się do nas zbliżyć.

Pewnego wieczoru, po tej właśnie naftowej kąpieli, gdy już ułożyłyśmy się do spania, ktoś zapukał i wsunął nam przez drzwi jakiś pakunek. Były to książki. Prędko zapaliłyśmy łuczywo i aż krzyknęłyśmy z radości. Przed nami leżał *Potop* Sienkiewicza – wszystkie trzy tomy. Usiadłyśmy na posłaniu i Marysia zaczęła czytać (miała lepszy wzrok), a ja trzymałam palące się patyki. Czytałyśmy przez całą noc, jak Sienkiewiczowski latarnik.

Gdy jasne światło zaczęło wpadać przez otwór w dachu, zdziwiłyśmy się jak prędko przeszła nam ta noc... Byłyśmy razem z panem Kmicicem w Częstochowie...

Tylko nosy i twarze miałyśmy po tej nocy czarne od sadzy.

Dni i noce stawały się coraz bardziej upalne.

Pewnej kwietniowej nocy zakwitły wszystkie pachnące dżidy i *uruki* (morele). Wzeszła bawełna i ryż, a także dżugara.

Zbliżał się Wielki Tydzień.

W Wielki Piątek prosiła mnie jakaś Uzbeczka, żeby obejrzeć skaleczony palec jej syna. Poszliśmy razem z Marysią. Okazało się, że był to niewinny podstęp: Obchodzili oni jakąś uroczystość rodzinną, było dużo gości. Zaczęli nas uprzejmie zapraszać do posiłku, podali najlepszą ich potrawę – pałon, który był przyrządzany z baraniną. Ze względu na obowiązujący nas post, postanowiłyśmy nie jeść. Uzbegy byli zdziwieni naszym zachowaniem, ale choć nie rozumieli nas, podobało im się, że czynimy to ze względów religijnych – mają wielki szacunek dla ludzi wierzących.

Nasz gospodarz chorował od dawna na gardło. Przychodził często do mnie i prosił, żebym go wyleczyła, ale nie mogłam mu pomóc.

Gdy umarł, jego żona zaraz po pogrzebie przyszła do mnie i przyniosła w misce ryż i duży kawałek pszennego placka ze stypy. Ubrana w biały welon żałobny i białą suknię. Ze łzami mówiła:

– Salime, ja wiem, że ty wierzysz w innego Boga niż my.

– Wierzę w tego samego Boga, co i wy. Bóg jest jeden dla wszystkich.

– Ale ty inaczej się modlisz. Mam do ciebie wielką prośbę – aż się boję mówić...

– Mów śmiało.

– Pomódl się po swojemu za mojego męża, biednego Oskara. Może to jemu na tamtym świecie pomoże.

Obiecałam modlitwę i starałam się o nim pamiętać przed Bogiem.

Gdy nadszedł maj, postanowiliśmy urządzać dla Polaków majowe nabożeństwa. Jedna z naszych kobiet dała nam figurkę Matki Boskiej. Przystroiliśmy ją kwieciami dżidy i pod wieczór pierwszego maja zaczęli nasi ludzie przychodzić na modlitwę – ja byłam „księdzem”, a Marysia organistą. Śpiewaliśmy litanie i *Pod Twoją Obronę*, a potem rozmaite pieśni maryjne. Wszyscy mieliśmy łyzy w oczach. Duchem przenieśliśmy się do naszych kościołów i przydrożnych kapliczek... Już w czasie nabożeństwa słyszeliśmy chodzenie po dachu i co pewien czas przez otwór wsuwały się głowy Uzbeków. Gdy skończyła się modlitwa i nasi ludzie się rozeszli, weszli Uzbegy, ale mieli bardzo zmieszane miny.

– Salime, Mariam, co wy tu wyprawiacie? – zapytali.

– Modlimy się z naszymi ludźmi.

– Czy wy modlicie się do kobiety?

– Tak, do Matki Boga. Jezus Chrystus miał Matkę.

– Czy i wasi mężczyźni modlą się do tej Matki?

– Wszyscy się modlą.

– Ale czemu wy modlicie się do naszej kobiety?

– To nie jest wasza kobieta. Wszystkie narody modlą się do Niej.

– Przecież ona jest ubrana, tak jak ubierają się u nas – rzekł jeden wskazując na figurkę.

Zdarzało mi się nieraz rozmawiać z nimi na tematy religijne, ale było to bardzo trudne, gdyż brakowało mi odpowiednich słów i terminów w ich języku. A ponadto muzułmanie są fanatycznie przywiązani do swojej wiary. Wydaje się, że nie dotarł tu nigdy żaden z naszych misjonarzy – nigdy tu jeszcze nie było chrześcijaństwa.

Uzbegy zaczęli znowu tłumnie przychodzić do mnie jako do „doktora”. Robiłam im opatrunki na rozmaite rany. Jednak na choroby wewnętrzne nie miałam żadnych lekarstw.

Nieraz jakiś chory Uzbek uskarżał się na swoje dolegliwości i prosił żebym go wyleczyła:

– Salime, boli mnie głowa i w brzuchu – *szysza koj* (postaw bańki).

Wierzyli, że bańki pomagają im na wszystkie dolegliwości ludzkie, a nawet zwierzęce.

Nieraz przyprawdzali wielbłąda z raną na garbie, lub kurę ze złamaną nóżką i wołali – *szysza koj*.

Przeżywałam wielką wewnętrzną rozterkę: Żal mi było tych ludzi, nie mogłam ich odprawiać z niczym, a także nie chciałam zawieść ich zaufania. Najczęściej nie wiedziałam zupełnie, jakiego rodzaju choroba dokucza danemu człowiekowi. Wtedy często odmawiałam *Zdrowaś Mario*, żegnałam zwykłą wodę i dawałam choremu. Myślałam sobie, że jak nie pomoże to i nie zaszkodzi...

Zdarzały się wypadki, że po tym „lekarstwie” przychodzili mi dziękować, bo od razu choremu się polepszyło. Żaden z moich chorych nie umarł i to dało mi rozgłos dobrego „doktora”.

Najgorzej było leczyć malarię, bo chociaż miałam przeciw niej odpowiednie środki, nie wolno było jej leczyć (jak już wspomniałam była uważana za chorobę świętą). Lekarze z Gurlenu prosili nas, żebyśmy roznosiły po wsi leki i tłumaczyły ludziom, jak trzeba je stosować. Zgodziłyśmy się (dostałyśmy za to kartki na chleb europejski). Polacy chętnie przyjmowali, bo nie chcieli chorować, natomiast Uzbegy, rzadziej co prawda chorowali na malarię niż Europejczycy, ale żadnych leków brać nie chcieli, toteż bardzo zdziwiłyśmy się z Marysią, gdy kilka Uzbekek przyszło nas prosić o lekarstwo, a potem następne. Były to przeważnie młode dziewczęta. Dawaliśmy chętnie i w dużych ilościach, bo miałyśmy tego sporo. Nie pytałyśmy, czy ktoś choruje, bo lek zażywa się też profilaktycznie.

Po pewnym czasie zauważyłyśmy, że wiele dziewcząt nosi żółte welony. Zrozumiłyśmy, do czego posłużyły tak hojnie przez nas dawane żółte pastylki...

Pewnego razu zostałyśmy zaproszone na wesele, a właściwie już wcześniej zauważyłyśmy, że cała wieś obtłukuje ryż i piecze pszenne placki na jakąś uroczystość. Wszyscy tubylcy byli bardzo przejęci tym weselem.

Przy wszystkich piecach – a piece te stoją na ulicy – mówiono tylko o dziwnej parze młodych, którzy, wbrew zwyczajom, mieli się pobrać nie tylko z rozkazu rodziców, ale z miłości. Bardzo się kochali – to było dla Uzbeków zadziwiające. Karine, panna młoda, była piękna, miła i bogata. Korambaj, jej narzeczony, był przystojnym i pracowitym chłopcem. Znałam ich dobrze.

Wesele rozpoczyna się zawsze wieczorem i trwa całą noc.

Aby oświetlić podwórze i ulicę, przed domem panny młodej palą się szmaty nasączone naftą. Na tę uroczystość przychodzi cała wieś. Goście przynoszą ze sobą gotowany ryż i pszenne placki. Uzbegy nie używają żadnego alkoholu – nie pozwala im na to ich religia. Zupełnie nieznane są u nich wspólne tańce. Tańczą, a właściwie pokazują akrobatyczne sztuki tylko specjalnie wynajęci linoskoczkowie i tancerki w długich kolorowych sukniach, które zamiast welonów mają na głowach małe czapeczki. Goście siedzą w kucki na placu w wielkiej ciszy i oglądają występy. Kobiety siedzą osobno, mężczyźni osobno. Potem podają pałon – każdy dostaje na rękę, po kilka razy. Rozmawiają po cichu, aż wreszcie się rozchodzą. Pan młody musi „wykraść” z domu narzeczoną i przenieść ją własną arwą przez ogień do swojego domu. Panna młoda ubrana jest bardzo kolorowo – ma zakrytą twarz i przez całe wesele siedzi w swoim domu w kącie, tak że nikt jej nie widzi. Zwykle towarzyszą weselu także jakieś obrzędy religijne, ale w tym czasie wszyscy mułlowie siedzieli w więzieniu, więc tylko najstarszy mężczyzna częściowo zastępował mułłę.

Latem upały stały się wielkie, nie było wprost czym oddychać. Żadnego ochłodzenia, ani przewiewu. Całe noce spędzałyśmy bezsennie, a jeszcze dokuczały komary. Miałyśmy dużo owoców, bo za leczenie ludzie przynosili morele lub brzoskwinie, czasem dżugare albo mleko. Obie z Marysią przytyłyśmy, byłyśmy bardzo opalone. Ja byłam zupełnie czarna, jak Uzbekka. Z pewnością nikt ze znajomych by nas nie rozpoznał.

Ustawicznie dokuczała nam tęsknota za krajem, za najbliższymi, o których losie nic już teraz nie wiedziałyśmy. Z Europy nie przychodziły żadne listy. Martwiłam się, co się dzieje z siostrami i z rodziną. Nieraz z Marysią snułyśmy najrozmaitsze domysły dotyczące naszych najbliższych i naszego dalszego losu.

Pewnego razu pan Pisarek, nasz „mąż zaufania” zawiadomił nas, że za miesiąc tj. w sierpniu zarząd polski urzędująca dla Polek i Polaków kurs pielęgniarstwa w Urgenczu i że zapisał nas obie na listę. Ucieszyłyśmy się z tego bardzo. Ten kurs był za darmo, łącznie z wyżywieniem. Miałyśmy nadzieję, że trochę się poduczymy pielęgnowania chorych i poznamy większą liczbę rodaków.

Tymczasem jednak zaczęło mi dokuczać serce. Szkodziły mi upały (Marysia znosiła je dobrze).

Raz, wczesnym rankiem, poszłyśmy do Gurlenu i tam udałam się do lekarza. Kazał mi od razu iść do szpitala. Marysia ciężko westchnęła, ale namawiała mnie, żebym się podleczyła. W szpitalu były łóżka i czysta pościel, a przede wszystkim w murach szpitalnych było znacznie chłodniej.

Dawano mi tam jakieś lekarstwa na serce, ale niepokoiłam się o Marysię. Przybiegała co drugi dzień do Gurlenu przynosząc mi coś do jedzenia; nie mogłyśmy się wtedy nagadać.

Zbliżał się termin wyjazdu do Urgenczu. Wypisałam się ze szpitala i obie pojechałyśmy.

Był sierpień 1942 roku.

Urgencz – duże, wschodnie miasto, ale jest tam wiele domów europejskich (mieszkają w nich głównie Rosjanie).

Polski Zarząd Główny na cały Uzbekistan i Polski Dom Dziecka, gdzie miał odbywać się kurs, mieściły się w jakimś dużym budynku. Urzędował tam nasz główny przewodniczący, pan Czyżewski.

Dystrybucją darów amerykańskich zajmował się pan Marczak, a pani Irena Radziewicz była dyrektorką Domu Dziecka.

Na kurs pielęgniarek przybyli zaproszeni lekarze i fachowe pielęgniarki. Najwięcej wykładów mieli dla nas dr Dubowny, Ukrainiec i dr Wołkowski, Żyd z Polski. Uczyli nas, jak rozpoznawać niektóre rozpowszechnione tutaj choroby, jak im zapobiegać i jak je leczyć. Uczyliśmy się robienia opatrunków i sposobów udzielania pomocy w nagłych wypadkach.

Było nam bardzo dobrze w gronie naszych rodaków. Poznałyśmy tam dużo nowych osób z Polski. Pani Irena Radziewicz, elegancka i miła, była tam ważną i cenioną przez wszystkich osobą. Okazało się, że jest koleżanką ze studiów Jadzi i mojej bratowej Stefy.

Uczestniczek kursu było około trzydziestu, nie licząc miejscowych. Spałyśmy na porządnym sieniaku, w czystej pościeli; żywienie także było dobre. Rozmawiałyśmy na różne tematy, śpiewałyśmy polskie pieśni.

Największą jednak niespodzianką było to, że był tam ksiądz, co prawda obrządku grekokatolickiego, u którego można się było wypowiadać.

W niedzielę odbyła się Msza św. Odprawiał ją ksiądz ubrany był w komżę (innych szat nie było), we wschodnim obrządku.

Upłynęło przeszło rok i sześć miesięcy od czasu, gdy poprzedni raz uczestniczyłam we Mszy św. i byłam u Komunii w Buzułuku. Serce mi drżało z radości... Śpiewaliśmy wszyscy z całej duszy *O Maryjo przyjm w ofierze, Jezusa ukrytego* i inne pieśni, a na końcu *Boże, coś Polskę*.

Kurs trwał tylko dziesięć dni, ale były to dla nas jasne, beztroskie chwile, bo nie musiałyśmy się troszczyć, co będziemy jeść dnia następnego. Było to dla nas jakby duchowe odrodzenie – rodzaj rekolekcji.

Na zakończenie kursu dzieci z Domu Dziecka urządziły ognisko i tańczyły polskie tańce.

Pani Radziewicz zainteresowała się losem moim i Marysi – chciała nam jakoś pomóc. Po rozmowie z „mężem zaufania” rejonu Chanki panem Marianem K. poprosiła nas do siebie.

– Moje drogie – zwróciła się do nas pani Irena. – Mam dla was piękną i pożyteczną pracę na terenie Chanek. Powstał tam niedawno Dom Starców, a właściwie Dom Inwalidów. Chcemy też założyć tam Dom Dziecka, tak jak tu, w Urgenczu. Potrzebne są więc pielęgniarki i nauczycielki.

– Naturalnie! Zgadząmy się – odrzekłyśmy razem z Marysią.

– Będziecie mieszkać w polskim Domu Starców. Już tam posyłamy produkty żywnościowe do wspólnej kuchni. Pan Marian chce wam dać tam osobny pokój.

– Będziemy ze wszystkiego zadowolone – odpowiedziałyśmy.

– Dom Dziecka, razem z nauczaniem, same zorganizujecie. Kładę wam to na serce.

– Dobrze. Postaramy się to wykonać – odrzekłyśmy z zapalem.

– Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, zwracajcie się do mnie. Chanki są bliżej Urgencza niż Gurlen – tylko osiemnaście kilometrów będziecie miały do mnie.

Podziękowałyśmy pani Irenie, a potem zwróciłyśmy się do naszego przyszłego „męża zaufania”, pana Mariana.

Był to człowiek kulturalny i miły, jakiś dawniejszy sędzia. Ucieszył się bardzo, że przyjdziemy do jego rejonu. Obiecałyśmy mu, że we wrześniu będziemy już w Chankach.

Po powrocie do Gurlenu, a właściwie do naszego „Proletariatu”, zaczęłyśmy się szykować do wyjazdu. Trzeba było poczekać aż wygoją się rany, które leczyłam Uzbekom.

Pożegnałyśmy się z naszymi ludźmi, ale nie spodziewałyśmy się, że nas tubylcy będą tak żałować. Kobiety płakały, dawały nam na drogę placki i dzugarę. Mężczyźni stali smutni.

Odprawiał nas pan Kowalski, też bardzo smutny.

Jednak nam smutno nie było. Jechaliśmy przecież do pracy dla dobra naszych rodaków i polskich, opuszczonych dzieci. Byłyśmy pełne zapala. Snułyśmy plany co do naszej przyszłej pracy.

INKŁAP

Polski Dom Starców znajdował się trzy kilometry od Chanek we wsi, a właściwie kolchozie, „Inkłap”.

Był to duży czworokątny budynek (dawna świątynia), z wirydarzem pośrodku.

Gdy przyjechałyśmy, powitał nas dyrektor domu, pan Pawletko. Weszłyśmy na salę, gdzie byli zgromadzeni wszyscy mieszkańcy. Była to duża, ciemna sala (miała tylko dwa małe okienka); wzdłuż ścian stały drewniane, piętrowe prycze, zupełnie gołe. Na niektórych leżały tylko jakieś szmaty.

Po jednej stronie spali mężczyźni, a po drugiej kobiety. Pośrodku stał długi stół. Zamiast podłogi – gliniane klepisko. Zupełnie jak w łagrze, a nawet gorzej, bo bardziej brudno.

Ludzie wyglądali okropnie: wychudzeni, bladzi, chorzy, okryci strasznymi łachmanami. Kobiety wyglądały trochę lepiej, czystiej.

Przywitali nas i zaczęli zasypywać pytaniami. Byli i tacy, co okazywali niechęć.

– Co?! Pielęgniarki? Nauczycielki?

– Po co nam tu je przysłano!

– Nie potrzebujemy pielęgniarek ani lekarstw. Daliby lepiej jedzenia i ubrania!

Byłyśmy zdumione tym, co zobaczyłyśmy. Pani Radziewicz i pan Marian mówili, że będziemy tu miały niezłe warunki, że niczego nie brakuje, a tymczasem zastałyśmy głód i brud.

Było prawie sześćdziesiąt osób dorosłych i dwadzieścioro dzieci.

Rano dostałyśmy, jak w obozie, kawałek chleba na cały dzień, a na obiad jakąś marną zupę. Kolację każdy sobie sam organizował, jeżeli miał z czego.

Nasz pokoik był pusty – stało w nim tylko jedno łóżko; podłoga była z czerwonej cegły. Obok był duży, jasny pokój przeznaczony na Dom Dziecka, który miałyśmy dopiero założyć.

Nie przeraziły nas jednak złe warunki, ani złe przyjęcie ze strony dorosłych: jeżeli starcy i chorzy nie potrzebują naszej pomocy, to zaraz zabieramy się do pracy przy dzieciach. One nas na pewno potrzebują.

W Domu Starców co rano odbywały się bardzo nieprzyjemne sceny przy rozdzielaniu chleba, który przywozili z Chanek. Ludzie krzyczeli, wydierali sobie chleb z rąk, chwytali okruszyny, wymyślali na tego, który krajał, że robi to niesprawiedliwie itp.

Wszyscy byli bardzo głodni. Jednego razu rozebrała się przejmująca i drastyczna zarazem scena: Jeden z chorych, gdy podano mu jego porcję chleba, chwycił go z radości, raz tylko go ugryzł i umarł, trzymając ten kawałek przy ustach. Inni, widząc, że już nie żyje, odebrali mu go ze stygnących rąk i zaczęli sobie nawzajem wydzierać.

Co dzień rano miałam obowiązek obejść wszystkich chorych i podać im lekarstwo. Było to bardzo przykry obowiązek – przecież ci ludzie chorowali z wycieńczenia i głodu. Gdybym im rozdawała jedzenie, byłiby bardzo radzi i wdzięczni, ale od lekarstw się odwracali.

W Gurlenie nie było takiej biedy. Tam ludzie byli młodszy i jakoś sobie radzili. Otrzymywaliśmy też jakieś przydziały z darów amerykańskich. Czy tutaj one nie doszły? Dlaczego tutaj ludzie byli tak wygłodzeni i obdarci? Wydawało nam się to bardzo podejrzane.

Był tam pewien młody człowiek. On nie był taki obdarty i brudny, jak inni. To on dzielił chleb i załatwiał różne sprawy. Mieszkał we wspólnej sali, bo był kaleką (podczas ucieczki z więzienia, skacząc z okna na kamienne podwórze, połamał sobie nogi). Poruszał się o dwóch kulach. Nazywał się Justyn S. Często rozmawialiśmy z nim i wypytywałyśmy go o rozmaite sprawy.

– Czy do was nie dochodzą dary amerykańskie? – pytałyśmy.

– Dochodzą, ale w bardzo małej ilości, bo zanim do nas dojdą, inni wcześniej je rozkradają – odpowiedział.

– Któż tutaj tak kradnie?

I tutaj padły nazwiska ludzi, którzy to robią, a potem – handlują zdobytymi rzeczami. Tak samo – według niego – wyglądała sprawa z prowiantem przeznaczonym dla kuchni.

Zacząłyśmy organizować Dom Dziecka. Rodzice chętnie oddali nam dzieci. Niektóre z nich miały matki pracujące, więc przebywały u nas w ciągu dnia, inne natomiast spały u nas, gdyż ich rodzice byli na wspólnej sali lub mieszkali w bardzo oddalonych wsiach.

Było tam kilka łóżek, ale trudno było zdobyć pościel. Wreszcie nam się to udało. Nazbierało się tych dzieci przeszło trzydzieści. Były to dziewczynki i chłopcy w wieku przedszkolnym i szkolnym. Dzieci były bardzo miłe i niewymagające. Przeszły już dużo w życiu i niejedno widziały. Ta ciężka szkoła życia nauczyła je znosić cierpliwie wszystkie niewygody. Od razu nas pokochały; czuły, że walczyliśmy o ich dobro, a trzeba było niekiedy walczyć i to nieraz z władzami uzbeckimi i naszymi.

Najpierw udałyśmy się do Urgencza, do pani Radziejewicz, po różne rzeczy dla dzieci – wróciłyśmy obciążone. Trzeba było pomyśleć o szkole. Miała być ona zatwierdzona przez władze państwowe. Było z tym sporo biegania po rozmaitych urzędach.

Na wspólnej sali mieszkała starsza pani, Maria Drozdowicz. Dobrałyśmy ją do naszego personelu jako nauczycielkę języka rosyjskiego, który dobrze знаła (bez tego języka nie chcieli nam zatwierdzić szkoły). Marysia zaczęła uczyć polskiego, matematyki i śpiewu. Ja uczyłam historii, geografii i religii. Naszym wizytatorem był pan Kazimierz Odyniecki, który nie mieszkał na sali, tylko w Chankach. Miał on schowaną u siebie małą, ale bardzo ważną książkę: Ewangelię. Pożyczył mi ją na czas nieokreślony. Dzieci zaczęły się uczyć z radością, ale trudno było dostać polskie książki, tak samo i zeszyty. Pisały na różnych skrawkach papieru lub gazet. Dostałam też skądś jakiś stary atlas geograficzny, który się bardzo przydał.

W naszej szkole nie było osobnej sali na klasę. Dzieci uczyły się w tym samym pokoju, w którym spały. Były tam długie ławki i stół, i to wystarczyło. Niektórym matki przynosiły żywność, a te chętnie dzieliły się z innymi. Kucharka gotowała czasem osobno dla dzieci, a innym razem miały ten sam obiad, co dorośli.

Najprzyjemniejsze były wieczory. Siedziałyśmy z dziećmi i śpiewałyśmy nasze polskie pieśni. Uczyłyśmy ich krakowiaka, trojaka i kujawiaka. Czasem urządzałyśmy małe przedstawienie. Niektóre dzieci były bardzo zdolne i bystre. Uczyły się wszystkiego „w lot”. Najgorzej było z rosyjskim. Pani Drozdowicz nieraz ze łzami w oczach wychodziła z lekcji. Dzieci absolutnie nie chciały się uczyć tego języka. Przekreślały naumyślnie wyrazy, wybuchały śmiechem, robiły rozmaite figle. Pani Maria była delikatna i słaba, więc nie mogła sobie poradzić z wrzeszczącą gromadką. Nieraz prosiła mnie albo

Marysię, żebyśmy siedziały na jej lekcji, bo inaczej nie poradzi z nimi. Czasem znieca wchodziła któraś z nas na lekcję rosyjskiego, wtedy krzyki i śmiechy od razu ustawały, dzieci poważniały i zaczynały się uczyć.

Nasz „mąż zaufania” po pewnym czasie wyjechał. Na jego miejsce przyjechał inny, pan M.– były wojskowy. Niestety, miałyśmy wszelkie podstawy przypuszczać, że dary przeznaczone dla ludzi są rozkradane „na górze”. Ponadto styl życia i morale „sztabu” pozostawiały wiele do życzenia.

Postanowiliśmy z Marysią, że nie pozwolimy okradać przynajmniej dzieci, ale cóż mogliśmy zrobić?

Raz wygarnęłam dyrektorowi domu wszystkie nieuczciwości, przede wszystkim, że okrada starców i dzieci, że jako dyrektor tego domu powinien dbać o ich dobro itd. Był wściekły na mnie, że śmiałam mu to powiedzieć w oczy. Krzyczał, złościł się i nawet mi groził, ale ja nic sobie z jego gróźb nie robiłam, bo wiedziałam, że ujmie się za mną pani Radzewicz, która była w Zarządzie Głównym. Przez parę dni nie odzywał się do mnie.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Uczyłyśmy dzieci śpiewać kolędy.

W wieczór wigilijny była wspólna kolacja na sali u starców. Justyn postawił na stole krzak bawełny, z którego szuszek osypywała się wata. Nagotowano dużo ryżu i kompotu z moreli.

Pan Pawletko podszedł pierwszy do mnie z chlebem, który zastępował opłatek. Pogodziliśmy się. Śpiewaliśmy kolędy, ludzie płakali.

My z Marysią byłyśmy porządnie ubrane, bo dostałyśmy nowe sweterki i spódnice. Inni też sporo dostali. Nikt jednak w dalszym ciągu nie otrzymywał listów. Myślami wędrowaliśmy do naszych rodzinnych domów, wspominając najbliższych.

Nasi ludzie wiedzieli, że jestem zakonnica. Niektórzy pytali, z jakiego Zgromadzenia, ale nikt nie nazywał mnie siostrą, tylko wszyscy mówili do mnie „panno Zosiu”, a do Marysi – „panno Marysiu”.

Po świętach zaczęły się niespotykane tu mrozy i śniegi. Starzy Uzbeki nie pamiętali takiej zimy. Najgorzej wyglądała sprawa opału. W Uzbekistanie nie ma węgla ani drzewa. Tubylcy palą łądygami dżugary lub cegiełkami z bydłęcego nawozu (robią je latem i suszą na dachach). Do tej pory im to wystarczało, bo nie było mrozu, ale teraz?

Polski dom nie miał żadnego opału. Nasi mężczyźni zakradali się nocą na pobliski uzbecki cmentarz i rozbierali „chatki” umarłych, wyciągając z nich drewniane belki. Należało być bardzo ostrożnym, bo za takie rzeczy groziła śmierć. Nie było jednak innej rady.

Jakaż była nasza radość, gdy pewnego dnia przywieziono nam kilka furmanek opału. Tym opalem był makuch; nazywałyśmy go „żmychem”. Były to twarde, suche, dość grube żółte płyty, które dobrze się paliły. Ale cóż, kiedy ten opał zaczął bardzo szybko znikać. Okazało się, że ludzie kradną go do jedzenia, bo były to sprasowane po wyciśnięciu na olej pestki bawełny. Najpierw rzuciły się na ten żmych dzieci. Zastanowiło nas, że ciągle się napraszały chcąc iść do składziku po opał. Potem się wszystko wyjaśniło – w łózkach i innych kątach znajdowałyśmy okruchy. Wtedy one, ze łzami w oczach, prosiły nas, żeby im pozwolić to jeść.

– Niech pani sama spróbuje, to dobre – mówiły.

Co prawda było to trochę gorzkie, bo ziarna bawełny to nie mak, ale głód wszystko czyni smacznym.

Nie zabraniałyśmy więc i po prostu udawałyśmy, że nie widzimy, jak gryzą po kątach.

Marysia była „ministrem spraw wewnętrznych”, a ja zewnętrznych, bo lepiej znałam rosyjski. Chodziłam do różnych urzędów rosyjsko-uzbeckich w sprawach szkoły i podręczników.

Wielka była nasza radość, gdy otrzymałyśmy polskie podręczniki wydane w Moskwie przez Związek Patriotów Polskich. Wreszcie nasze dzieci mogły się uczyć z polskich podręczników!

Justyn był człowiekiem bardzo zręcznym, jeśli chodzi o różne drobne prace (później nauczył się też szyć buty), za które dostawał od Uzbeków dżugare lub ryż. Postanowił nas dożywiać. Nieraz przynosił dżugare, masło lub mleko, a Marysia gotowała.

Pewnego razu zostałam wezwana do UB w Chankach.

Przeraziłyśmy się obie. Marysia płakała i chciała iść razem ze mną, ale odradziliśmy jej z Justynem.

– Jeżeli mnie aresztują, to przynajmniej ty zostaniesz z dziećmi, bo inaczej co z nimi będzie? – tłumaczyłam jej.

Poszłam sama, chociaż strach mnie oblatywał. Postanowiłam jednak grać wielkiego zucha.

W urzędzie wypytywano mnie o Dom Starców, ale wyczułam, że nie o to chodzi. Rzeczywiście, po pewnym czasie zaczęli wypytywać o Dom Dziecka i szkołę. I wreszcie najważniejsze pytanie:

– Kto wam pozwolił uczyć Zakon Boży (religii)?
– A kto mi zabronił? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.
Odpowiedzią moją byli zbici z tropu i długo milczeli.
– Nikt wam nie zabraniał, ale byliśmy pewni, że wiecie o tym, że tych spraw w szkole nie można uczyć.
– To jest polska szkoła i uczyłam według programu, jaki obowiązuje w Polsce (religii uczono w szkołach).
– Przebywacie na naszym terytorium i musicie się do naszych programów stosować, a nie do polskich!
– Dlaczego nie przysłaliście mi waszych programów? Skąd mam wiedzieć, czego u was można uczyć, a czego nie?
– Musicie przyrzec, że więcej nie będziecie uczyć Zakonu Bożego.
– Nie mogę tego przyrzec, bo dzieci są katolickie i bardzo lubią religię.
Puścili mnie.
Z Chanek do Inklapu nie jest daleko, więc szybko wróciłam, ku ogromnej radości Marysi i Justyna.
Wiosną zrobiły się upały. Byliśmy wszyscy opaleni na czarno, a dzieci nie miały już chęci się uczyć. Wobec tego zakończyliśmy rok szkolny.
Rodzice, przeważnie matki, zabrały dzieci do swoich wsi. Zostali tylko starcy i chorzy na wspólnej sali.
Starcy z Polskiego Domu napisali skargę do władz sowieckich na swój zarząd, zwłaszcza na „mężów zaufania”. Ci, dowiedziawszy się o tym, odebrali za karę wspólną kuchnię – nie było już darmowych zup. Wtedy zapanował straszny głód. Biedacy zaczęli masowo umierać z głodu, wycieńczenia i innych chorób. Czasem umierało po kilka osób dziennie. Najtrudniejsza była sprawa z pochówkiem: Uzbecy nie pozwalali, żeby chować Polaków na ich cmentarzach.
Gdy władze sowieckie dowiedziały się o panującej tu sytuacji, zabrały „mężów zaufania” (wsadzono ich do więzienia, niektórych nawet na piętnaście lat) i zmieniono cały zarząd Domu Starców.
Przysłano nam dyrektorkę, Rosjankę, o imieniu Wala. Była to dziewczyna w niczym nie zorientowana i bez wykształcenia. Miała małe dziecko, Jerzyka. Jedną z naszych dziewcząt była nianką tego dziecka. Chaos jeszcze się powiększył i panował coraz większy głód. Ludzie – i my także – gotowali przeważnie lebiędę, bo nie było wspólnej kuchni.
Miałyśmy z Marysią mały pokój, ale nie byłyśmy pewne czy Wala nas nie wyrzuci z niego.
Zapowiedzieli nam, że Dom Dziecka i szkoła będą gdzieś przeniesione. Czy nadal będziemy mogły pracować przy naszych dzieciach – nie wiedziałyśmy.
Na wspólnej sali była żona pułkownika, pani Trojanowska, osoba wykształcona i dystygowana. Często przychodziła do naszego pokoju. Rozmawiałyśmy o lepszych czasach, a ona opowiadała nam ciekawe rzeczy.
Tymczasem zaczęła szaleć wśród naszych ludzi malaria. Brałyśmy z Marysią profilaktycznie leki, ale jednego gorącego dnia, chwyciła nas jednocześnie.
Ta dziwna choroba przychodzi nagle i o stałej porze. Najpierw człowiek dostaje strasznych dreszczy i robi mu się bardzo zimno. Dygocze z zimna przy największym upale, każdy mięsień drży, nawet gorącej wody nie można się napić, bo zaciskają się szczęki. Jest to bardzo przykre uczucie. Jednak po kilku godzinach chłodu i drgawek, opanowuje ciało bardzo wysoka temperatura (do czterdziestu stopni), wówczas robi się bardzo gorąco. Po pewnym czasie gorączka spada znowu do normalnej temperatury. Człowiek wstaje, ale jest bardzo osłabiony.
Na drugi dzień wstałyśmy. Nieraz myślałam jak się bronić przed malarią skoro leki już nie pomagają. I wtedy przyszedł mi z pomocą Puszek, mój kotek. Przygarnęłam go z litości, bo był chory – może też miał malarię?
Pewnego razu podczas ataku choroby, gdy drżałam z zimna pomimo wielkiego upału, Puszek wskoczył mi na ramiona i przykrył mnie swoim futerkiem. Drgawki zaraz ustąpiły, dostałam gorączki. Przekonałam się, że jego ciało z futerkiem pomaga w ustąpieniu dreszczy. Cały atak jest wtedy łagodniejszy. Co drugi dzień chwytala mnie malaria. Wiedziałam już, że jak słońce będzie na połowie ściany (bo zegarka nie miałyśmy) dostanę ataku. Oglądałam się wtedy za kotem. Czasem trzeba go było wołać. Szybko przybiegał i mnie ogrzewał. Atak mijał wtedy szybko i łagodnie.
Dość szybko malaria nas opuściła, ale inni nasi ludzie cierpieli na nią nieraz po kilka lat.

Justyn pokochał Marysię całym sercem. Zwierzał mi się z tego i prosił, żebym z nią porozmawiała w jego sprawie. Marzył o poślubieniu jej, ale nie był pewien jej uczuć. Był to chłopak dobry, pracowity i bardzo skromny, ale miał połamane nogi i zerwane ścięgna. Chcąc się Marysi podobać, odrzucił kule, przy pomocy których stale chodził i robił ogromne wysiłki, żeby chodzić tylko o lasce. Ta gimnastyka pomagała mu i zaczął się poruszać znacznie lepiej.

Raz powiedziałam Marysi:

– Wiesz, Justyn bardzo cię kocha. A ty?

– On jest bardzo dobry, szlachetny, ale nie wiem sama, czy go Kocham.

– Musisz postawić sprawę jasno. Albo dać mu jakąś nadzieję, albo powiedzieć, żeby nie myślał o tobie i nie ranił sobie serca. To dobry chłopak – odpowiedziałam.

O dobroci Justyna, także względem mnie, mogłam przekonać się wiele razy, ale może najbardziej wzruszający był jeden fakt.

Podczas lata wielu naszych ludzi zgłosiło się do pracy na jakimś państwowym polu z kawonami. Marysia i Justyn też zgłosili się do tej pracy, ja natomiast zostałam w Inklapie. Pole było odległe od Chanek jakieś trzydzieści kilometrów. Wszyscy pracujący mieli zamieszkać na tamtych polach. Miałyśmy się rozstać z Marysią na cały miesiąc. Smutno mi było, ale wiedziałam, że to jest konieczne, bo trzeba było coś zarobić. Zresztą nie byłam zupełnie sama, bo w Domu Starców została pani Trojanowska, pani Zofia, Żydówka z Polski i jeszcze kilka osób.

Po ich wyjeździe zrobiło się pusto. Z żywieniem jakoś sobie radziłam, bo miałam zostawiony zapas dżugary.

Któregoś dnia poszłam do lekarza, a potem do apteki wykupić lekarstwa. Następnego dnia po zażyciu lekarstwa od razu poczułam, że się zatrulałam, choć wzięłam mniejszą dawkę, niż mi kazano. Zakręciło mi się w głowie, przed oczyma zrobiło mi się ciemno – czułam, że tracę przytomność. Resztkami sił wybiegłam z pokoju i krzyknęłam: Ratunku!

Straciłam przytomność. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą panią Zofię, która lała mi w usta zsiadłe mleko. Długo nie mogłam się ani poruszyć, ani mówić. Pod wieczór tego dnia zobaczyłam Justyna. Był bardzo zmęczony, ociekał potem. Szedł pieszo na tych swoich chorych nogach, razem z Marysią, przeszło trzydzieści kilometrów, i to w wielkim pośpiechu, bo miał bardzo wyraźne przeczucie, że ze mną coś się stało. Marysia potem mi opowiadała, że wieczorem powiedział do niej:

– Muszę zaraz bieć do Inklapu bo czuję, że Zosi się stało coś złego. Daj mi prędko parę placków, bo nie mogę tracić ani chwili. Może ją spotkało jakieś nieszczęście.

Marysia chciała go zatrzymać do rana, ale on się bardzo denerwował i ciągle powtarzał:

– Coś się musiało stać. Czuję, że nie mogę tracić ani chwili czasu, bo będzie źle. Muszę Zosię ratować.

I szli razem w nocy przez puste pola, potykając się i przewracając, ale szli mi na ratunek. Gdy przyszli jeszcze leżałam, ale już byłam przytomna. Ratował mnie skutecznie dalej. Potem poszedł do Chanek, zwymyślał lekarza i aptekarza, że dali mi złe lekarstwo i byliby mnie nimi zabili.

Innym razem, gdy bredziłam w malarii coś z gorączki lub też osłabienia, podał mi krzyż, który dostał od kogoś z naszych ludzi. To mi wróciło przytomność.

Po powrocie Marysi z pól, zorientowałyśmy się, że nie pozwolą nam dalej prowadzić szkoły i mieszkanie też prędko wymówią. Najwyraźniej Wala chciała się nas pozbyć. Nie miałyśmy żadnej pracy. Wtedy zaczęłyśmy z Marysią robić dla żołnierzy swetry.

W Chankach było specjalne przedsiębiorstwo robienia wełnianych swetrów. Zapisaliśmy się tam. Dostawało się za tę pracę kartki na europejski chleb. Dawali nam na wagę brudną wełnę. Najpierw trzeba z niej było zrobić samemu nici a następnie sweter – jeden lub kilka. Potem wazyli gotowy wyrób, którego waga musiała się zgadzać z wagą wełny.

Żadna z nas nie umiała robić na drutach, ale wzięłyśmy jedną porcję wełny na nas dwie i jedną kartkę na chleb. Marysia nauczyła się robić nici, a ja – robić na drutach. Pierwszy nasz wyczyn swetrowy był słynny na całą okolicę. Wzięłyśmy dwa kilogramy wełny. Marysia zrobiła bardzo grube nici, a ja zrobiłam olbrzymi sweter – na wielkoluda. Znalazł się on potem w witrynie sklepowej jako okaz, a nasi ludzie dodali do niego karteczkę: Goliat.

Przechodnie przystawali przed oknem sklepowym i śmiali się w głos.

Justyn otworzył zakład obuwniczy. Przygotował sobie jakiś warsztat – kopyta, szpilki... dostał jakieś młotki, a skórę dostarczali ci, którzy chcieli mieć buty.

Uzbecy coraz chętniej zamawiali u niego obuwie i chwalili go jako dobrego szewca. Za szycie butów Justyn dostawał dzugarę, ryż, mleko, a czasem pieniądze. Każdym groszem dzielił się z nami. Oczywiście cały czas zależało mu na wzglęдах Marysi.

Któregoś dnia Marysia powiedziała do mnie:

– Zdecydowałam się: wyjdę za Justyna. Nie chcę go dłużej trzymać w niepewności. Ty wrócisz do klasztoru i ja też muszę jakoś sobie życie ułożyć, a chyba nie znajdę lepszego męża niż Justyn.

Stało na tym, że na Boże Narodzenie wezmą ślub w Uregenczu, bo tam był ksiądz, który się ukrywał.

Na świętego Szczepana Marysia i Justyn pojechali do Urgencza, do pani Ireny Radziewicz, i w jej domu odbył się ich ślub.

Pani Radziewicz i jej rodzice byli świadkami tego cichego ślubu. Marysia nie miała białej sukni, ani welonu, a Justyn eleganckiego ubrania.

Justyn już przedtem wynajął mieszkanie u jednego Uzbeka i prosił mnie, żebym z nimi zamieszkała, bo w Domu Starców już nie można było mieszkać.

Izi-Boa, gospodarz, staruszek, bardzo szlachetny, uważał mnie za siostrę Justyna.

Nie byłam na ich ślubie, tylko przyjechałam ich na progu domu chlebem i solą, według naszej tradycji, a przed ślubem zrobiłam im krzyżyk na czołach.

Był to rok 1943.

Dziś, po dwudziestu sześciu latach, żyją zgodnie i szczęśliwie w Zduńskiej Woli. Ona pracuje w liceum ogólnokształcącym jako polonistka, a on zajmuje się domem, bo jako inwalida, nie może pracować. Mają dwoje dzieci – syna i córkę. Są nadal moimi przyjaciółmi.

NOWA POLSKA SZKOŁA

W Inkłapie był olbrzymi budynek po jakimś uzbeckim *baju* (księciu), z piękną bramą wejściową i rzeźbionymi drzwiami. Było tam mnóstwo pokoi, dziedzińców, rozmaitych zakamarków. Budynek ten został oddany polskim władzom na Dom Dziecka i szkołę.

Dyrektorem domu został młody polski komunista, pan R. Oprócz niego w szkole uczył pan Bertisz, (Żyd; był tu razem z żoną). My obie z Marysią zostałyśmy też powołane do grona nauczycielskiego, a Justyn został magazynierem. Rosyjskiego miała uczyć Żydówka z Leningradu, pani Judit. Pielęgniarką została jedna z naszych panienek, Hanka Śledzińska.

Polskich dzieci przyjechało dość dużo z różnych stron Uzbekistanu. Było ich chyba około setki, ale i pomieszczeń było bardzo dużo. Dzieci miały sypialnie – osobno chłopcy, osobno dziewczynki. W klasach były ławki i tablice. Personel też miał swoje pokoje.

Bertiszowie mieli swoje mieszkanie. Hanka Śledzińska mieszkała z ojcem i siostrą, a ja mieszkalam najpierw z Marysią, a po ich ślubie – z panią Judytą. Była to bardzo kulturalna, starsza osoba.

Magazyn odzieżowy był bardzo dobrze zaopatrzony w bieliznę pościelową, ręczniki, sukienki i ubrania dla chłopców, także płaszcze. Spory też był zapas mydła.

Obie z Marysią byłyśmy wychowawczyniami. Co sobota kąpałyśmy dzieci i przeglądałyśmy bieliznę i ubrania. W kuchni pracowało kilka osób, ale posiłki były bardzo skromne. Dzieci ciągle były głodne i czekały zawsze niedzieli, bo tego dnia przychodziły matki i przynosiły im żywność.

Religia już nie należała do przedmiotów szkolnych, ale uczyłam dzieci po południu. Uczyły się chętnie. Nie mogłam jednak przygotować ich do sakramentów świętych, bo ksiądz był w Urgenczu (osiemnaście kilometrów od Chanek) i to w ukryciu – tylko pani Radzewicz i jeszcze kilka osób wiedziało gdzie przebywa, i w razie koniecznej potrzeby komunikowały się z nim.

W niedzielę urządzałam dzieciom wspólne nabożeństwa. Modliły się pobożnie i śpiewały religijne pieśni.

Dzieci garnęły się do nas. Wieczorami, gdy już leżały w łózkach, opowiadałam im coś z życia świętych, a czasami jakieś powieści np. *Krzyżaków* lub *Potop* Sienkiewicza. Bardzo lubiły te chwile. Marysia ćwiczyła z nimi piękne pieśni – miała duży chór.

Niestety, cała ta szkoła i Dom Dziecka niedługo były w polskich rękach – niecały rok. Wkrótce nam je odebrano. Pogorszyły się polsko-sowieckie stosunki dyplomatyczne. Nasiliły się represje. Zmuszano nas do wzięcia sowieckich paszportów.

Jakoś w tym czasie poszłam do Chanek po odbiór pieniędzy za swoją i Marysi pracę. Płacono nam mało, i to bardzo nieregularnie – co pięć lub sześć miesięcy. Cieszyłam się, że będziemy mogły coś sobie kupić z żywności. Nasz zwierzchnik, Rosjanin, odliczył pieniądze, położył ich dwie kupki – Marysi należność i moją. Podsunął mi te pieniądze i pokwitowanie ze słowami:

– Podpiszcie, zanim weźmiecie.

Podpisałam się, a on tymczasem szybkim ruchem zagarnął pieniądze do kieszeni i krzyknął:

– Won!

Wysłałam płacząc, bez pieniędzy.

Dyrektorką szkoły została jakaś Rosjanka. Wychowawczynią Domu Dziecka też była Rosjanka, dziewczyna złego prowadzenia.

Pozwalano nam uczyć jeszcze niektórych przedmiotów (tamte kobiety nie miały żadnego wykształcenia i z dziećmi nie umiały się zupełnie obchodzić). Do naszych dzieci dołączono rosyjskie i tatarskie. Z bólem serca patrzyłyśmy, jak Żeńka psuła nasze dzieci. Po pewnym czasie były zupełnie nie do poznania, ale były i takie, które nie uległy złym wpływom. Nie pozwolono nam mieszkać na terenie Domu Dziecka. Wierka odebrała mi klucze, a dyrektorka Tatarka wypowiedziała nam pracę. Jedynie Justyna pozostawili w magazynie, ale on nie miał nic wspólnego z dziećmi.

Zamieszkałyśmy u gospodarza Uzbeka Izi-Boa. Był to typ starotestamentowego patriarchy. Wszyscy Uzbekcy przychodzili do Izi-Boa po różne porady moralne i prawne. Wskazówki, których im udzielał, były bardzo mądre i sprawiedliwe.

Mieliśmy wielkie trudności z opałem. Ludzie rzucali się na każdy patyk, każdy badył. Raz Justyn wybrał się szukać opału i do spółki z innym Polakiem skradli Uzbekom jakąś drabinę. Zrobił się wiel-

ki hałas, bo okazało się, że drabina była wspólna. U każdego Polaka robiono rewizję, ale Justyn porąbał tę drabinę od razu i schował do łóżka.

Innym razem Marysia wybrała się z naszymi ludźmi po opał na cmentarz. Justyn gdzieś wówczas wyjechał na parę dni. Gdy ja spokojnie spałam, Marysia z narażeniem życia wyrывała z chałup nieboszczyków kawałki drzewa. Z trudem przyciągnęła spore brzemię. Rano wstała wcześniej, żeby zrobić mi niespodziankę i napalić w piecu, właściwie pod kotłem.

Zbudził mnie krzyk Marysi.

– Co się stało? – zapytałam i zobaczyłam, że bardzo zbladła.

– Popatrz, co przyniosłam zamiast drzewa!

Pod piecem leżały ludzkie kości.

– Gdy ściemnieje odniosę je na cmentarz i pomodłę się za tych ludzi – mówiła z żalem Marysia.

Czasem leczyłam Uzbeków, ale już nie tyle co w Gurlenie. Raz przyszedł do mnie Uzbek, porządnie po europejsku ubrany i dobrze mówiący po rosyjsku. Prosił mnie, żebym przyszła do jego domu, bo ma ciężko chorą żonę. Panowała wówczas epidemia tyfusu, więc odpowiedziałam, żeby poszedł do Chanek, do ośrodka zdrowia, bo to pewnie tyfus, ale Uzbek nie ustępował; powtarzał tylko, że jego żona chce koniecznie się ze mną widzieć, choćbym jej nawet nic nie pomogła.

Poszłam z nim na drugi koniec Inkłapu. Gdy weszłam do dużego domu, powiedział, że mieszka wspólnie z trzema braćmi i ma do swojej dyspozycji tylko jeden pokój. Wskazał mi drzwi do niego, a sam pozostał w sieni mówiąc, że żona chce być ze mną sama, bez świadków.

Pokój był urządzony po europejsku – ze stołem, krzesłami, szafą. Na łóżku leżała młoda piękna kobieta. Jakże się zdziwiłam, gdy zobaczyłam, że ma jasne, długie włosy. Kobieta uśmiechnęła się do mnie i powiedziała po rosyjsku:

– Ja nie jestem Uzbekką, ale Rosjanką, ze środkowej Rosji, na imię mi Zina. Jakże się cieszę, że możemy wreszcie porozmawiać.

– Co wam dolega? Nie wiem, czy coś pomogę, bo nie jestem lekarzem.

– Proszę mi mówić po imieniu, a lekarza nie potrzebuję, bo nie jestem wcale chora. Męża umyślnie oszukałam, żeby was tu poprosił. Nie miałam innego sposobu, żeby was zobaczyć.

Kobieta się rozpląkała i zaczęła opowiadać swoje smutne dzieje.

– Byłam sierotą. Macocha wyгнаła mnie z domu, gdy miałam dwanaście lat. Byłam zdolna do tańca, udałam się więc do teatru i prosiłam, żeby przyjęto mnie do baletu. I tak się stało. Nauczono mnie tańczyć i zaczęłam występować w zespole. Wyjeżdżaliśmy do różnych republik. Przyjechałam razem z zespołem do Uzbekistanu. Tutaj zakochał się we mnie ten młody Uzbek. Znał rosyjski, pracował już jako agronom. Wysłałam za niego za męża, ale nie wiedziałam, że w jego domu jest już pierwsza żona. Udawał kawalera. Tutaj mieszka razem z trzema żonatymi braćmi i jego poprzednia żona też mieszka razem. Oni mnie nienawidzą, wyśmiewają, upokarzają, nie chcą dawać jeść, a mój mąż, jako najmłodszy, boi się im sprzeciwić. Tylko jego pierwsza żona jest dobra dla mnie, broni mnie przed ich złośliwością i podaje ukradkiem jedzenie.

– Biedna Zino! Cóż ci mogę pomóc?

– Pomóżcie mi uciec od nich, od tych Uzbeków, do Rosji.

– To będzie trudno, bo Uzbeki bardzo pilnują swoje żony.

– Tak. Oni mnie bardzo pilnują. Nawet jego bracia powiedzieli, że jeśli ucieknę, to i tak mnie dogonią i potem zabiją. Chyba się otruję.

Jakoś ją uspokoiłam i obiecałam, że czasem przyjdę ją odwiedzić, ale nie mogłam nic pomóc tej biedaczce.

Raz miałam nieprzyjemną przygodę z psem. Włóczył się tam olbrzymi, płowy pies. Nie wiadomo było czy miał właściciela, czy też należał do całej wsi. Nazwałam go Sabą, tak jak nazywał się pies Stasia i Nel z *W pustyni i w puszczy*, i później wszyscy nasi ludzie tak go nazywali. Wydawało się, że szczególnie nienawidzi Polaków.

Lubiłam zawsze zwierzęta, nie bałam się nigdy żadnych psów, więc nie przypuszczałam, że może mnie spotkać coś złego, nawet od takiego Saby.

Przez pewien czas dostawałyśmy z Marysią kartki na europejski chleb, ale ten chleb wydawano bardzo rzadko, co kilka tygodni, albo raz na miesiąc.

Pewnego razu poszłam po niego do Chanek. Dostałam duży bochen i wracałam pełna radości do domu. Już byłam blisko, gdy raptem jak grzmot odezwało się szczekanie i wkrótce groźny Saba jak lew wyskoczył z krzaków i biegł prosto do mnie.

– Saba! Saba! Ratunku! – krzyknęłam.

Mając przy sobie chleb odłamałam kawałek i rzuciłam go psu, myśląc, że zanim zje, zdążę uciec, ale niestety – połknął chleb w powietrzu i znowu biegnie na mnie. Jeszcze kilka razy rzucałam, wciąż mając nadzieję, że może ktoś z naszych ludzi przyjdzie mi z pomocą. Resztkę chleba wypadła mi z ręki i wtedy z warczeniem rzucił się na mnie, wyrócił mnie i odgryzł mi kawał łydki. Na szczęście przybiegł Justyn. Mogło się to skończyć dla mnie tragicznie.

Uzbecy wiedzieli, że Saba to wróg Polaków. Gdy więc Justyn porąbał ukradzioną drabinę, nie przyszło im na myśl posądzać o to Justyna, ani nawet żadnego Polaka, choć pobieżnie robili nawet i u nas rewizję, ponieważ w momencie kradzieży przy drabinie siedział Saba. Justyn poradził sobie z tą bestią bardzo dzielnie: Najprzód zarzucił mu jakąś pętlę i obezwładnił go, a potem zbił go porządnie pasem. Skutek był taki, że gdy Saba zobaczył Justyna nawet z daleka, uciekał z podwiniętym ogonem. Na innych Polaków jednak jeszcze gorzej się rzucał. Na nodze do dziś mam ślady jego kłów i bliznę.

W STRONĘ, GDZIE ZACHODZI SŁOŃCE

Gdy Dom Dziecka w Inklapie przeszedł w ręce rosyjsko-uzbecko-tatarskie, a nas wyrzucono, mieszkaliśmy u Izi-Boa i trochę robiłyśmy swetry a trochę leczyłam chorych.

Pewnego razu przyszedł do nas pan K. Odyniecki w bardzo dobrym humorze.

– Moje drogie panie – powiedział – mam dla wszystkich bardzo dobrą wiadomość.

– Jakaż może być dla nas dobra wiadomość – mruknęła pesymistycznie pani Maria Drozdowicz, która teraz często u nas przebywała.

– Mam już pewne wiadomości, że wkrótce stąd wyjedziemy – mówił.

– Tak, ale dokąd? Może na Sybir? – odezwałyśmy się.

– Nie na Sybir, tylko gdzieś bliżej Polski.

– A może wreszcie do Polski! – krzyknęła entuzjastka, pani Trojanowska, żona byłego pułkownika.

– Skąd ma pan te wiadomości? – pytałyśmy podejrzliwie.

– Powiedział mi dzisiaj pewien rosyjski oficer. Zobaczycie i usłyszycie o tym za kilka dni.

Po odejściu Odynieckiego długo dyskutowałyśmy nad tym, ale nie dałyśmy temu wiary.

Po kilku dniach Justyn przyszedł bardzo podniecony i powiedział:

– Chyba będzie jakiś wyjazd. Przyjechał dziś jakiś wojskowy i kazał przygotować magazyny do oddania i sprawozdanie na papierze. Mówił, że wszystkich Polaków gdzieś zabiorą.

Teraz rzeczywiście zaczęliśmy wierzyć w zmianę. Nie było końca rozmowom na ten temat.

Po pewnym czasie przyjechał z Urgenczu rosyjski pułkownik. Najpierw kazał przyjść wszystkim, którzy pracowali w Domu Dziecka. Razem z nami przyszedli niektórzy rodzice dzieci z Domu Dziecka. Szliśmy chętnie, bo wiedzieliśmy, że usłyszymy coś, co będzie dotyczyło naszego losu.

Pułkownik po krótkim przywitaniu przemówił uroczyście:

– Polacy! Przyszła chwila waszego wyjazdu na zachód, w kierunku waszej ojczyzny – Polski.

Przerwały mu mowę krzyki i oklaski. Poszaleliśmy z radości. Całowaliśmy się krzycząc i śpiewając, co komu przyszło na myśl. Sama nie wiem, kiedy ucałowałam się z kulawym Żydem Aronem, od którego zawsze zalatywał jakiś nieprzyjemny zapach. On też się cieszył, że jedzie do Polski, bo tam miał rodzinę. Po chwili Bertisz chwycił mnie za rękę, jego żona za drugą i zaczęliśmy tańczyć jakiegoś trojaka na środku placu. Hanka Śledzińska i jej siostra podskakiwały, a pani Trojanowska ze Stokłosińskim zaczęła wywijać mazura, bo pan Stokłosiński lubił dawne tańce i często o nich wspominał.

Rosyjski oficer przyglądał się nam, jak szaleliśmy z radości, a potem poprosił o ciszę, bo chciał dokończyć przemowę.

– Wyjechać mogą wszyscy ci, którzy sami, na własną rękę, zaopatrzą się na drogę w żywność na trzy miesiące.

Nastąpiła grobowa cisza, lecz po chwili...

– Jak to! Przecież nie mamy pieniędzy, ani żadnych zapasów – zaczęli krzyczeć niektórzy.

– Ci, co nie mogą zaopatrzyć się w żywność na drogę, muszą pozostać tutaj, a także nie mogą wyjechać stąd starcy, chorzy i dzieci sieroty.

Teraz nasza radość zgasła.

– Co takiego?! Nasze dzieci mają tu zostać?! Nasi starcy mają tu zostać?!

– Taki jest nakaz naszych władz – oznajmił pułkownik.

– Nie zostawimy tu naszych dzieci ani starców – krzyknęliśmy.

– Taki nakaz. Za dziesięć dni bądźcie gotowi. Przyjadą po was wozy, ale nie myślcie, że jedziecie do Polski. Tam nie można, bo tam front – zakończył swoje przemówienie i odszedł.

Przez kilka następnych dni radziliśmy, co robić. Trzeba koniecznie zabrać dzieci, sieroty i starców. Zaczęły się też gorączkowe przygotowania do drogi. Marysia zaczęła piec dzugarę i pszenne placki. Justyn zdawał magazyn. Każda polska rodzina szykowała żywność na drogę, aż na trzy miesiące.

– Dokąd nas zawiozą? – pytaliśmy się wzajemnie.

– Pułkownik powiedział, że na zachód – ktoś odpowiedział.

W Domu Dziecka były teraz nie tylko polskie, ale i rosyjskie dzieci. Był tam dziesięcioletni chłopiec, Kostia Archipow, Rosjanin z Saratowa. Był sierotą wychowanym w jakimś rosyjskim Domu Dziecka. Pamiętał trochę rodziców i miał ciotkę, która była jego opiekunką. Kostia nauczył się nieźle mówić po polsku i bardzo mnie polubił.

Gdy dowiedział się, że wyjeżdżamy przyszedł do mnie i prosił:

– Niech mnie pani weźmie ze sobą do Polski.

– Przecież ty jesteś Rosjaninem i masz tu swoją ciocię.

– To ja mogę zrobić się Polakiem, a ciocia nie będzie po mnie płakać. Przecież i tak rzadko mnie odwiedza.

– Zrozum, kochanie, nie mogę ciebie zabrać. Nawet nasze polskie dzieci kazano nam tu zostawić. Przecież tu twoja ojczyzna i tu musisz mieszkać.

– Ale nie chcę mieszkać w Uzbekistanie, w tej Chorezimskiej obłasti¹⁹.

– Wyjedziesz stąd do Rosji, do Saratowa. Na pewno nie będziesz mieszkał tu długo.

– Ja chcę być Polakiem. Ja już umiem mówić po polsku. Niech pani napisze w swoich papierach, że jestem pani synkiem. Będę nazywać się Konstanty Archipowski.

Przez kilka dni Kostia chodził za mną z płaczem i prosił, żeby go zabrać do Polski. Było mi go bardzo żal. Pytałam nawet pana Odyńskiego i innych naszych mężczyzn, czy nie dałoby się go jakoś zabrać, ale oni nawet słyszeć o tym nie chcieli, tym bardziej, że musieliśmy wymyślić jakiś sposób, żeby zabrać nasze dzieci sieroty i starców. Tymczasem sprawa Kostia jakoś się rozwiązała, bo przyjechała jego ciotka i zabrała go.

Polskich dzieci sierot nie było dużo, zdaje się, piętnaścioro. Postanowiliśmy, że niektóre nasze rodziny je zaadoptują. Marysia i Justyn przygarnęli piętnastoletniego chłopca, Janka G., który ich bardzo o to prosił i obiecywał wdzięczność do końca życia. Było sporo trudności z tymi adopcjami, ale wreszcie udało się i wszystkie dzieci zostały zapisane na wyjazd wraz ze swoimi przybranymi rodzicami.

Gorzej było z ludźmi starszymi, bo też trzeba ich było wpisać jako członków jakichś rodzin.

Pani Trojanowska została „matką” Oleńki; pani Drozdowicz, bardzo nieśmiała i delikatna, że nie chciała nikogo prosić, żeby ją zabrano.

– Człowiek na starość już nikomu nie jest potrzebny – mówiła. – Nie mogę nikogo narażać na koszty, bo trzeba mieć żywności na trzy miesiące, a ja nie mogę tego zdobyć. Już tutaj złożę swoje kości.

Ale Justyn zrobił jej niespodziankę – wpisał ją, jako krewną, do swoich dokumentów, co oczywiście wywołało jej wielką radość.

Tak więc udało się załatwić sprawę z wszystkimi osobami starszymi – nie było ludzi samotnych. Każda polska rodzina zobowiązała się wyżywić przez drogę swoich przybranych krewnych i swoje przybrane dzieci.

Najlepiej zaopatrzyli się na drogę nasi polscy Żydzi. Każda z rodzin żydowskich miała olbrzymią ilość worków, a w nich – ubranie i obuwie, ryż, dzugare, pszenicę, placki, chleb suszony, marchew, duże zapasy pięknej uzbekiej cebuli i wiele innych rzeczy.

Nasi ludzie śmieli się z nich:

– Robicie zapasy chyba na dziesięć lat.

– Od przybytku głowa nie boli – odpowiadali Żydzi i dalej gromadzili rzeczy.

W dzień wyjazdu przyjechały po nas wielbłądy i duże arby. Ze śpiewem żegnaliśmy Inklap i Chan-ki, dzieci krzychały i cieszyły się beztrudno podróżą.

My też cieszyliśmy się, że wywożą nas z Uzbekistanu, że będziemy bliżej Polski.

– W razie czego, pieszo pójdziemy do domów, byle nas podwieźli na zachód – mówili niektórzy.

Był początek sierpnia 1944 roku.

I znowu niósł mnie „okręt pustyni”. Piasek wiał w oczy, ale teraz jechałam z nadzieją w sercu i nie czułam się tak samotna, bo miałam Marysię, Justynę i wiele innych osób, z którymi się żyłam. W drodze, gdy piasek nam mniej dokuczał, modliliśmy się i śpiewaliśmy. Marysia przyjęła rolę matki licznej rodziny. Na postojach wyciągała placki lub gotowała ryż i podawała pani Drozdowicz, mnie, Justynowi i przybranemu synowi, Jankowi. Był to chłopiec czarny, oczy i włosy miał czarne, tak jak Uzbegy. Często tubylcy nawet go zaczepiali i pytali zdziwieni, dlaczego jedzie razem z Polakami. Myśleli, że jest przez nas wywożony.

Przejechaliśmy pustynię Kyzyl-Kum i znowu znaleźliśmy się nad Amu-Darią. Już trzeci raz płynęłam tą rzeką. Teraz mogłam się lepiej przyjrzeć jej brzegom. Sama rzeka jest bardzo szeroka i bystra, o wiele większa od Wisły. Brzegi ma zupełnie pustynne – wszędzie widać tylko złote piaski i wydmy, gdzieś tam rosną srebrzyste dzidy z pięknymi, żółtymi kwiatami lub cierniste krzewy. Te krzaki

¹⁹ województwie (ros.)

były jedynym pożywieniem wielbłądów w podróży przez pustynię. Dziwiłam się, jak one mogą to jeść, nie kalecząc sobie jęzorów.

Płynąc na północny zachód żegnaliśmy Uzbekistan – kraj błękitnego nieba i pachnącej dżidy.

– Salem alejkum! Jachsze mesan!²⁰

Miałam raczej dobre wspomnienia z Uzbekistanu, bo spotkałam tam wielu dobrych ludzi, którzy żyli uczciwie i bardzo mi pomogli w trudnych dniach. Tylko przygoda ze złym psem Sabą była nieprzyjemna i przykre budziła wspomnienia.

Marysia tęskniła za muzyką i ciągle miała nadzieję, że tam, dokąd nas wiozą, może będzie jakieś pianino. Jednakże były to złudne marzenia.

Na barkach siedzieliśmy ciągle na pokładzie (choć trudno to nazwać pokładem) śpiewając lub dyskutując bez końca. Nie mieliśmy przecież żadnej pracy.

Dopłynęliśmy do Morza Aralskiego. Właściwie jest to ogromne jezioro. Tutaj wsiedliśmy do bardzo prymitywnego, ale dużego okrętu. Takich okrętów było kilka, bo nas, Polaków, było przeszło cztery tysiące.

Cały dzień płynęliśmy Morzem Aralskim. Dziwne to morze – wodę ma zupełnie czarną, jak atrament, i prawie zupełnie nie ma fal.

Nie czuliśmy żadnego kołysania. Nikt nie chorował na morską chorobę. Jazda na wielbłądach wystarczająco nas do tej podróży zaprawiła. Wydawało mi się, że okręt stoi w miejscu. Najpierw niektórzy śmiali się i żartowali:

– To jest morze? To żadne morze!

– Można je przepłynąć kajakiem w ciągu jednego dnia.

Gdy jednak brzegi zniknęły nam z oczu i widać było tylko czarną, spokojną wodę przez dwa, trzy, cztery dni, ci sami ludzie mówili:

– Jednak to prawdziwe morze, nie zabawka.

– Jak długo będziemy płynąć?

– A może ten okręt jest zepsuty i wcale nie płynie? Nie widać, żeby płynął.

– Co będzie, jak zabraknie nam słodkiej wody? Będziemy pić ten atrament?

– Dlaczego nie widać brzegów? Może płyniemy z powrotem do Uzbekistanu?

Te i inne pytania się budziły, ale nie znaliśmy na nie odpowiedzi. Nad nami było jeszcze ciemno-błękitne uzbeckie niebo, pod nami czarna woda, połyskująca w słońcu, czerwona podczas zachodu i białe mewy latające w górze. Na jakimś drągu zawiesiliśmy biało-czerwoną polską flagę.

Jeszcze Polska nie zginęła... rozlegało się co wieczór na Morzu Aralskim, a rano pod błękitne niebo płynęła pieśń *Kiedy ranne wstają zorze...*

Dużo naszych gorących modlitw ulatywało z tego okrętu, ale nie było wśród nas kapłana, który odprawiłby Mszę św. Minęło już dwa lata jak byliśmy z Marysią w Urgenczu na mszy, podczas kursu pielęgniarskiego. Ksiądz grekokatolicki został aresztowany i z nami nie wracał. Pani Ireny Radziewicz również nigdzie nie widziałam. Po zakończeniu wojny dowiedziałam się, że też wróciła do Polski i zamieszkała z rodzicami we Wrocławiu.

Któregoś dnia zabrakło nam słodkiej wody. Zrobił się krzyk i zamieszanie. Było bardzo gorąco i pić nam się chciało ogromnie, ale co robić? Czy pić wodę morską?

Ludzie spuszczały wiadra, nabierali tej wody i próbowali pić, ale skutek był fatalny. Ja też jakimś garnuszkiem jej zaczerpnęłam. Miała wstrętny zapach, bardzo gorzki i słony smak. Podobnie jak wielu ludzi chwyciły mnie po niej wymioty. Na szczęście jednak po dwóch dniach przybiliśmy do portu. Był to Aralsk.

Po zejściu z okrętu i zaspokojeniu pragnienia rozejrzeliśmy się wokół. Zauważyliśmy, że niebo tutaj jest inne, nie takie jak w Uzbekistanie.

– Zochna, patrz! Tutaj niebo ma chmurki, jak u nas w Polsce, jak w Europie – wołała do mnie Marysia.

– Chmury! Chmury na niebie! – wołali inni patrząc na niebo.

Przez trzy lata pobytu w Uzbekistanie nie widzieliśmy na niebie żadnych chmur – chyba naprawdę jesteśmy już bliżej Europy.

Ogłoszono nam, że dalej pojedziemy pociągami i mamy tu na nie czekać. Mieliśmy nadzieję, że nastąpi to niebawem.

²⁰ Żegnajcie! Wszystkiego dobrego! (uzb.)

Aralsk – małe miasteczko i port nad Morzem Aralskim.

Porozkładaliśmy swoje toboły i sami rozlokowaliśmy się na przybrzeżnym piasku, ale zapomnieliśmy, że tu już nie taki klimat, jak w Uzbekistanie – tu każdej chwili może spaść deszcz, a w nocy zimno dokucza. I rzeczywiście, przez kilka nocy drżeliśmy z zimna, choć w dzień było bardzo ciepło. Była pierwsza połowa sierpnia.

Po kilku dniach spadł ulewny deszcz.

Justyn, zaradny jak zawsze, znalazł jakieś mieszkanie, więc przenieśliśmy się do niego.

Niektórzy mówili:

– Po co wynajęliście mieszkanie? Przecież zaraz może nadjechać pociąg, a wy siedząc w tym mieszkaniu nie pojedziecie.

– Odłączycie się od gromady i zostaniecie tu na zawsze – krzyczeli inni.

– Widać, że mają pieniądze.

Justyn nie zwracał uwagi na to gadanie.

Ustanowiliśmy dyżury na stacji, żeby nie przegapić pociągu. Najwięcej cieszyła się z dachu nad głową pani Drozdowicz. Mocno odczuła zmianę klimatu – już zdążyła się przeziębic i złapać katar. Ja także źle się czułam, wieczorami miałam gorączkę i serce dokuczało, ale nikomu o tym nie mówiłam.

W Aralsku spędziliśmy całe dwa tygodnie, czekając na pociągi.

Było tam mnóstwo ryb, zwłaszcza suszonych... Tamtejsi mieszkańcy przynosili nam je, nieraz za darmo, całymi koszami.

Niekiedy całymi dniami padał deszcz i było zimno. Trzeba było palić w piecu, a o opał było bardzo trudno.

Jakaż była nasza radość, gdy wreszcie nadeszły tak długo oczekiwane pociągi!

Były to pociągi towarowe. Załadowaliśmy się na nie i powieziono nas znowu na północny zachód. Jechaliśmy przeważnie przez jakieś pustynne miejscowości, czasem mijaliśmy wsie i miasta. Zatrzymywaliśmy się w miejscach pustych, odległych od ludzkich osiedli. Wówczas wszyscy z ulgą wychodzili na zewnątrz. Nigdy jednak nie było wiadomo, kiedy pociąg ruszy. Czasem stał godzinę, niekiedy kilka godzin, a często i całą dobę. Nie można się było zatem zbyt oddalać. Nie wiedząc, jak długo potrwa nasza podróż musieliśmy też oszczędzać żywność. Na postojach, przed każdym wagonem, widać było mnóstwo ognisk; każda rodzina coś gotowała – na kamieniach stał zawsze jakiś garnek czy kociołek, a w nim gotował się ryż lub kasza z dzugary a najczęściej woda na herbatę, którą się piło z jakimś suchym plackiem dzugarowym lub jęczmiennym.

Dzieci wówczas barszkowały i biegały lub pomagały starszym w przyrządzaniu posiłku.

Podróż nasza przeciągała się. Już była połowa września. Ludzie zaczęli chorować, końca podróży nie było jeszcze widać. Wiedzieliśmy już, że wiozą nas na Ukrainę. Coraz więcej ludzi chorowało na dyzenterię, czyli krwawą biegunkę. Warunki higieniczne były okropne. Gdy zatrzymywaliśmy się koło jakiegoś jeziora czy strumienia, skwapliwie korzystaliśmy z okazji, żeby się umyć. W wagonie trzeba było wodę oszczędzać. Ja też zachorowałam na dyzenterię. Objawy choroby były przykre i upokarzające. Wszyscy jednak, skazani na tę samą dolę, byli bardzo wyrozumiali. Miałam gorączkę i wszystkie wnętrzości bolały. Od huku pociągu pękała mi głowa. Myślałam, że chyba już tu umrę. Marysia była bardzo troskliwa. Gotowała mi herbatę, bo pić mi się ciągle chciało i robiła kleiki z ryżu. Było już go bardzo mało, więc gotowała tylko dla mnie – oni jedli dzugarę.

Pociągami jechaliśmy przeszło miesiąc.

Przejeżdżaliśmy przez Wołgę, w pobliżu ujścia Donu. Wołga jest w tym miejscu bardzo szeroka, przy brzegach są mokradła i rozlewiska. Przez most jechaliśmy około dziesięciu minut. W krótkim czasie znaleźliśmy się pod Stalingradem, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka godzin. Tutaj odbyła się decydująca walka pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim w roku 1942, w której armia niemiecka poniosła klęskę. Choć już prawie dwa lata upłynęły od owej bitwy, pole walki, które poszliśmy obejrzeć, cała olbrzymia przestrzeń obejmująca chyba kilkanaście kilometrów, zasłana była żelastwem. Stały tam czołgi, leżały armaty, połamane samochody i innego rodzaju sprzęt wojenny. Było tego tak dużo, że z trudem chodziliśmy po tym żelaznym polu. Jak okiem sięgnąć wszędzie błyszczało wojenne „morze”.

– Kiedy już wreszcie będzie koniec tej wojny? – westchnęłam.

– O, teraz to już prędko! – mówili niektórzy.

– Może za miesiąc, lub dwa – odezwał się pan Odyniecki.

Wróciliśmy do pociągu i pojechaliśmy dalej.

Na początku października przybyliśmy na Ukrainę. Tu niektórych ludzi zaczęto wysadzać, inni jechali dalej. Nas, podróżujących dalej, było coraz mniej. Dojechaliśmy do jakiejś małej ukraińskiej stacji. Nazywała się Razowka (w Zaporoskiej Obłasti). Tu kazano nam wysiadać i zapowiedziano, że porozwożą nas po okolicznych wsiach, a raczej kołchozach.

Był już wieczór, zdaje się, około dziesiątego października 1944 roku.

Cała podróż z Uzbekistanu do Razowki na Ukrainie trwała dwa i pół miesiąca. Gdy wysiedliśmy pogoda była ładna, akurat był zachód słońca. Wciąż jeszcze byłam słaba i chora. Usiadłam na jakimś pniu i patrzyłam, jak Marysia i Justyn, a także pani Maria Drozdowicz czegoś szukają. Justyn biegał zdenerwowany.

– Co się tam stało? – spytałam Marysi, gdy wreszcie stanęła przy mnie.

– Wiesz, bardzo przykra sprawa. Już od kilku dni zginął gdzieś Janek i prawie wszystkie nasze rzeczy; wszystkie ubrania, które z takim trudem zdobyliśmy i zapasy żywności. Wszystko zginęło.

Po chwili nadbiegł Justyn.

– Wyobraź sobie, że Janek nas okradł zupełnie i uciekł. Ostatni złodziej! Tak mi się odplacił, za to, że go zabrałem i żywiłem przez drogę. Za dobre mam serce. Trzeba go było zostawić w Uzbekistanie! – mówił rozżalony.

Długo nie mogłem się uspokoić.

Wtem nadbiegli nasi ludzie z radosnym okrzykiem.

– Kapusta! Tam jest dużo kapusty! – wołali pokazując duże sterty kapusty po drugiej stronie.

Wszyscy tam pobiegli. Kapusty nie jedliśmy już bardzo długo – przez trzy lata pobytu w Uzbekistanie. Tam jej nie było, a w obozach nigdy nam nie dawano.

Po chwili unosił się w powietrzu gotowanej na ogniskach kapusty. Marysia też ugotowała jej duży rondel z cebulą i marchwią.

– Zosieńko, ugotuję ci zaraz ryżu, bo jeszcze trochę zostało. Nie jedz kapusty, bo może ci zaszkodzić – przestrzegła mnie Marysia.

– Nie chcę już ryżu. Jem ryż i tak jestem chora. Proszę, daj mi kapusty – co będzie, to będzie.

Marysia przyniosła mi sporą miskę. Zjadłam ją z apetytem i dyzenteria natychmiast ustąpiła.

Na drugi dzień cieszyłam się, że jestem zdrowa, choć byłam bardzo osłabiona.

Serdecznie dziękowałam Bogu za zdrowie i życie (obawiałam się śmierci w pociągu).

Zaczęto nas rozwozić po okolicznych osiedlach. W bardzo uszczuplonej gromadce znalazłam się we wsi Azow, blisko morza Azowskiego. To nie była wieś, tylko duże gospodarstwo państwowe. Azow był oddalony o osiemnaście kilometrów od Razowki. Powiedziałam Marysi, że teraz zamieszkam z panią Drozdowicz.

– Marysiu, już się odłączamy. Ty pilnuj męża, a ja będę pilnować pani Marii, bo ona jest zupełnie samotna i stara.

– Ale zostaniemy przyjaciółkami na zawsze, prawda?

– Tak, na zawsze. Nawet gdy powrócimy do Polski, nie stracimy kontaktu.

Justyn w Azowie wynajął mieszkanie u jakiejś gospodyni Ukrainki i tam zaczął szyc buty. My z panią Drozdowicz zatrzymałyśmy się na razie na wspólnej sali, gdzie mieszkało kilka naszych rodzin, a raczej matek z dziećmi, bo nie było tam ani jednego mężczyzny.

Wokół osiedla ciągnęły się pola uprawne, z których było już zebrane zboże i olbrzymie plantacje słoneczników. Z dala widoczne były tarcze z dojrzałymi ziarenkami stojące na grubych i długich łodygach. Wytaczano z nich wspaniałe olej. Nieco dalej rozciągały się olbrzymie, nieprzebyte, zielone jeszcze o tej porze roku stopy. Trawa była taka wysoka, że człowiek na koniu chował się w niej całkowicie. Step wyglądał groźnie i dziko.

Drzew ani lasu nigdzie nie było widać – wszędzie dokoła olbrzymia zielona trawa, po której hulał wiatr, a step szumiał, jak wielkie zielone morze.

Część trzecia

Z ZIELONEJ UKRAINY DO POLSKI

Będąc w Uzbekistanie nie słyszeliśmy, co się dzieje w Polsce, nie mieliśmy żadnych wiadomości od naszych najbliższych.

Gdy przybyliśmy do Azowa, zaczęliśmy pisać listy do rodzin. Marysia pierwsza dostała bardzo smutną wiadomość od rodziców, że jej dwie najmłodsze siostry zostały zamordowane przez Ukraińców.

Przeżyłam razem z nią ten smutek, ale byłam zdziwiona, że tam dzieją się takie rzeczy. Tutaj, na Zaporozu, Ukraińcy byli bardzo przychylnie ustosunkowani do nas, Polaków. Współczuli nam i pomagali materialnie, w czym mogli.

Po pewnym czasie i ja otrzymałam list od mojego ojca, który donosił, że wszyscy są zdrowi, że Jazia jest nadal w Słonimie i że tam wyszła za męża.

Serdecznie dziękowałam Bogu za zdrowie mojej rodziny, ale nic jeszcze nie wiedziałam o Zgromadzeniu.

Z panią Marią Drozdowicz nie mieszkaliśmy długo na wspólnej sali. Raz poszliśmy na spacer i po drodze zobaczyliśmy ruiny jakiegoś domu. Weszliśmy do środka, żeby go obejrzeć. Wprawdzie dach był dziurawy, nie było podłogi ani szyb w oknach, ale miał ściany i dobre drzwi.

– Zamieszkamy tutaj, pani Mario – zaproponowałam.

– Ja właśnie też myślałam o tym – odrzekła pani Drozdowicz – przynajmniej nie będziemy słuchać tych ciągłych kłótni. (Na wspólnej sali atmosfera była bardzo nieprzyjemna.)

Byłoby nam dobrze w tych ruinach, gdyby szło ku wiosnie, ale akurat była jesień i porządnie zmarłyśmy, choć pozatykałyśmy okna deskami. Właściwie tylko na noc wracałyśmy pod nasz dziurawy dach. W ciągu dnia obie chodziłyśmy pomagać tutejszym gospodyniom w ich pracy, a za to otrzymywałyśmy jedzenie.

Moja gospodyni, Ukrainka, babuszka Borodawka, była to kobieta w starszym wieku, miała męża, dzieci i wnuki. Wszyscy mieszkali razem w jednym dużym domu. Było tam czysto, podłoga zawsze wyszorowana, na łóżkach pełno ślicznie haftowanych poduszek, ręczniki haftowane, odświeżone bluzki kobiet i koszule mężczyzn również. Dzieci zawsze czyste i miłe. „Babuszka” i „dieduszka” byli dla mnie zawsze bardzo serdeczni.

Właściwie nic u nich nie robiłam. Bawiłam się z dziećmi, czasem skubałam pierze lub wełnę.

Na śniadanie, przy czysto nakrytym stole, podawano zawsze mleko ze świeżym chlebem i masłem, a na obiad ulubiony przez tutejszych mieszkańców ukraiński „barszcz” (gęsta zupa jarzynowa). Babuszka piekła często rozmaite pierogi i dawała mi też dla pani Marii. Bardzo popularny jest tu olej słonecznikowy. Używa się go do chleba z cebulą, do pieczonych kartofli, do pierogów. Jest bardzo smaczny i delikatny.

Wszyscy mieszkańcy Azowa musieli pracować w państwowym gospodarstwie – na roli, przy maszynach lub w kancelarii. Zwolnieni byli tylko starzy i chorzy.

Polaków nie zmuszano do pracy, ale zachęcano. Naszych mężczyzn w Azowie było tylko kilku, ale wszyscy inwalidzi. Niektóre kobiety poszły pracować na pole, inne pomagały gospodarzom.

Przyszło mi raz na myśl, żeby zrobić przedstawienie z naszymi dziećmi dla Ukraińców. Powiedziałam to Marysi, którą ten pomysł trochę ożywił (wciąż była smutna z powodu tragicznej śmierci swych sióstr).

– Dobrze. Urządzimy coś dla tych ludzi. Pokażemy, że polskie dzieci są zdolne do tańca i różańca – odrzekła.

Zaczęliśmy teraz ćwiczyć z dziećmi rozmaite tańce ludowe, polskie skecze, a po ukraińsku małe humorystyczne przedstawienie.

Najgorzej było ze strojami. Nie było ich skąd wziąć. Musiałyśmy pożyczać od gospodyń rozmaite chusty i haftowane ręczniki.

Wreszcie nadszedł dzień przedstawienia. Duża sala była wypełniona po brzegi. Nasze dzieci pięknie tańczyły i śpiewały, ale najwięcej podobało się ludziom przedstawienie w ich języku. Byli bardzo zadowoleni, że po kilku zaledwie tygodniach dzieci polskie opanowały ich język.

Okrzykom i oklaskom nie było końca. Przewodniczący kołchozu bardzo nam dziękował, a dzieci zostały poczęstowane słodyczami.

Od tej chwili mieszkańcy Azowa byli jeszcze bardziej dla nas serdeczni.

Był tam zwyczaj mówienia do każdego na „ty”, a dzieci do starszych mówiły „ciocia” lub „diadia”. Nieraz moja babuszka Borodawka mówiła do mnie:

– Zosia, ja bym bardzo chciała, żebyś ty zamieszkała u mnie, razem ze swoją staruszką, ale u mnie ciasne mieszkanie, bo tu dwie córki z mężami i dziećmi mieszkają. Proszę cię, nie mieszkać w tym starym domu, bo tam straszy.

– Dziękuję babuszko za zaproszenie, ale nam tam bardzo dobrze i nic nas nie straszy.

Chociaż nic tam nie straszyc oprócz zimna, to jednak musiałyśmy szukać innego pomieszczenia, bo deszcz zalewał nasze „piękne mieszkanie”.

Obok babuszki Borodawki mieszkała biedna kobieta z trojgiem dzieci. Nie była to Ukrainka, ale Rosjanka, Natasza. Jej mąż był na froncie. Zamieszkałyśmy u niej, razem z nią i jej dziećmi w jednej izbie.

Pewnego razu poważnie się przeziębiłam. Byłam czerwona z gorączki i bolały mnie kości. Od razu powiedziałam do pani Marii:

– Idę do Razowki do lekarza. Może mnie zatrzyma w szpitalu.

– Jak pójdziesz z taką gorączką? Przecież to bardzo daleko, aż osiemnaście kilometrów.

– Nie chcę robić sobą kłopotu obcej kobiecie. Może będzie się bała, żebym nie zaraziła jej dzieci jakąś chorobą.

Do Razowki nie było żadnej komunikacji, a tam był ośrodek zdrowia i szpital.

Poszłam...

Padał deszcz, wiał wiatr a do tego wszystkiego nie znałam dobrze drogi. Szłam, łapiąc z trudem powietrze. Na szczęście jechał tamtędy jakiś wóz i woźnica mnie podwiózł.

W ośrodku lekarzem był jeden z polskich Żydów, który razem ze mną był w Uzbekistanie i już tutaj zdążył się urządzić.

Gdy mnie zobaczył, od razu zabrał mnie do szpitala, ale uprzedził:

– Tutaj szpital jest bardzo marnie wyposażony i słabo z wyżywieniem. Każdy chory stara się na własną rękę o żywność, a szpital daje tylko kawę, czasem jakąś zupę na obiad. Niech pani się jednak tym nie zraża, zostanie, a ja postaram się panią podleczyć.

Zostałam więc w tym prymitywnym szpitalu. Jakże się zdziwiłam, gdy następnego dnia przyjechał z Azowa jakiś nieznan mi człowiek i wręczył mi sporą butelkę mleka i pakunek z żywnością.

– To od babuszki Borodawki – powiedział.

Dobra gospodyni od razu przysłała mi jedzenie, jak tylko się dowiedziała, że poszłam do szpitala.

Po kilku dniach przyszedł Justyn, był smutny i mówił, że Marysia też chyba choruje, ale nie chce iść do szpitala.

Babka Borodawka przysyłała mi mleko i żywność co drugi dzień. Dzięki temu nie byłam głodna, a nawet mogłam podzielić się z innymi chorymi kobietami, które nie otrzymywały paczek.

Po powrocie ze szpitala znowu mieszkałam u ciotki Nataszy, ale wiele czasu spędzałam u babuszki Borodawki. Ciotka Natasza była bardzo biedna, nie miała krowy ani kur, ani nawet kawałka ziemi. Pracowała na państwowym polu, ale nie wyrabiała normy, bo była bardzo słaba. Nic więc dziwnego, że często razem z dziećmi jadła tylko to, co jej dali inni. Opału też nie miała. W izbie było mało mebli – był tylko stół z ławkami dookoła i jedno łóżko, na którym spała Natasza z dziećmi.

Mnie i pani Marii oddała szeroką ławę do spania. Pani Maria jednak wołała spać na podłodze.

Ciotka Natasza była bardzo dobra i religijna, ale musiała się z tym kryć. Miała obraz Matki Boskiej (ikone), który wisiał na ścianie zasłonięty firaneczką.

Jej dzieci, najstarszy dwunastoletni Alosza i ośmioletnia Szurka, chodzili do szkoły, a najmłodszy, pięcioletni Kola, był bardzo blady i chudy – on siedział z panią Marią w domu, gdy matka pracowała.

Mały Kola nauczył się sam modlić, po swojemu. Biegał po izbie, bawił się, a w pewnym momencie podbiegał do zasłoniętego obrazu, stawał przed nim i zginając się w pół po kilka razy powtarzał:

– Bozińka, Bozińka, daj żeby papa wrócił z wojny cały i żeby przywiózł dla mnie buciki i czapeczkę.

Taką modlitwę powtarzał mały Kola po pięć, sześć, siedem razy na dzień.

Wieczorami u ciotki Nataszy było bardzo miło i wesoło. Przychodziło dużo kobiet z dziećmi i robotą w rękę. Jedne robiły swetry na drutach, inne haftowały ręczniki lub koszule.

Ciotka Natasza była lubiana, bo była zawsze wesoła. Te wieczory miały wielki swój urok – paliła się tylko mała lampka naftowa, a w piecu sucha trawa; na stole stały dwie blachy ciepłych, podsuszonych ziaren słonecznika.

Panowała tam moda gryzienia ziaren słonecznika. Gryziono je wszędzie i o każdej porze, ale musiały być trochę podpalone.

Podczas długich zimowych wieczorów kobiety przychodziły prawie co dzień. Śpiewały śliczne ukraińskie dumki albo opowiadały ciekawe historyjki, niekiedy wypytywały mnie, jak się żyje w Polsce, czy u nas można się jawnie modlić, czy są otwarte kościoły itp. Czasem szeptały coś swoim dzieciom, a te przybiegały do mnie z prośbą od swoich matek:

– Ciocia Zosia, raskaży²¹ nam o Bohu.

Opowiadałam im często o życiu Pana Jezusa, o cudach i przypowieściach, ale często brakowało mi odpowiednich słów w ich języku.

Kobiety słuchały chętnie, a dzieci, wpatrzone i zasłuchane, nie chciały wcale iść do domu.

W wigilię Bożego Narodzenia poszliśmy z panią Drozdowicz na wspólną salę do naszych rodaków. Marysia i Justyn też tam przyszli. Łamaliśmy się przysłanym nam opłatkiem i śpiewaliśmy kolędy. Każdy z nas coś przyniósł na wspólną wieczerzę. Tylko choinki brakowało, bo tam lasów nigdzie nie ma. Ukraińcy pracowali w ten dzień, bo oni mają święta Bożego Narodzenia o dwa tygodnie później.

W styczniu spadły wielkie śniegi, a ciotka Natasza nie miała już czym palić w piecu.

Pewnego razu poszłam razem z nią w step po opał. Spod białego puszystego śniegu sterczały dość gęsto suche badyłe zeschniętych wysokich piołunów i innych krzewów. Łamałyśmy je, wiązałyśmy sznurkiem i kładłyśmy na sanki. Taki opał był bardzo cenny.

Gospodarze, którzy mieli swoje pola, palili w domu swoją słomą lub otrzymaną jako zapłata za wyrobioną normę w polu.

Palić w piecu słomą lub suchą trawą to wielka sztuka. Jedna osoba musi cały czas siedzieć pod piecem i podkładać odpowiednio ukreconą słomę lub trawę, a druga wówczas gotuje, pierze lub nawet piecze chleb.

Raz wybrałam się sama po opał z małymi sankami. Blisko domów wszystkie krzaki były już zebrane, trzeba było szukać dalej. Śnieg był wysoki, z trudem wyciągałam z niego nogi brnąc coraz dalej. Gdzieś daleko na widnokręgu zobaczyłam dużo sterczących badyli. Poszłam więc w tamtą stronę, ale okazało się dużo dalej, niż mi się wydawało. Zaczęło się ściemniać. Nałamałam wiązkę i położyłam na sanki (nie mogłam dużo zabrać). Trzeba wracać, a ja zupełnie straciłam orientację gdzie się znajduję. Byłam bardzo zmęczona. W dodatku zaczęła się kurzawica i śnieg momentalnie zasypał moje ślady. Byłam zbyt daleko, żeby zobaczyć domy Azowa. Przypomniało mi się, co mówiła babuszka Borodawka o błądzących po stepach wilkach.

Zaczęłam odmawiać *Kto się w opiekę* z nadzieją, że Bóg nie da mi zginąć. Potem zaczęłam coś śpiewać na cały głos, żeby w razie czego ludzie mnie usłyszeli. Po chwili usłyszałam, że ktoś woła:

– Hop! hop!

Poszłam w tę stronę też krzycząc:

– Hop! hop!

Jakież było moje radosne zdziwienie, gdy zobaczyłam Justyna z sankami.

– Zochna, skąd tu się wzięłaś?! – krzyczał z daleka.

– Przyszłam po opał, ale zgubiłam drogę.

– Ja też po opał, a drogę znajdziemy.

Wracając znaleźliśmy ślad dużych sań i poszliśmy w tę stronę. Doszliśmy do jakiejś drogi i szliśmy nie będąc pewni, czy idziemy do Azowa. Niestety! Doszliśmy do jakiejś innej osady. Okazało się, że mieszkają tam Ukraińcy z naszej Małopolski, przesiedleni tutaj. Rozmawiali z nami po polsku, ale patrzyli na nas wrogo. Wreszcie jakiś chłopiec wskazał nam drogę do Azowa.

Na skraju Azowa był mały domek, w którym mieszkała młoda kobieta z dwoma małymi synkami. Nazywała się Daszka. Miała ona nie najlepszą opinię. Pewnego razu przyszła do mnie z prośbą, żebyśmy obie z panią Marią zamieszkały u niej na pewien czas, najdłużej przez miesiąc.

– Muszę koniecznie jechać do Zaporozża – powiedziała – nie dłużej jak na miesiąc, bo moja matka tam leży chora, zupełnie sama, a przecież moich łobuzów nie mogę ze sobą zabrać. Proszę was bardzo, przypilnujcie moje dzieci – prosiła piękna Daszka.

– My same ledwie się utrzymujemy, bo pomaga nam babuszka Borodawka, a w jaki sposób wyżyjemy twoje dzieci – próbowałam oponować.

²¹ opowiedz (ukr. i ros.)

– Zostawię wam zapasy żywności i opału. Gotujcie z tego dla siebie i moich dzieci. Nie będziecie głodne. Proszę was tylko z całego serca, zaopiekujcie się moimi dziećmi, bo naprawdę muszę jechać do chorej matki.

Po jej odejściu namyślałyśmy się, co mamy robić. Ciotka Natasza radziła skorzystać z zaproszenia:

– Nie wypraszam was ze swego domu – mówiła – bo jak Daszka przyjedzie, to powrócicie do mnie. Przyzwyczaiałam się do was, i Kola też bardzo was pokochał, ale dla was będzie lepiej. Daszka nie biedna, ma duże zapasy żywności. Posiedzicie sobie i nie będziecie musiały iść do żadnej pracy.

Babuszka Borodawka mówiła inaczej:

– Nie idziecie do niej. Ta ladacznica na pewno nie jedzie do chorej matki, ale się zabawić. Nie wiadomo kiedy wróci, a wy będziecie się męczyć z jej dziećmi. Musicie sprawdzić, czy naprawdę zostawia zapasy jedzenia i opału, bo ona potrafi kłamać.

Chciałyśmy z panią Drozdowicz pobyć trochę same i dlatego nęcił nas ten domek na końcu wsi.

Poszłyśmy sprawdzić, czy naprawdę ma jakieś zapasy.

Miała zapas kartofli i mąki, a także olej w bańce i cały pełny składzik słomy na opał.

Zdecydowałyśmy się więc – Daszka wyjechała, a my zamieszkałyśmy w jej malutkim domku.

Jej chłopcy – starszy sześćioletni Sławek odnosił się do nas niechętnie, był dość mądry i roztropny, ale bardzo podejrzliwy i nieufny, za to młodszy, trzyletni Pawełek, był bardzo miły.

Dobrze nam tam było i miałyśmy co jeść, ale bieda była z opałem. Ukraińcy umieją palić słomą, a my tej sztuki nie mogłyśmy się w żaden sposób nauczyć. Czasem Sławek palił w piecu. Robił to bardzo sprytnie, bo go matka nauczyła, ale nie zawsze miał na to ochotę. Ze strachem patrzyłyśmy na zapas słomy, który bardzo szybko znikał, choć paliłyśmy tylko tyle, żeby coś ugotować. Pod koniec miesiąca było już jej bardzo mało.

Ciągła troska o opał... W Uzbekistanie też nie było czym palić. Jadąc tutaj myśleliśmy, że na Ukrainie przynajmniej pod tym względem nie będzie kłopotu. A tymczasem taka trudność!

Zaczęłam znowu chodzić w step po badyle. Czasem umawiałam się z Justynem i razem szliśmy brnąc w śniegu (bo to był luty).

Przeszedł cały miesiąc, zaczął się marzec, a Daszka nie wracała.

Dochodziły już do nas wieści, że Niemcy uciekają, że już zbliża się koniec wojny.

Cieszyliśmy się z tego bardzo, ale kiedy my wrócimy z tułaczki – tego jeszcze nie wiedzieliśmy.

Zaczęłam myśleć o utworzeniu w Azowie polskiej szkoły. Wszyscy rodacy prosili mnie, żeby się tym zająć. Postanowiłam więc pojechać do Zaporozża, do Wydziału Oświaty, żeby zasięgnąć informacji, czy da się to urzeczywistnić. Trudno tam było pojechać pociągiem, bo w kasie sprzedawano bilety tylko tym, którzy mieli delegacje służbowe. Wielu ludzi jeździło bez biletu – każdy wagon miał swojego konduktora, a więc jemu wręczało się jakaś kwotę i wówczas można było jechać. W ten sposób i mnie udało się dostać do pociągu. Z Razowki do Zaporozża jechałam sześć godzin.

W Wydziale Oświaty rozmawiałam z kuratorem, który był bardzo uprzejmy i dał pozwolenie na otwarcie kilku polskich klas przy szkole ukraińskiej w Azowie. Dał mi trochę zeszytów i ołówków, i obiecał przysłać polskie podręczniki. Cieszyłam się z tego bardzo.

Musiałam przenocować w Zaporozżu u znajomych Polaków, a nazajutrz miałam powrócić do Azowa.

Samo miasto Zaporozże jest duże i bardzo rozległe. Położone jest nad Dnieprem. Centrum miasta nazywa się Sicz – ta sławna Sicz, kozacka kolebka, opisana przez Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem*. Jest tam kozackie muzeum, ale wówczas było zamknięte. Główne ulice wyglądają porządnie, znajduje się przy nich dużo sklepów, uliczki natomiast są nędzne, z drewnianymi domkami i drewnianymi chodnikami, pełnymi dziur.

Po powrocie do Azowa zaczęłam organizować polskie klasy. Napotykałam jednak na różne trudności, przede wszystkim ze strony nauczycieli i kierownika szkoły ukraińskiej.

Niektóre nasze rodziny mieszkaly daleko poza Azowem i trudno dzieciom było dojść do szkoły.

Obiecane podręczniki nie przychodziły. Zaledwie kilkoro naszych dzieci zaczęło uczyć się na lekcje.

Nastala piękna i ciepła wczesna wiosna.

Wreszcie wróciła Daszka i od razu zrobiła nam awanturę za to, że spaliłyśmy jej cały zapas opału, który starczyłby jej do lata.

Ciotka Natasza zapraszała nas z powrotem do siebie, ale nie chciałyśmy teraz u niej mieszkać, bo powrócił z frontu jej mąż, zdrowy i cały (stało się to, o co się modlił jego mały synek Kola).

I znów zamieszkałyśmy z panią Marią na wspólnej sali.

Zbliżała się Wielkanoc. W Wielkim Tygodniu było ciepło, zielenił się step, a pośród tej zieleni – mnóstwo żółtych i niebieskich kwiatów; ptaki świergotały przez całe dnie i noce, w przeciwieństwie do Uzbekistanu, gdzie ich prawie nie było.

W czasie świąt pomodliliśmy się wspólnie, dzieliliśmy się jajkami, których sporo dostaliśmy od Ukraińców, śpiewając pieśni wielkanocne.

Babuszka Borodawka upiekła dla mnie specjalnie jakiś pieróg i dołożyła jeszcze śmietany.

Otrzymałam też list od ojca, w którym donosił, że wszyscy są zdrowi. Podał mi też w liście adresy mojej ciotki i stryja, którzy mieszkali na Ukrainie, w Charkowie.

Miejscowa ludność obchodziła swoje święta wielkanocne dwa tygodnie później.

Babuszka Borodawka dowiedziała się, że gdzieś w pobliżu Azowa otwarto cerkiew. Ponieważ sama nie mogła chodzić, bo miała chore nogi, więc wyprawiła swoje dwie zamężne córki. Gdy powróciły, opowiadały z ożywieniem i radością, jak było pięknie w cerkwi.

Po chwili usłyszałam taki urywek rozmowy.

– Ola, czy pop spowiadał? – pytała babuszka młodszą córkę.

– Spowiadał i ja też się spowiadałam.

– A czy powiedziałś szczerze wszystkie swoje grzechy?

– Nie mam, po co pop ma znać prawdziwe moje grzechy?

– Źle, córko, zrobiłaś, bo w Ewangelii napisano, że trzeba wszystkie grzechy wyznać na spowiedzi.

– Ale czy te prawdziwe? – Ola jakoś nie mogła tego pojąć.

Babuszka Borodawka miała zwyczaj odwoływać się bardzo często do Ewangelii. Nieraz mówiła o różnych przesądach, zabobonach i wróżbach, ale zawsze na końcu dodawała, że to jest wszystko prawda, bo tak napisane jest w Ewangelii. Ponieważ babuszka Brodawka cieszyła się autorytetem, jako zamożna, starsza i mądra gospodyni, więc wierzono jej słowom.

Niekiedy wzbudzała moją wesołość opowiadaniem o różnych duchach i strachach chodzących po świecie, o których rzekomo czytała kiedyś w Ewangelii.

Pewnego razu, gdy byłam zaziębiona i miałam gorączkę, taką mi dała radę:

– Kochanie, ubierz się ciepło i idź wieczorem na cmentarz. Musisz odliczyć dziesięć kroków i wziąć trochę ziemi z tej mogiły, koło której staniesz. Wsyp ją do małej torebki i powieś sobie na sznurku na szyi. Potem nie odwracając się musisz biec do domu. Przez dziesięć dni trzeba tę ziemię nosić, a potem odnieść na tę samą mogiłę i powiedzieć: „Moszczy, oddaję twoje kości”. Zobaczysz, że już nigdy nie zachorujesz na gorączkę.

– Babuszko, nie trzeba w to wierzyć!

– Ty taka wierząca, a mówisz, że nie trzeba w to wierzyć? Przecież to jest napisane w Ewangelii!

– To są zabobony! Tego nie ma zupełnie w Ewangelii – próbowałam jej tłumaczyć.

– Jesteś jeszcze młoda i nie znasz Ewangelii. Jak będziesz starsza, to dużo rzeczy zrozumiesz – mówiła obrażonym tonem.

Pojęcie Ewangelii i cała nauka Chrystusa były bardzo zniekształcone, ale należy podziwiać, że mimo iż całymi latami nie słyszeli prawdziwej nauki o Bogu, wierzyli w Niego i starali się dobrze postępować.

Któregoś dnia przyszła do mnie z Razowki młoda pielęgniarka. Poznałyśmy się, gdy leżałam w szpitalu. Wywołała mnie z domu, niby na spacer, ale gdy tylko znalazłyśmy się we dwie, Wiera od razu tak do mnie powiedziała:

– Powiedz mi tak prawdziwie coś o Bogu. Ja mocno czuję, że On istnieje, ale nic o Nim nie wiem. Tak bym chciała coś wiedzieć o Bogu!

Powiedziałam jej dużo na ten temat. Chciwie słuchała moich słów. Dałam jej nawet krzyżyk, skądś przemycony. Ucałowała go ze łzami i pobieгла uszczęśliwiona.

Zresztą, nie jeden raz rozmawiałam skrycie na tematy religijne z różnymi ludźmi – byli tego spragnieni.

W pierwszą niedzielę po ruskiej Wielkanocy, mieszkańcy Azowa obchodzili uroczyste swoje „zaduszki”. Podobało mi się, że łączą Zmartwychwstanie Chrystusa ze zmartwychwstaniem swoich drogich zmarłych.

Na cmentarzu odbywały się prawdziwe uczty. Każda rodzina zanosila tam potrawy, które zmarły najbardziej lubił, a więc: barszcz, rozmaite pierogi, jajka, kiełbasę lub kluski na mleku. Stawiali to wszystko na mogiłce zmarłego i wołali ubogich, żeby spożywali w intencji zmarłego. Ponieważ cmen-

tarz był daleko, więc zapraszali ubogich do swoich domów i ugaszczali ich, prosząc o wspomnienie lub o modlitwę za zmarłego.

Z tych „zaduszek” najczęściej skorzystali Polacy. Wszyscy mieszkańcy Azowa uważali, że my jesteśmy najbiedniejsi i dlatego zapraszali nas na te zaduszkowe stypy. Miałyśmy z panią Marią w tym dniu tyle jedzenia, że nawet zrobiliśmy zapasy.

Nastąpił piękny maj 1945 roku.

W Azowie zakwitły wiśnie, przy bielonych domach pokazywały się już kolorowe malwy – różowe i czerwone.

Step, jak zielone morze, szumiał w dzień i w nocy, i pachniał różnymi ziołami.

Poza wiśniami innych drzew owocowych prawie nie było.

Piękne, olbrzymie krowy pasły się w stepie. Na polach wschodziła pszenica, kartofle i słoneczniki. Ziemia była bardzo urodzajna – właściwie nie wymagała nawożenia. Czarnoziem. Nigdy takiej ziemi nie widziałam.

Tęsknota za Polską stawała się jednak coraz większa.

Wiedzieliśmy już, że Niemcy są odparci i pobici, ale na ogół wiadomości słabo do nas dochodziły.

Pewnego majowego poranka kazano nam wszystkim zebrać się w wielkiej sali. Poszli Ukraińcy i Polacy, nie wiedząc, dlaczego nas tam wzywają.

Na domach i urzędach powiewały flagi.

Przyszedł dyrektor sowchozu w otoczeniu urzędników i odczytał nam przez głośnik oficjalne ogłoszenie o zakończeniu wojny.

Było to 9 maja 1945 r.

Rozległy się okrzyki radości, ale dużo ludzi też płakało. Jedni ze szczęścia, że wreszcie zakończyła się wojna, a inni dlatego, że wspomnieli swoich najbliższych, którzy poginęli na froncie lub w niemieckich obozach.

Cały dzień był obchodzony uroczyście.

Wszyscy pracownicy sowchozu mieli zwolnienie z pracy na ten dzień.

My Polacy układaliśmy projekty powrotu do kraju.

Nikt z nas nie wiedział, czy będą nas wspólnie odwozić do Polski, czy też każdy indywidualnie będzie powracał. Na ogół ludzie woleli wracać razem, bo wspólne transporty odbywały się na koszt państwa, a pieniędzy nikt z nas nie miał na taką daleką podróż.

Z dnia na dzień czekaliśmy wiadomości o wyjeździe.

Pisałam listy do ojca i on do mnie też, tylko dziwiłam się, dlaczego Jadzia nic nie pisze. Byłam o nią trochę niespokojna, choć tatuś pisał, że jest zdrowa i wyszła za mąż.

Marysia też otrzymywała listy od swoich rodziców, choć rzadko.

Pani Drozdowicz wcale nie otrzymywała żadnych listów, bo mówiła, że zupełnie straciła kontakt ze swoją zamężną córką. Jej zięć był lekarzem, a córka nauczycielką.

Któregoś dnia wyszłam w step, ale szłam ostrożnie, wydeptaną wąską ścieżką. Wiedziałam dobrze, że oddalanie się od ścieżki grozi zabłądzeniem, a raczej zaginięciem wśród wysokiej trawy, która była duża wyższa od człowieka. Szłam więc ścieżką, rozkoszując się zapachem i kwiatami, oraz odgłosami wydawanymi przez rozmaite owady. Trawa falowała, szumiąc jednak jakoś złowieszczo.

Wtem przebiegł koło mnie jakiś szary pies z wywieszonym jęzorem. Przystanął blisko mnie, obejrzał się i pobiegł dalej. Po chwili na ścieżce ukazali się mężczyźni z widłami.

– A gdzie wołk? – zapytali.

– Wilk? Wcale wilka nie widziałam. Przebiegł tylko koło mnie jakiś pies.

– Pewnie, takiej chudej, to nawet wilk nie chciał zjeść. Zęby połamałyby sobie na twoich kościach – śmiali się mężczyźni i pobiegli dalej szukać wilka.

Obiecane polskie podręczniki wcale nie przysły. Matki nie chciały posyłać dzieci do szkoły, bo myślały, że lada chwila przyjdzie rozkaz wyjazdu do Polski, a tymczasem dzieci pomagały im w różnych pracach.

Dziewczynki nauczyły się robić na drutach swetry i pończochy. Robiły to dla miejscowej ludności za pieniądze, bo teraz wszyscy mieszkańcy Azowa musieli intensywnie pracować na polu w sowchozie, a wieczorami na swoich własnych zagonach. Tylko starcy i chorzy siedzieli w domach, pilnując małych dzieci.

Pewnego razu otrzymaliśmy wiadomość, że przyszło dla nas sporo odzieży z darów amerykańskich, ale musiał ktoś pojechać do Zaporozża i zgłosić się tam po nie do naszego przedstawiciela. Po wspólnej naradzie wybrano panią Melę Lasowską i mnie, żebyśmy pojechały to załatwić.

Pani Mela była młodą mężatką. Jej mąż został aresztowany w Polsce przez Niemców, a ona uciekła z synkiem do rodziców pod Wilno. Tam ją zatrzymano i stamtąd została razem z dzieckiem wywieziona w głąb Rosji. Jej synek – Mirek miał wówczas osiem lat.

Wybrałyśmy się więc z panią Melą do Zaporozża. Po wielkich trudnościach udało nam się wreszcie dostać do pociągu.

W Zaporozżu zaprowadzono nas do magazynu i pozwolono wybierać, co nam się podobało. Wybrałyśmy więc dużo sukienek dla dorosłych i dla dzieci, płaszczy, kilka garniturów męskich, sporo obuwia i bielizny.

Nasi mężczyźni załadowali nam to wszystko do worków i pomogli dowieźć do dworca. Tu wsiadaliśmy do naszego pociągu (nocnego). Jeden z mężczyzn ostrzegł nas:

– Uważajcie na worki, bo tutaj bardzo dużo złodziei.

– Naturalnie, będziemy uważać, bo to przecież dla wszystkich naszych ludzi, którzy czekają w Azowie.

Choć pociąg był przeładowany, ktoś ustąpił nam miejsca na górnej pryczy.

Weszliśmy na górę, wciągnęliśmy worki, położyliśmy je sobie pod głowę i na nich zasnęliśmy, bo byliśmy bardzo zmęczone podróżą, całodziennym upałem i zaduchem dymu z papierosów, które palili na dole. Miał on dziwny, duszący zapach. Zasnęliśmy bardzo szybko.

Nagle ktoś nas zaczął szarpać:

– Wstawajcie, bo już zaraz Razowka! Co tak mocno śpicie!

Obudziłyśmy się z bólem głowy. Był już słoneczny ranek, ale co to?

– Gdzie są nasze worki?! – krzyczałyśmy.

Podróżni patrzyli na nas obojętnie, a kobieta, która nas obudziła mówiła zdziwiona:

– Przecież tam na górę nikt nie włąził. Obudziłam was, bo mówiłyście, że jedziecie do Razowki! Ja nic nie wiem o waszych workach.

– O Boże! Okradli nas! Co nasi ludzie pomyślą?... Że sprzedałyśmy „ciuchy” i zabrałyśmy pieniądze.

Wszędzie szukałyśmy tych worków, ale nigdzie ich nie było.

Dojechałyśmy do Razowki zgnębione i zapłakane. Tu czekał na nas Justyn z jeszcze jedną osobą, aby nam pomóc. Gdy nas zobaczyli z czerwonymi od płaczu nosami, od razu domyślili się, co się stało. Byli bardzo zdenerwowani, ale nie robili nam żadnych wymówek.

– Trzeba będzie to naszym w Azowie jakoś wytłumaczyć – rzekł Justyn.

W Azowie zrobił się hałas:

– Jak to, nic nie przywiozły?!

– Tak wszyscy czekali na te ubrania, a tymczasem...

– Nie dokuczajcie im! To już nic nie pomoże! Im też jest bardzo przykro!

– Takie śpiochy! Jak można spać, wioząc rzeczy dla tylu ludzi?!

Milczałyśmy, bo czułyśmy się winne, że zasnęliśmy.

Wreszcie pani Mela powiedziała:

– Każdy z was by zasnął, gdyby nawąchał się nasennych papierosów.

Byłyśmy przekonane, że ktoś nas obserwował, a potem umyślnie uśpił, aby okraść.

Bardzo nam było przykro, ale stało się i nic nie można było na to poradzić.

Minął upalny czerwiec, przyszedł lipiec, a o naszym wyjeździe nie było mowy. Ludzie zaczęli już upadać na duchu i narzekać, że już chyba nigdy nie powrócimy do kraju.

Na początku lipca ojciec napisał list, że już niedługo wyśle dla mnie oficjalne wezwanie do siebie, do Wilna, i gdy tylko je otrzymam, zaraz mam się starać w Zaporozżu, w Wydziale Spraw Wewnętrznych, o pozwolenie na wyjazd z Azowa do Wilna. Prosił żebym po drodze wstąpiła do ciotki w Charkowie. Donosił mi jeszcze, że Jadzia razem z mężem była wysłana do Niemiec, do jakiegoś obozu, ale była tam krótko i już wróciła. Teraz mieszka gdzieś za Warszawą i że wobec tego ma trudności z kontaktowaniem się z nią.

Bardzo mnie ucieszyła ta nadzieja wyjazdu. Marysia i Justyn cieszyli się razem ze mną.

Marysia w tym czasie oczekiwała dziecka i mówiła, że jej trudno byłoby teraz jechać, ale gdy tylko się urodzi, to też napisze do swoich rodziców, żeby przysłali im wezwanie do Lwowa.

Wreszcie pod koniec lipca przyszło urzędowe wezwanie dla mnie na wyjazd do Wilna, do chorego ojca – był on wówczas rzeczywiście ciężko chory. Jednocześnie z wezwaniem przysłał mi pieniądze na drogę (sprzedał meble, bo i tak czekał na ewakuację z Wilna, ale chciał koniecznie doczekać się mojego powrotu).

Nie tracąc więc czasu, pojechałam do Zaporozża starać się o pozwolenie na wyjazd. Najpierw poszłam do naszego przedstawiciela, żeby mi poradził gdzie mam się udać.

– O, to trudna sprawa – odpowiedział pan Malinowski. – Trzeba się dostać do Komisarza Spraw Wewnętrznych, a tam nikogo bez specjalnego wezwania na piśmie nie wpuszczają.

– Muszę się tam dostać – powtarzałam, – bo ojciec mój jest chory i boję się, żeby nie umarł, nie zobaczywszy się ze mną.

Następnego dnia poszliśmy razem z panem Malinowskim pod gmach Urzędu Spraw Wewnętrznych. Był to duży budynek ogrodzony murem. Wartownicy stojący przy bramie wejściowej nie wpuszczali nikogo bez specjalnej przepustki.

– Musi pani koniecznie ich jakoś przechytryć, bo inaczej nie wpuszczą – szepnął do mnie pan Malinowski.

– Czy dać im łapówkę?

– O nie, jeszcze za to mogą panią wsadzić do więzienia.

– To jak mam ich namówić, żeby mnie wpuścili?

– Komisarz UB nazywa się Jakimiec i jest w randze pułkownika. Niech pani uda, że go pani zna osobiście. Zresztą, zaraz sam to załatwię.

I podszedł do wartowników, mówiąc:

– Musicie wpuścić tę młodą osobę, bo to jest znajoma pułkownika Jakimca. Ona musi się z nim zobaczyć w zupełnie prywatnej sprawie.

Żołnierze spojrzeli na mnie zdziwieni.

Obejrzelimi mnie od stóp do głów, ale w tej chwili żelazna brama się otworzyła przede mną.

Byłam mocno ubawiona tą sytuacją, uśmiechnęłam się do pana Malinowskiego, który też się śmiał i kiwał mi ręką na pożegnanie.

Weszłam do gmachu. W portierni od razu zapytano mnie o przepustkę i w jakim celu się tu udaję.

– Ja wcale nie mam przepustki, bo idę w zupełnie prywatnej sprawie do pułkownika Jakimca – już musiałam mówić to samo, co powiedział pan Malinowski.

– Ale bez przepustki nie mam prawa nikogo wpuszczać – oświadczył portier.

– Macie tutaj telefon?

– Mamy, ale tylko do spraw urzędowych.

– To sami zadzwonicie do komisarza Jakimca i zapytajcie czy można mnie wpuścić, a najlepiej poproście, żeby on sam przyszedł po mnie. Jak mnie zobaczy, wejdę bez waszej przepustki.

– To idźcie.

I uprzejmie wskazał mi schody na drugie piętro.

– Jego gabinet mieści się w końcu korytarza – dorzucił.

Poszłam do tego gabinetu. W pierwszym, dużym ładnym pokoju, siedziała jego sekretarka. Pisała na maszynie. Gdy mnie zobaczyła, podniosła się bardzo zdziwiona.

– Gdzie jest przepustka i w jakiej sprawie? – zapytała.

– W zupełnie prywatnej sprawie.

– Tutaj nie można załatwiać żadnych spraw prywatnych.

– Towarzysz Jakimiec sam mnie tu zaprosił, więc przyszłam.

Sekretarka spojrzała na mnie z wielkim zdziwieniem i poszła do jego gabinetu

– Co teraz będzie? – pomyślałam. – Tak ich wszystkich nabrałam. Matko Boża, pomagaj mnie i pozwól powrócić do Polski.

Po chwili wróciła uśmiechnięta sekretarka, powiedziała, że komisarz prosi mnie do siebie i otworzyła drzwi.

W pięknym gabinecie z zielonymi meblami siedział za biurkiem szpakowaty mężczyzna w wojskowym mundurze. Wskazał mi fotel.

– W jakiej to prywatnej sprawie przychodzicie do mnie? – zapytał.

– Naprawdę w prywatnej sprawie, bo mam w Wilnie chorego ojca i chcę do niego pojechać, a mieszkam teraz w Azowie, w sowchozie, koło Razowki.

– Za kilka miesięcy wszyscy Polacy będą wyjeżdżać.

– Ale mój ojciec jest chory i boję się, że mogłabym go już nie zastać przy życiu.

Potem powiedziałam mu wprost, że nabrałam wartowników, portiera i sekretarkę, żeby się do niego dostać.

Szczerze się z tego uśmieł. Był bardzo grzeczny i życzliwy. Od razu podpisał moje wezwanie, napisał list do urzędników U.B. w Razowce, żeby mi dali odpowiednie papiery i upoważnienie do nabycia w kasie biletu na pociąg. Gdy mu jeszcze powiedziałam, że chcę być u ciotki w Charkowie, pokazał mi na mapie, którą trasą mam jechać.

Wróciłam uradowana do Razowki i dziękowałam Bogu, że wreszcie zbliża się koniec mojej wędrówki po terenie Związku Radzieckiego.

W Azowie wszyscy Polacy otoczyli mnie, wypytując, czy udało mi się coś załatwić. Niektórzy się cieszyli, a inni zazdrościli, że pierwsza wyjeżdżam do kraju.

Pani Maria Drozdowicz była bardzo smutna, że zostanie teraz sama, że ją opuszczam. Przez cały okres pobytu w Azowie zżyłyśmy się, choć była między nami duża różnica wieku.

W Razowce powstała prawdziwa konsternacja, gdy pokazałam wezwanie z podpisem komisarza Jakimca i oddałam w kancelarii list od niego w sprawie mojego wyjazdu. Nie chcieli uwierzyć, że naprawdę byłam u niego osobiście i pomimo listu i podpisu podejrzewali, że coś jest nie w porządku.

Długo się naradzali i wreszcie powiedzieli mi, że muszę przyjść za tydzień.

Gdy poszłam za tydzień, powiedzieli, że jeszcze sprawa nie jest wyjaśniona, żebym znów przyszła za trzy dni. Wówczas nie wytrzymałam i zaczęłam krzyczeć:

– Jakim prawem mnie zatrzymujecie, skoro mam pozwolenie od waszej władzy najwyższej!? Proszę natychmiast mi oddać moje papiery i pozwolenie na wykupienie biletu!

– Przyjdźcie za kilka dni. Przez ten czas może coś załatwimy w tej sprawie.

– Jeżeli mi nie wierzycie i myślicie, że sfałszowałam podpis komisarza Jakimca, to dzwońcie do niego i przekonajcie się. Wcale do Azowa nie pójde i nie wyjde z waszej kancelarii, dopóki nie dostanę wszystkich papierów na wyjazd.

– Ale my za godzinę zamykamy kancelarię.

– Możecie zamykać, ale ja nie wyjde i nie ręczę za siebie, czy wam nie zdemoluję pomieszczenia ze złości.

Spojrzeni po sobie i wreszcie zaczęli mnie namawiać, żebym wyszła, bo oni naprawdę muszą już zamykać kancelarię.

– Ja nie znam tu nikogo i nie mam gdzie przenocować, a do Azowa za daleko, żeby co dzień przychodzić i pilnować swojej sprawy.

Przynieśli herbaty i coś do jedzenia, i chcieli mnie częstować, ale odmówiłam, choć byłam bardzo głodna.

Widząc mój upór wyszli i zamknęli kancelarię, a ja sama zostałam wewnątrz.

Była tam jakaś mała kanapka, przystawiłam do niej krzesło i położyłam się.

Nazajutrz rano, gdy przyszła sekretarka, powiedziałam jej od razu, że nie wyjde z kancelarii tak długo, dopóki nie dostanę potrzebnych mi papierów.

Przyszli urzędnicy i zaczęli pracować, a po godzinie sekretarka podała mi wszystkie potrzebne papiery.

Wreszcie mam już oficjalne pozwolenie na wyjazd i mogę wracać. Odetchnęłam z ulgą.

Z papierami w ręku poszłam do Azowa – najpierw do Marysi i Juliana. Poprzedniego dnia urodził im się synek. Justyn był bardzo szczęśliwy. Po dwóch dniach pożegnałam się z nimi.

– Do zobaczenia w Polsce! Nie zapomnij o nas!

Potem pożegnanie z panią Marią Drozdowicz i wszystkimi Polakami w Azowie, z babuszką Borodawką, ciotką Nataszą i innymi mieszkańcami Azowa.

Bardzo mi było żal pani Drozdowicz. Myślałam o tym, czy ma do kogo wracać w Polsce. (Po kilkunastu latach dowiedziałam się, że wróciła do córki, ale wkrótce zmarła.)

Dnia 6 sierpnia 1945 roku odprowadzono mnie do Razowki i tam już zupełnie legalnie nabyłam bilet, najpierw do Charkowa.

W pociągu jechałam z jakąś wesołą rodziną rosyjską. Śmiali się i dowcipkowali i ja z nimi też, bo mi było wesoło na duszy.

Do Charkowa jechałam z kilkoma przesiadkami. Na miejsce dotarłam po trzech dniach, bo pociągi były przeładowane.

Charków – duże ukraińskie miasto, większe od Zaporozża. Na ulicach wielki ruch.

Ciotka mieszkała tam od wielu lat. Mój pradziadek był powstańcem 1863 roku. Walczył za Polskę, za co potem został zesłany na Sybir. Tam się ożenił. Później, w drodze łaski pozwolono niektórym Polakom, powstańcom, zamieszkać na Ukrainie. W czasie pierwszej wojny światowej, w roku 1914, ojciec mój uciekł do Polski. Reszta rodziny też miała uciekać, lecz im się nie powiodło – stryj i ciotka pozostali na Ukrainie. Mąż ciotki, też Polak, umarł w więzieniu.

Ciotka Michalina i stryj Józef wiedzieli, że przyjadę do nich, bo im o tym napisałam. Ciotka mieszkała blisko dworca. Nigdy się w życiu nie widziałyśmy. Na mój widok się rozpłakała. Długo nie mogłyśmy wymówić słowa ze wzruszenia.

Ciotka mówiła dobrze po polsku, choć z rosyjskim akcentem. Potem zaczęła się krzątać, żeby mnie ugościć. Miała piękne mieszkanie, ale mieszkała w nim samotnie po śmierci męża. Nie podobało jej się moje uczesanie ani moje ubranie, dlatego na drugi dzień wybrałyśmy się do miasta, żeby coś kupić. Dostałam od niej ładną sukienkę, lecz nie mogłyśmy kupić żadnych pantofli (zaraz po wojnie był tam wielki brak obuwia). Kupiłam więc tylko jakieś kapcie, bo te które miałam, już mi się rozpadły. Potem poszłyśmy do fryzjera. Mówiłam ciotce, że jestem zakonnica i ondulacja nie jest mi potrzebna. Nic to nie pomogło, bo ciotka mi tłumaczyła:

– Zanim do tych swoich siostr wrócisz, to jeszcze trochę pochodzisz porządnie uczesana.

Na drugi dzień pojechałam z ciotką Michaliną do stryja Józefa, który mieszkał pod Charkowem w pięknym osiedlu o nazwie Zielony Gaj.

Miał tam dwa domy i duży sad owocowy. Stryj i jego żona też płakali, gdy mnie zobaczyli. Potem wspólnie rozmawialiśmy o rodzinie w Polsce.

– Czy to prawda, że jesteś siostrą zakonną? – pytał stryj Józef.

– Prawda stryjasku i cieszę się z tego.

– A Staszka, córka Antoniego, czy też zakonnica? – dopytywali.

– Nie, Staszka jest lekarką i wyszła za męża.

– Zosieńko, zostań z nami – prosił stryj. – Jestem bezdzielny. Komu to wszystko zostawię?

– Zostań, dobrze ci z nami będzie – namawiała ciotka.

– O nie! Nie mogę zostać. Muszę i chcę wracać do Polski i do wspólnoty zakonnej. Zresztą, nie mogłabym żyć całe życie bez kościoła, bez Mszy św. i sakramentów.

– My też tęskniliśmy z początku bardzo za kościołem, ale teraz już się przyzwyczailiśmy – mówili.

Choć osobiście do tej pory nie znałam tej swojej rodziny, która mieszkała tak daleko od Polski, to jednak od pierwszego z nimi spotkania czułam, że są mi bardzo bliscy. Pomimo, że urodzili się i wychowali daleko od ojczyzny, otoczeni Ukraińcami i Rosjanami, czuli się jednak Polakami-katolikami.

Dużo mówili o dziadku, który jako powstaniec walczył za Polskę.

Mówili tylko po polsku i zachowywali polskie zwyczaje.

Była tam spora gromadka Polaków, którzy byli potomkami powstańców 63 roku. Wszyscy trzymali się razem. Gdy byłam u stryja wielu przyszło, żeby ze mną porozmawiać. Interesowało ich życie w Polsce i religia, której byli spragnieni. Mówili, że sami uczą swoje dzieci pacierza i katechizmu, że gdzieś ukrywa się jakiś kapłan katolicki, do którego czasem ukradkiem chodzą do spowiedzi lub chrzcić dzieci.

Na drugi dzień powróciłyśmy z ciocią z Zielonego Gaju do Charkowa.

Ciotka, chcąc mi jak najbardziej dogodzić, położyła pod prześcieradło puchowy piernacik, ale ja, od tylu lat przyzwyczajona spać na twardych deskach, zupełnie nie mogłam zasnąć. Gdy zobaczyłam, że ciotka już śpi w drugim pokoju, wyszłam z tych „puchów” i położyłam się na podłodze – teraz mogłam zasnąć. Przez kilka dni pobytu zawsze tak robiłam i nikt nie dowiedziałby się o tym, gdyby pewnego razu ciocia nie weszła do mnie w nocy.

– Dziecko! Co ty wyprawiasz! Jak można spać na podłodze! – krzyczała zdenerwowana. – To chyba obozowe przyzwyczajenie.

– Tak ciociu, rzeczywiście – bąkałam.

– Prędko włóż szlafrok i chodź ze mną do tamtego pokoju, bo ktoś do ciebie przyszedł.

Wyszłam za ciocią do jadalni i zobaczyłam, że siedzi tam młoda, ładna dziewczyna.

Rzuciła mi się na szyję i całowała mnie serdecznie.

– Lidoczka, bo udusisz Zosię – upominała przybyłą ciocią.

– Jesteście kuzynkami. Ona nazywa się Lidia – przedstawiła mi ciocią gościa. – Porozmawiajcie, a ja przyniosę wam kompotu.

– Cały dzień pracuję w szpitalu, a chciałam cię koniecznie poznać i porozmawiać. Bardzo przepraszam, że przyszedłam w nocy – mówiła Lidia.

– Nie wiedziałam, że mam tutaj kuzynkę, ale bardzo mi przyjemnie cię poznać.

– Zosiu, opowiedz mi dużo Chrystusie. – Ty znasz Jego życie i naukę, a ja nie mam możliwości tego poznać.

Na rozmowie o Bogu przeszła nam krótka, sierpniowa noc. Lidoczka była wzruszona. Nad ranem wyszła do pracy. Nigdy jej więcej nie zobaczyłam.

Ciocia bardzo mnie prosiła, żebym została u niej parę tygodni, ale nie mogłam się na to zgodzić. Ciągnęło mnie już do Polski, a myśl o chorym ojcu zmuszała do pośpiechu. Któregoś dnia pożegnałam się więc z ciocią Michaliną, stryjem i stryjenką, i obficie zaopatrzona na drogę w żywność wsia-
dłam do pociągu. Moja niedawno poznana rodzina stała na peronie. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Byłam z nimi kilka dni i już żegnaliśmy się na zawsze (nigdy ich więcej już nie zobaczyłam i nie miałam z nimi żadnego kontaktu). Tylko wspaniałe owoce i pomidory ze stryjowego sadu, jako wspomnienie, towarzyszyły mi do Wilna.

Podróż z Charkowa do Mińska (białoruskiego) przeszła bez większych trudności. W Mińsku miałam się przesiąść na pociąg jadący do Wilna.

Niestety! Wszystkie pociągi do Wilna były przeładowane. Ogłoszono, że pierwszeństwo przejazdu mają wojskowi. Cywilni podróżni muszą poczekać. Dowiadaliśmy się, jak długo i okazało się, że przejazd wojskowych potrwa trzy dni. Nie miałam ochoty siedzieć w Mińsku na zapelnionym dworcu aż trzy dni. Spędziłam tam tylko jedną noc stojąc pod ścianą. Rano wyszłam na ulicę. Postanowiłam szukać jakiejś okazji do Wilna.

Stało tam kilka samochodów ciężarowych, ale żaden z nich nie jechał do Wilna. Zobaczyłam też samochód wojskowy, przy którym stali żołnierze radzieccy i głośno rozmawiali. Usłyszałam urywek rozmowy:

– Jak myślisz, o której będziemy w Wilnie?

– Około piątej wieczorem, powinniśmy być na miejscu.

Zatrzymałam się, bez namysłu podeszłam do nich i zapytałam ich, dokąd jadą.

– Jedziemy na Wilnius.

– Czy macie jedno wolne miejsce?

– Znajdzie się – odpowiedział kierowca.

– Weźcie mnie – prosiłam. – Jadę tam do chorego ojca, a pociągi zabierają tylko wojskowych.

– Dobrze, zabierzemy. Zrobimy tylko zapas benzyny. Za godzinę odjeżdżamy.

Zjadłam śniadanie ze swoich zapasów i na rynku wypiliśmy szklankę mleka. Po godzinie, siedziałam już w wojskowym willisie koło kierowcy.

Na tylnym siedzeniu siedziało trzech żołnierzy.

Ruszyliśmy.

Przeżegnałam się i zaczęłam odmawiać swoje ranne pacierze.

Byłam już tak niedaleko swoich najbliższych!

Myślałam o tym, jak będę szczęśliwa, gdy wieczorem już znajdę się w naszej kaplicy przed Najświętszym Sakramentem. Był piękny, słoneczny dzień i jakże pamiętny – pierwszego września.

Po pięciu prawie latach wracam do kraju i do Zgromadzenia.

W taki sam piękny ranek pierwszego września 1939 roku rozpętała się wojenna zamieć nad Polską.

Siedziałam cicho, modląc się i rozmyślając.

Przyjemnie było jechać. Przed oczami roztaczały się piękne widoki lasów i pól, które już były zżęte, stada pasącego się bydła. Czasem mijaliśmy wsie i miasteczka. Samochód był odkryty i ciepły wiatr smagał po twarzy.

Moi towarzysze podróży byli bardzo grzeczni i taktowni. Rozmawiali po cichu, bo wiedzieli, że się modlą. Po pewnym czasie zaczęli ze mną rozmawiać. Najpierw zapytali jak mi na imię, bo nie wiedzą jak mnie nazywać. Nie chciałam im mówić prawdziwego imienia, ani nazwiska.

– Nazywajcie mnie Tatianą – powiedziałam pierwsze rosyjskie imię, które mi przyszło na myśl.

Wypytywali mnie, skąd i dokąd jadę, i sami też chętnie opowiadali o swoich rodzinach. Potem rozmowa zeszała na tematy religijne. Okazało się, że wszyscy byli wierzący. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni zawinięty medalik i powiedział, że dała mu go matka, gdy szedł na front.

Wyjechaliśmy o godzinie ósmej rano, a około trzynastej zrobiliśmy przerwę obiadową.

Niedaleko drogi była piękna leśna polanka, pachniało lasem i grzybami.

Zaproponowałam kierowcy, żeby zrobił przerwę i odpoczął, bo był bardzo zmęczony. Chętnie się zgodził. Często wałam ich swoimi zapasami żywnościowymi i owocami. Po tym wspólnym obiedzie żołnierze wyciągnęli karty i grali, a ja poszłam przejść się do lasu.

Po godzinnej przerwie ruszyliśmy w dalszą drogę do Wilna. Po południu chmury pokryły niebo i zrobiło się chłodno. Jeden z żołnierzy zauważył, że jest mi zimno, więc oddał mi swój wojskowy płaszcz, zapewniając, że jest mu ciepło. Jechałam więc do Polski w płaszczu żołnierza rosyjskiego.

O godzinie osiemnastej byliśmy w Wilnie.

Podziękowałam żołnierzom, oddałam płaszcz i chciałam zapłacić, ale nie wzięli pieniędzy, tylko cicho poprosili o modlitwę.

Dzisiaj się dziwię swojej odwadze – sama, z czterema żołnierzami radzieckimi, podczas dziesięcogodzinnej podróży... ale ufałam mocno Bogu i czułam zawsze Jego opiekę nad sobą.

Za chwilę klęknęłam już przed cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Jakże serdecznie dziękowałam Matce Najmilszej za opiekę i za powrót!

Z bijącym sercem wchodziłam do naszego domu przy ulicy Skopówka.

Z listów ojca wiedziałam, że siostry są na miejscu, ale czy są wszystkie i czy zdrowe?...

Weszłam cicho, niezauważona, i wbiegłam po schodach na górę do kaplicy. Ukłękłam przed Najświętszym Sakramentem. Chwila modlitwy i już otoczyły mnie siostry. Siostra kierownicza, Stanisława Kosmowska, i inne siostry serdecznie mnie uściskały, a mnie się wydawało, że przybywam z innego świata. Kochane siostry powiedziały mi, że właśnie dziś zakończyły nowennę o mój szczęśliwy powrót. Dowiedziałam się od nich, że też dużo przeżyły i że wszystkie siedziały w wileńskim więzieniu.

Wilno przechodziło z rąk niemieckich w sowieckie, potem w litewskie, a na końcu, wraz z całą Litwą, weszło w skład Związku Radzieckiego jako jedna z republik.

Polacy opuszczali miasto.

Nasze siostry też były zapisane na ewakuację, ale trzeba było jeszcze czekać (ludzie wyjeżdżali według kolejności zapisania się).

Na drugi dzień odwiedziłam mojego kochanego ojca. Rozplakał się z radości, że mnie wreszcie widzi zdrową i dobrze wyglądającą. Mój brat Wiktor wyjechał już z żoną i córeczkami do Polski, a Jadzia też już tam gdzieś z mężem mieszkała. Ojciec mój spodziewał się, że także szybko wyjedzie. Miał zamiar zamieszkać tam u Jadzi, która go zapraszała do siebie. Jeszcze dwa razy go odwiedziłam. Po tem wyjechał do Polski i tam po roku zmarł.

Po kilku dniach uszyto mi habit i czepek, i znowu wyglądałam jak szara urszulanka.

Czas oczekiwania na wyjazd się przedłużał. Byłyśmy spakowane już od września. Wreszcie świętego grudnia wyjechałyśmy. Wszystkie siostry były zapisane na ewakuację i miały potrzebne dokumenty, ale ja oczywiście nie, bo gdy przyjechałam do Wilna lista ewakuacji była zamknięta. Jechałam więc bez papierów – zupełnie nielegalnie.

Ponieważ jechaliśmy pociągami towarowymi, nasze siostry dostały osobny wagon. Kilka świeckich też z nami jechało. Pewnego razu wpadła do wagonu jakaś kontrola, aby sprawdzić papiery. Musiałam się schować pod materac. Jednej z sióstr grożono aresztowaniem, bo nie miała w porządku jakiś papierów.

Po rozmaitych przygodach dojechałyśmy do Poznania. Grono naszych wileńskich sióstr jechało do zburzonej Warszawy, żeby tam pracować. Ja poprosiłam o wyjazd do Pniew, na co siostra kierownicza się zgodziła.

Pożegnałam się więc z siostrami wileńskimi w Poznaniu i pojechałam do naszego Macierzystego Domu w Pniewach. Gdy z daleka zobaczyłam szare mury i usłyszałam głos dzwonu kaplicy wzywającego na *Anioł Pański*, łzy mi stanęły w oczach ze wzruszenia. Po tak dalekiej i długiej wędrówce wracam do tego Domu, gdzie włożyłam habit zakonny i złożyłam pierwsze śluby.

Był dwudziesty trzeci grudnia 1945 roku. Jutro wigilia – pomyślałam, zbliżając się do kaplicy pniewskiej. W chwilę potem ukłękłam przed tabernakulum u stóp ołtarza, dziękując Bogu za tyle łask.

„Uwielbia dusza moja Pana
I rozradował się duch mój
W Bogu, Zbawicielu moim...
„Oto jestem Panie, aby pełnić wolę Twoją”

marzec 1970 roku

s. Zofia Kuczyńska

S. Zofia Kuczyńska - biogram

KUCZYŃSKA Zofia, s. M. Zofia (Berchmansa) od Królowej Anielskiej, ur. 28 I 1917 w Charkowie (ZSRR), wst. 2 II 1936 w Wilnie, I śl. 15 VIII 1939 w Pniewach, zm. 20 IX 2005 w Pniewach.

Córka Feliksa i Marii z d. Wojciechowskiej. W 1918 rodzice wraz z dziećmi przeprowadzili się do Wilna. Tu ojciec podjął pracę w Dyrekcji PKP, a matka prowadziła dom, wychowując troje dzieci w głęboko religijnej atmosferze. Zofia od dziecka była chorowita, bardzo wątpa i wymagała szczególnej opieki i troski. W Wilnie ukończyła szkołę powszechną i w 1937 Liceum Ogólnokształcące PP. Benedyktynek. Ukończyła również w Wilnie szkołę muzyczną. Jeszcze będąc uczennicą, wstąpiła 2 II 1936 do naszego Zgromadzenia. 15 VIII 1938 rozpoczęła nowicjat w Pniewach i tam 15 VIII 1939 złożyła profesję zakonną. Bezpośrednio po nowicjacie została skierowana do pracy wychowawczej w Łodzi. W końcu grudnia 1940 z pozwoleniem władz zakonnych wyjechała na czasowy pobyt u swojej siostry w Starych Świącianach, które wówczas były pod władzą sowiecką. Chciała odwiedzić też chorego ojca w Wilnie, a to wymagało przejścia przez Nowe Świąciany, będące pod okupacją niemiecką. W związku z tym musiała przejść przez tzw. zieloną granicę. Miał jej w tym dopomóc przewodnik, który jednak okazał się człowiekiem nieuczciwym i zamiast przeprowadzić ją przez granicę, zaprowadził prosto do NKWD.

27 III 1940 została aresztowana i wywieziona do więzienia w Starej Wilejce. Po kilku miesiącach przewieziono ją do Połocka, gdzie we wrześniu 1940 odczytano wyrok, skazujący ją przez Kolegium Specjalne przy NKWD ZSRR na 5 lat pozbawienia wolności (łagru). Została przewieziona do Mordowskiej AS.RP – osiedle Jawas, gdzie pracowała w fabryce guzików. 12 VIII 1941 zwolniono ją wraz z innymi z obozu na mocy amnestii dla obywateli polskich, ogłoszonej w następstwie układu polsko-radzieckiego z 30 VII 1941. Przyjechała do polskiego obozu wojskowego w Buzułuku, będącego pod dowództwem gen. Andersa. W ostatnich dniach września 1941 została skierowana do Uzbekistanu, gdzie pracowała jako pielęgniarka, a następnie w Domu Dziecka dla polskich dzieci jako nauczycielka. Było to w powiecie (obłaść) Chanki, osiedle Inkłap. Kiedy po dwóch latach Dom Dziecka przeszedł w ręce rosyjsko-uzbecko-tatarskie, została stamtąd usunięta i po kilku miesiącach, razem z innymi Polakami, przewieziona na Ukrainę do miejscowości Azow, pow. Razówka niedaleko Zaporozża, gdzie znowu udało się zorganizować szkołę podstawową dla polskich dzieci. Pracowała w niej jako nauczycielka, wychowawczyni i pielęgniarka.

Do Wilna wróciła we wrześniu 1945, a w grudniu tegoż roku, razem z tamtejszymi siostrami, które w ramach repatriacji opuszczały Wileńszczyznę, przyjechała do domu macierzystego w Pniewach. Od grudnia 1945 do lipca 1946 była sekretarką Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego w Pniewach. Kiedy w następnym roku siostry musiały przekazać tę szkołę władzom państwowym, została posłana do Kielc, gdzie na Baranówku prowadziła świetlicę dla młodzieży. Rok szkolny 1947/1948 spędziła w Łodzi, gdzie ukończyła Diecezjalny Kurs Katechetyczny. Tam też 28 VIII 1947 złożyła śluby wieczyste. W kolejnych latach przebywała w domach Zgromadzenia w Otorowie (1948-1952), Ożarowie (1952-1957), Słupsku (1957-1959), Młocinach k. Warszawy (1959-1962), Starych Bogaczowicach (1962-1973) i Wałbrzychu (1973-1978), wszędzie pracując jako katechetka i organistka. W latach 1957-1961 odbyła studia w Instytucie Wyższej Kultury Religijnej w Lublinie, uzyskując dyplom w czerwcu 1961. Od września 1978 była kierowniczką placówki parafialnej w Wałbrzychu-Piaskowej Górze, pełniąc również obowiązki katechetki. Lata 1985-1990 spędziła w Monicach k. Sieradza, pracując jako katechetka, a lata 1990-1993 w domu Zgromadzenia w Częstochowie przy ul. Tartakowej.

30 VIII 1993 przyjechała do domu w Pniewach, gdzie pozostała już do śmierci. Choć mocno schorowana, chciała być ciągle użyteczna i pomagać w pracach domowych. Najwięcej czasu poświęcała pracy w bibliotece domowej. Sama dużo czytała i starała się innych zachęcać do czytania wartościowych książek. Swoje wojenne dzieje i związane z nimi przeżycia spisała na prośbę przełożonej generalnej, m. Andrzei Górskiej, pt. *Przez wojenną ziemię*. Zostały one wydane przez Zgromadzenie w serii: *Ocalić od zapomnienia*.

Siostra Zofia była osobą otwartą na każdego człowieka, Kochającą przyrodę i wszelkie stworzenie. Była subtelna, delikatna, wdzięczna za jakąkolwiek świadczoną jej usługę i pomoc. Cieszyła się każdym doznany dobrem i chętnie obdarowywała nim innych. Potrafiła innym sprawiać radość i rozveselać pogodnymi opowiadaniem i żartami. Z wielką miłością mówiła o Matce Założycielce, przez którą została przyjęta do Zgromadzenia i której pomocy i opieki doświadczała w życiu. Starła się być bardzo wierna charyzmatowi, który św. Urszula pozostawiła Zgromadzeniu – wierna życiu modlitwy i pracy, a nade wszystko miłości Boga i bliźniego. Miała też do końca żywy kontakt z rodziną poprzez korespondencję, osobiste spotkania i odwiedziny. Dla członków swej rodziny była dużym oparciem duchowym.

Drogę swego zakonnego życia, dość niezwykłego, i kres swej ziemskiej wędrówki zawierzała zawsze Matce Najświętszej. W Jej Niepokalanym Sercu znalazła bezpieczną przystań, gdy w 89 roku życia cicho zasnęła w Panu, otoczona modlitwą kapłanów i współsióstr. Spoczywa na urszulańskim cmentarzu pniewskim.